1

Lipiec. — 1858.

XENOFONTA
O DOCHODACH ATHEŃSKICH.

(PRZEKŁAD Z GRECKIEGO).

I. Zawsze ja dzierżę się tego, iż jakimi są Przewodnicy, takiemi stają się i rzeczy pospolite. Skoro zaś powiedziano o niektórych Naczelnikach w Athenach, iż wiedzą oni co sprawiedliwe nie mniéj dobrze jak inni ludzie, lecz wyznawają iż dla ubóstwa ludu względem innych Miast do niesprawiedliwości posuwać się muszą; od tego czasu zacząłem zastanawiać się nad tém, czyby obywatele kraju nie mogli wyżywiać się dostatecznie z własnéj ziemi, zkąd im i najsłuszniejsza czerpać utrzymanie swoje, i sądziłem, że gdyby to nastąpiło, nie tylko ubostwu ich zapobiegałoby się, aleby wraz usunęło się powód do podejrzeń u innych Greków. Nad tém rozmyślającemu to natychmiast jawnie pokazywało się że ziemia nasza zdolną jest najobfitsze przynosić dochody; aby jednak przekonano się, że prawdziwie to orzekam, opiszę najprzód przyrodzenie Attyki.

Owóż iże pory tutaj są najłagodniejsze, same płody kraju poświadczają; któreby bowiem indziej nawet kiełków puścić nie zdołały, tenże do dojrzałości doprowadza. Jako zaś ziemia, tak i opływające krainę morze wszelką pomyślność zdarza. Nadto cokolwiek bogowie w poszczególnych porach dobrego nam dostarczają, wszystko to tutaj jak najrychlej początek bierze, a jak najpóźniéj końca swego domierza. Nie tylko wszakże obfituje nasza kraina w to, co do roku kwitnie i starzeje na powierzchni, ale i ukryte dobra ona zamyka. Toż znajdują się w niej nieskończone składy kamienia [1]), z którego powstają najpiękniejsze świątynie, najpiękniejsze ołtarze, najokazalsze posągi bogów, a którego wielu i Greków i Barbarów poszukuje. Jest tutaj także ziemia, która nie wydaje wprawdzie owocu obsiana, lecz kopana daleko więcéj ludzi ona wyżywia jak gdyby zboże rodziła; widocznie bo z udziału bogów *srebrem* [2]) przejętą została. Przynajmniej chociaż dużo Miast i na lądzie i na morzu mieszka do około, do żadnego z nich ani drobna jedna żyła srebrowego pokładu nie dochodzi.

Wszakże nie od rzeczy i to uważyć, iż Miasto nasze w pośrodku całéj Hellady i całéj zamieszkałéj ziemi osadziło się; im bowiem którzy więcéj od niego oddalają się, tém dotkliwsze albo zimna albo skwary napotykają. Którzykolwiek zaś znowu od jednych kończyn Grecyi do drugich dojść zapragną, ci wszyscy Atheny, jakoby środkowy punkt koła, opływają morzem, albo obiegają lądem. Tudzież jakkolwiek nie oblana zewsząd wodą, przecież jakoby wyspa wszelkiemi wiatry sprowadza do siebie, czegokolwiek zapotrzebuje i wyséla od siebie cokolwiek zechce; gdyż z wszechstron ma morze. Tak samo lądem mnogie odbiera towary, bo i

---

1) Kopalnie marmuru Pentelika i Hymettu.

2) Kopalnie srebra w Laurion.

stałym lądem jest znowu. Nadto większą liczbę innych Miast napastują Barbarowie mieszkający w ich pobliżu; z Atheńczykami zaś te sąsiadują tylko Miasta, które i same bardzo daleko mają za sobą Barbarów.

II. Owóż tego wszystkiego, jak powiedziałem, powód w samėj krainie znajduję. Gdyby zaś do tych samorodnych dóbr przyłączyła się naprzód staranność o *Przysiedlców* (Metoeków) (albowiem ten rodzaj przychodu zdaje mi się być jednym z najwalniejszych, gdyż ci ludzie sami siebie żywiąc i korzyść przynosząc Miastom nie biorą za to zapłaty, ale owszem *Przysiedlne* [3]) do skarbu wnoszą), taż staranność zaprawdę wystarczającą byłaby, jak mi się zdaje, gdybyśmy z jednej strony odjęli Przysiedlcom wszystko to co żadnėj Miastu nie zdarzając korzyści, niesławy im przynosić zdaje się, a z drugiej strony znieśli z nich ciężar wyciągania na wyprawy jako ciężko zbrojni społem z obywatelami Miasta Wielkie bowiem wprawdzie jest niebezpieczeństwo dla nich, jeżeli pozostaną w domu, ale nie mniej także wielkie jeżeli się ich od rzemiosł i zagród odrywa. Atoli i Miasto by na tém zyskało, gdyby obywatele tylko z obywatelami walczyli w szykach, raczéj jak że stawają razem z nimi pod znaki, jak to teraz się dzieje, Lydowie, Frygowie, Syrowie i inni różnorodni Barbarowie, wiele bowiem takowych jest między Przysiedlcami. Prócz tego zysku zaś, żeby uwolniono ich od obowiązku wyciągania społem w pole, i ozdoby przybyłoby Miastu, gdyby Atheńczykowie raczéj samym sobie jak innoplemieńcom zdawali się poruczać ocalenie swe w bitwach. Natomiast dopuszczając znowu Przysiedlców do współudziału tych korzyści, które z nimi podzielić przystoi nam, tudzież dopuszczając ich do służby w Jaździe, zdaje mi się, iżbyśmy i ich sobie przychylniejszymi

---

[3]) Podatek, który Metoekowie płacili.

uczynili i wraz Miasto nasze znacznie wzmocnili. Daléj gdy wiele jest wewnątrz murów pustych miejsc i do zabudowania sposobnych placów, mniemam, iż gdyby Miasto dozwoliło na tych budować się i własność posiadać wszystkim, którzyby tego domagali się i godnymi okazali, i z tych powodów więcéj daleko i lepszych jak teraz ludzi pożądałoby zamieszkiwać w Athenach. A gdybyśmy jeszcze jakby strożów nad sierotami, ustanowili urząd Strażników nad Przysiedlcami i gdyby tym z nich pewien zaszczyt przyznano, którzyby każdorazowo większą liczbę Przysiedlców w swojéj dzielnicy wykazali, i toby nam przychylniejszymi uczyniło Przysiedlców, a jak naturalna, wszyscy bez ojczyzny będący, garnęliby się do przysiedlstwa w Athenach, i dochody by nasze powiększali.

III. Jako przecież i dla handlu najdogodniejsze i najzyskowniejsze ma położenie Miasto nasze, teraz wypowiem. Najprzód posiada ono najpiękniejsze i najbezpieczniejsze dla naw zachrony (*ὑποδοκας*), kędy wpływający wygodnie przed burzą wypoczywać mogą. Nadto w większéj liczbie Miast kupcy za towar swój inny przyjmować zmuszeni są, używają tam bowiem monet pozewnątrz kraju nie przydatnych ; z Athen zaś bardzo wiele wyprowadzić im wolno przedmiotów, których tylko ludzie potrzebują; jeżeli atoli nie chcą brać towaru za towar, i pieniądze srebrne (*ἀργύριον*) przyjmując, piękny towar z sobą zabierają. Kędykolwiek bowiem je zamienią, wszędzie więcéj za nie dostaną nad pierwiastkową wartość [4]) (*πλεῖον τοῦἀρκαίον*). Gdyby zaś Władzy nad handlem ustanowionéj przysądzono jeszcze nagrody dla tych jéj członków, którzyby najsprawiedliwiej i najszybciej powstałe zatargi załatwiali, ażeby od-

4) W Athenach bowiem nie mięszano ani ołowiu ani miedzi, w bitą monetę, jak to po innych miastach Grecyi się działo.

pływać mający zwłok nie doznawali, więcéj dalekoby i z tych powodów i daleko chętniej brało się do handlu. Dobrze i pięknie byłoby także, gdyby i pierwszém miejscem w theatrach zaszczycano kupców i właścicieli okrętów, tudzież aby niekiedy do sprzymierzonych stowarzyszeń powoływano tych, którzy przez znamienitsze i łodzie i towary Miastu pożytek nieść zdają się. Tak bowiem odznaczani, nie tylkoby dla zysku ale i dla chwały, jakoby do przyjacioł, przybywać kwapili się. Imby zaś więcéj ludzi osiadało i przybywało do Miasta, widna że temby więcéj doń wprowadzono i wyprowadzono z niego, toż przesełano, sprzedawano, płacy pobierano i danin składano do skarbu. Otóż ku takiemu pomnożeniu dochodów ani trochy innego nakładu nie potrzeba jak tylko filantropijnych (ludzkich) postanowień ludu i starania. Cokolwiek atoli nad to zdaje mi się obiecywać powiększenie skarbu, widzę iż na to *zaliczki* (*ἀφορμῆς*) potrzeba będzie. Wszakże nie myli mię nadzieja, żeby obywatele i na takowe potrzeby z skwapliwością daniny składali, gdy zważę ile to ich Miasto przyniosło, kiedy pod wodzą Lyzistrata posiłkowało Arkadów, ile kiedy pod Hegezileosem [5]) walczyło. Wiem także, że i trójrzędowce z wielkim nakładem częstokroć wyprawiano, i że też zjawiały się, chociaż nie widną było, czy z tem lepiéj czy gorzej wypadnie; ale tamto było widoczne, iże nigdy nie odbiorą tego obywatele, co na nie wyłożyli, i że współudziału w tem nie wezmą co przynieśli dobru publicznemu (procentów mieć nie będą). Wszakże niczemby ani tak pięknego naby-

---

[5]) Hegezileos przywodził Atheńczykom w bitwie pod Mantineą (365 p Ch. P.) niosąc pomoc Arkadom. Patrz Xenof. Hist. grecka VII, 4. Przed tym czasem przypadła wyprawa Lyzistrata, nieznanego zresztą, lecz nie przed rokiem 366 p. Ch. P., albowiem w tym roku Atheńczykowie zawarli przymierze z Arkadami.

tku przysporzyć sobie nie potrafili jak tém, coby jako zaliczkę (kapitał nakładowy) wnieśli; ktoby bowiem wniósł dziesięć min [6]), tenby prawie otrzymał *piątą część daniny morskiej*, biorąc trzy *obole* na dzień, ktoby zaś pięć min wniósł, więcéj jak dwa i pół daniny morskiéj. Większa przecież liczba Atheńczyków daleko więcejby na rok pobierała, jak wniosła. Którzy bowiem jednę minę zaliczą prawie dwie miny dochodu mieć będą, i to w Mieście, co zdaje się być z ludzkich rzeczy najbezpieczniejszem i najtrwalszem. Mniemam zaś, że gdyby imiona dobroczyńców zapisywano na wszelki czas przyszły, i wielu cudzoziemców spieszyłoby z takiemi wnioskami, może i miasta całe, pożądające tego zapisu pamięci. Owszem spodziewam się, żeby i królowie, ci i owi Władzcy i Satrapowie zapragnęli mieć udział w takiem odznaczeniu. Kiedyby więc ten kapitał zakładowy był w skarbie, piękną i dobrą byłoby rzeczą, ażeby dla właścicieli okrętów wystawiono przy portach w dodatku do już istniejących nowe jeszcze gospody; piękną także byłoby i dla kupców stósowne do sprzedawania i kupna miejsca, tudzież dla przybywających do Athen publiczne wznosić gościny. Gdyby zaś jeszcze i dla przekupniów domy i kramy przyrządzono tak w Pireju jak w Mieście, jużto ozdoby przybyłoby Miastu już też dochody znacznieby ztąd wzrosły. Z korzyścią zda mi się także spróbować, ażali, jako miasto już posiada publiczne trójrzędowce, nie było podobno posiadać mu tak samo publicznych *naw ciężarowych*, i też za zakładami wynajmować, jako i inną własność ogółu. Gdyby bowiem i to się udało, wieleby i ztąd przybyło dochodu Miastu.

---

[6]) 10 min=241 talarom 7 groszom srebrnym a 5 min=120 talarom 15 groszom srebrnym.

IV. Co do kopalń srebra, to gdyby tak urządzone zostały, jak przynależy, wielkie summy, mniemam, wpływałyby z nich nawet bez innych dochodów do skarbu. Pragnę ja wszakże ważność ich, nawet nie znającym jéj, wykazać; poznawszy bowiem rzecz tę tudzież jak onéjże użyć wypada, dokładniej o niéj stanowić będziecie. Owoż iż od bardzo dawna wyczerpywane są te srebrownie (ἀργύρεια) wszystkim wiadomo; nikt przynajmniej nie próbuje nawet powiedzieć, od którego czasu pokuszono się, sięgnąć do nich po kruszec. Gdy tedy od tylu czasów wykopuje się i wynosi na powierzchnią żyła srebrna, pomyślcie jak małą część stosunkowo wydały wydobyte gromady z samorodnych i srebrem przejętych tych wzgórz! Ani przecież to srebrowe miejsce nie zmniejszyło się cale, ale coraz widoczniej rozprzestrzenia się. Zaprawdę przynajmniej w czasie w którym największa liczba ludzi w tych kopalniach pracowała, dla nikogo nigdy roboty nie zabrakło, ale owszem nie dostawało zawsze robotników. A z tych którzy obecnie w tych kruszcowniach posiadają niewolników, żaden liczby ich nie zmniejsza, ale wciąż nabywa nowych do nich jak tylko może najwięcéj. Bo téż kiedy nie wielu tylko kopie i śledzi srebra, nie wielka, mniemą, jest i zdobycz onegóż; kiedy zaś wielu, w licznej obfitości pokazuje się żyła droga. Tak iż w jedynem tem z dzieł ludzkich, które mi znajome, nikt nie przejmuje się zazdrością ku tym co się do niego jeszcze zabierają. Nadto wszyscy posiadający role mogliby powiedzieć, ile jarzm wystarcza na pewną przestrzeń, tudzież ilu robotników; kiedy zaś kto nad potrzebę ich wprowadzi, poszkodowanie w tém widzą; w pracach przecież około wydobywania srebra o wszystkich przyznają, iż im rąk niedostaje. Boć tu i nie tak jest jak kiedy wielu jawi się kotlarzy i dla tanich robót z miedzi, kotlarze ubożeją, owoż kowale tak samo; tudzież kiedy w obfitości

znachodzi się zboże i wino, dla taniości płodów, bezkorzystnemi się stają prace rolnika, tak iż wielu porzuciwszy uprawianie gruntów, do handlu, kramarstwa i do zarabiania lichwą się zwraca. Przeciwnie im więcéj pokazuje się żyły srebrnej, tém większa liczba ludzi rzuca się do tego dzieła. Toż bo i niepotrzebnych rzeczy, choć się posiadło dostatkiem to czego dom wymaga, nie zaraz jeszcze się nabywa; srebra zaś nikt jeszcze tyle nie odzierżał, ażeby nad to więcéj nie pożądał; ale jeżeli kto je i w przemnogiej ma obfitości, to zakopując zbytkujące, nie mniej tém cieszy się jak używaniem onegóż. I zaprawdę kiedy Miasta pomyślności zażywają, mocno potrzebują jego mieszkańce srebra. Mężczyzni bowiem na broń piękną, na dobre konie, mieszkania i wystawy wspaniałe nakładać pragną; niewiasty zaś ku bogatéj odzieży i złotym ozdobom myśl swoją zwracają. Kiedy zaś znowu chorzeją Miasta czy to ubytkiem owoców czy skutkiem wojny, jeszcze daleko bardziéj, przy niepłodności ziemi i na żywność i na zaciężników pieniędzy potrzebują. Jeśliby zaś kto zarzucił, że i złoto nie mniej użyteczne jak srebro, temubym nie zaprzeczył; atoli i to wiem, że złoto, kiedy w obfitości się zjawia, na wartości traci, a srebro podnosi w cenie.

To wszystko wypowiedziałem w tym zamiarze, abyśmy śmiało jak najwięcéj ludzi do kopalń srebra przywodzili, tudzież śmiało w nich potrzebne urządzenia zaprowadzali, ponieważ ani nie zabraknie nam żyły srebrnéj, ani srebro nigdy szacunku swego nie utraci. Widzę zaś, że i Miasto już przedemną, na tem się poznało; dozwala ono przynajmniej pod warunkiem *równego składania* każdemu ochotnemu z cudzoziemców pracować w kopalniach.

Abym jednakowoż jeszcze wyraźniej wypowiedział zdanie moje o onem wyżywianiu się z własnego kraju,

opowiem teraz jak urządzone być powinny kopalnie, aby jak największy użytek Miastu przynosiły. Wszakże dla tego co mam wynurzyć, nie domagam się podziwu jakobym coś nader trudnego do wyśledzenia znalazł. Na jedne bowiem z tych rzeczy o których mówić zamierzam, jeszcze dotąd wszyscy patrzymy, o minionych zaś tak samo z posłuchu wiemy. Atoli temu bardzo godzi się podziwić, iż Miasto nasze dostrzegając wielu prywatnych mieszkańców zbogaciałych przez nie, nie naśladuje tychże. Toć oddawna słyszeliśmy, których z nas to obchodziło, iż *Nikias* syn Nikerata [7]) posiadał niegdyś tysiąc ludzi w kopalniach, których *Soziasowi* Thrakowi wynajął tak, aby mu za każdego niewolnika codzień jednego całkowitego [8]) *obola* oddawał, a on mu będzie zawsze równą liczbę dostawiał. Miał i *Hipponikos* sześćset niewolników w tenże sposób wynajętych, którzy mu jednę zupełną minę na dzień zarabiali; tak samo Filemonides trzystu, któremu przynosili pół miny, i inni jeszcze, mniemam, jak któremu możność dostarczała. Alić cóż nam rozpowiadać starodawne rzeczy? toć i za dni naszych wielu ludzi, tym trybem ugodzonych w kopalniach pracuje. Gdy wszakże to oczem mówię, rzecz już skończona (przyjęta) jest, tę jednę nowość w nię wprowadzićby można, gdyby, jako teraz pojedynczy nabywając niewolników nieustający sobie dochód przeto przysposobili, tak i Miasto nabywało publicznych niewolników, dopókiby na każdego Atheńczyka nie przypadło trzymać ich po trzech. Czy ja zaś tutaj uskutecznić się dające przedstawiam rzeczy niechaj każdy, jeżeli wola, poszczegółowo zastanowiwszy się, sąd o tém wydaje. Otóż przewidoczną jest za-

---

[7]) Żywot tegóż opisuje Plutarch.

[8]) To jest z którego nic skarbowi już oddawać nie potrzebował, a więc *czystego* zysku. Obol=$^1/_6$ drachmy czyli 1 grosz.

raz, iże płacę za ludzi prędzéj możebną jest wypośrodkować publicznemu skarbowi jak pojedynczym. *Radzie* przynajmniej łacniejszą jest ogłosić przez Herolda, ażeby kto zechce przyprowadzał niewolników, i tych przyprowadzonych zakupować. Kiedy zaś tak nabyci zostaną, czemużby mniej skwapliwie miał ich potrzebujący najmować od Rządu jak od prywatnego, gdy ich pod temi samemi warunkami zyskać do roboty może? Wynajmuje przynajmniej Miasto tak samo gaje święte, świątnice, domy, wydzierżawia tak samo i cła. Aby przecież wynajęci nie ginęli dla Rządu, wolno temuż od wynajmujących brać zakładników, jako bierze ich od biorących w dzierżawę cła. Wszakże i łacniej pokrzywdzić cło kupującemu jak w najem biorącemu niewolników. Srebro bowiem publiczne jeżeli wyprowadzone zostaje, jakże tego dojść, gdy takie same jest jak prywatne? niewolników zaś, *napiętnowanych* rządowém znamieniem, gdy nadto kara przepisana jest na sprzedawającego lub wyprowadzającego takowych, jakżeżby ktoś mógł wykradać? A zatem aż dotąd podobną wykazuje się rzeczą, ażeby Miasto miało, nabywało i zachowało ludzi służebnych.

Jeżeli przecież ktoś znowu weźmie na uwagę, że skoro pomnoży się liczba robotników, nie będzie wielu najmować ich chcących, to niechaj uspokoi się to także wziąwszy na umysł, ilu to posiadających własnych, jeszcze donajmuje publicznych niewolników (nie zbywa bowiem nigdy na robocie), ilu to tychże samych przy robotach starzeje się, ilu to jest innych tak Atheńczyków jak cudzoziemców, którzy ciałem aniby chcieli ani mogli pracować, ale głową tylko nakładając starania, chętnieby przysporzali sobie nieodzowne życia potrzeby. Gdyby tedy na razie zgromadziło się tylko tysiąc dwieście, jużby prawdopodobnie z samegoż tego dochodu po pięciu albo sześciu latach nie mniej ich Miastu przyby-

ło jak sześć tysięcy. Skoroby przynajmniej z téj liczby *obola* całego każdy na dzień przynosił, dochód roczny sześćdziesiąt *talentów* by uczynił. Z tych znowu gdyby na zakupienie innych niewolników wydano dwadzieścia *talentów*, pozostałemi czterdziestu wolnoby Miastu rozporządzić na inne nieodzowne potrzeby. Skoroby zaś liczba niewolników wzrosła do dziesięciu tysięcy, dochód roczny Miasta wynosiłby sto talentów. Że zaś ono mogłoby zatrudnić o wiele większą jeszcze nad tę liczbę, mogliby mi poświadczyć ci którzy jeszcze żyją i pamiętają, jakie to wielkie cło pobierało Miasto z niewolników przed wypadkami pod *Dekelią* [9]). Świadczy mi oraz i ta okoliczność, że chociaż przez wszystek czas niezliczona mnogość ludu pracowała w kopalniach, dziś te kopalnie niczem się nie różnią od tych jakiemi były za pamięci naszych przodków. A wszystko to co się obecnie w nich dzieje potwierdza, iż nigdy w nich więcéj nie będzie pracować ludzi nad tyle, ilu prace wymagają. Ani bowiem kresu głębokości pokładów ani szerokości ganków (ὑπονόμων) dotąd nie dokopano się. Owszem nowe wybijać przełomy, tak samo teraz wolno jak przed laty. Toż niktby z świadomością powiedzieć nie umiał, czy w już wykruszonych gankach więcéj się znajduje żyły srebrnej jak w dotąd nietkniętych. Czemuż tedy, rzecze kto może, i teraz jako pierwéj nie łamią nowych otworów? Otóż ponieważ uboższymi dziś są pracujący w kopalniach (od niedawna bowiem dopiero zabrano się znów do potrzebnych w nich urządzeń), niebezpieczeństwo zaś dla podejmującego tę robotę wielkie. Kto bowiem znalazł dobre ganki, ten bogacieje; ale kto ich nie znalazł, wszystko wraz utraca co wyłożył. W takie więc niebezpieczeństwo nie bardzo jakoś puszczać się pragną obecni. Mnie się wszak-

---

[9]) R. p. Ch. P. 413 Thukydides VII, 27.

żé wydaje żebym i na to miał radę, jakby z wszelkim bezpieczeństwem nowe otwierać *ganki*. Otoż są przecież Atheńczykowie rozdzieleni na dziesięć gmin (φυλαί); gdyby tedy Miasto każdéj z tych gmin oddało równą liczbę niewolników, też podzieliwszy między siebie hazard przedsięwzięcia, rozpoczęłyby łamanie nowych *ganków*, a tak gdyby jedna je tylko znalazła, jużby dla wszystkich korzyść ztąd wykazała. Gdyby zaś dwie, trzy, cztery albo i połowa je znalazła, widocznie pomnożyłby się znacznie zysk robót. Aby zaś wszystkie niefortunnemi były, tego z wszystkiego co poprzedziło, przypuścić nie można. *Podobną też jest, aby i prywatni w ten sposób podawszy sobie ręce i połączywszy się do podjęcia pracy na los szczęścia, z większém bezpieczeństwem narażali się.* Cale zaś nie obawiajcie się tego, ażeby albo Rząd tak się do dzieła zabrawszy pojedyńczym szkody poczynił, albo pojedyńczy Rządowi; ale jako sprzymierzeni, im w większéj liczbie zgromadzą się, silniejszymi siebie wzajem przez to czynią; tak i w kopalniach im więcéj rąk pracuje, tem liczniejsze dobra w nich znajdować i z nich wydobywać będą. Otóż wypowiedziałem, jak sądzę żeby urządziwszy się Miasto nasze, dostateczne utrzymanie z dobra publicznego zapewnić mogło Atheńczykom.

Jeżeli zaś niektórzy obliczając, że przewielkiego kapitału zakładowego na to wszystko potrzeba, nie sądzą aby kiedy dostateczne składki na utworzenie tegóż wniesiono, to niechaj i z téj strony nie tracą ducha. Nie taki bowiem jest układ tego, ażeby koniecznie wszystko to naraz się stawało, albo żadnéj korzyści ztąd nie było; ale owszem ilekolwiek domów się wybuduje, naw przywystawi, niewolników zakupi, to natychmiast zysk przynosić będzie. Owoż nawet korzystniejsza jest tą drogą postępować, aby częściowo a nie naraz wszystko to czynić. Budując bowiem gromadnie zbytkowniéj a go-

rzéj, niż podzieliwszy pracę dokonywalibyśmy tego, toż niewolników poszukując w wielkiéj bardzo liczbie, bylibyśmy znagleni i pośledniejszych i drożéj ich kupować. Natomiast podług możności postępując, coby dobrze pomyślanem zostało, tego i następnie dopełnić potrafilibyśmy, gdyby się zaś uprzednio w czem chybiło, strzeglibyśmy się tego na potém. Nadto wszystko naraz czyniąc, zmuszeni bylibyśmy na wszystko obmyślać środki; przeciwnie jednych rzeczy dokonywając, drugie dopiero zamierzając, w istnącym dochodzie znajdowalibyśmy dostateczne pomoce ku podoływaniu temu czembyśmy byli zajęci. Ale rzeczą najbardziej wszystkich zastraszającą, mogłoby się to wydawać, aby Miasto nabywszy zbyt wielu niewolników nie przeciążyło się ogromem robót; otoż i od téj trwogi uwolnieni bylibyśmy, gdybyśmy nie więcéj ludzi doń w roku wprowadzali nad tyle, ile prace same nakazują. Tak mnie się przynajmniej wydaje, że jako jest najłacniej, tak i najlepiej te prace podejmować. Jeżeli zaś znowu dla powstałych w dopiero co minionéj wojnie [10]) danin, mniemacie iż ani cobądź składkować nie jesteście w stanie; to sprawujcie przecież Miasto i na rok następny dochodem tego samego rozmiaru jaki przed zawarciem pokoju wyrzucały podatki; co więc *do onegóż* donajdzie Miasto, z powodu dziś już istnącego pokoju, już to skutkiem troskliwszéj opieki nad Przysiedlcami i kupcami, już to skutkiem pomnożenia się pieniędzy przez to, iż ponieważ więcej zgromadza się znowu ludzi do grodu, więcéj także doń wchodzi i wychodzi, już to skutkiem podniesienia się targów i w Porcie — *to* zebrawszy tak działajcie, aby dochody stały się jak najliczniejszemi.

Jeżeli zaś znowu niektórzy lękają się, ażeby te wysielenia nadaremnemi nie okazały się, skoro wojna wy-

---

[10]) Wojna Sprzymierzyńców od 358—356 p. Ch. P.

buchnie, to niechaj pomyślą, iż właśnie przez zaprowadzenie tych urządzeń wojna straszliwszą będzie owszem przynoszącym ją Miastu jak temuż. Jakaż bowiem posiadłość więcéj zabezpiecza korzyści do wojny nad posiadanie ludzi? toć mnogie wtedy potrafią zapełnić nawy niewolnicy publiczni, wielka także liczba takowych i w piechocie uciążliwą mogłaby stawać się wrogom — gdyby się nimi starannie opiekowano.

Ale i na przypadek wojny, mniemam, podobną byłoby nie przerywać robót w kopalniach. Toć jest przecię około nich od strony południowéj morza pod *Anaflystem* mur, drugi taki mur jest ku północy pod *Thorikiem*, te zaś mury odległe są od siebie na przestrzeń staj około sześćdziesięciu [11]). Gdyby tedy i w pośrodku tej przestrzeni na najwyższém wyniesieniu osady *Beza* stanęło trzecie podobne ubezpieczenie tak, żeby dzieła od wszystkich murów zbiegały się w jedność, wtenczasby każdy, dostrzegłszy coś nieprzyjacielskiego, szybko w obronne miejsce uchodził. A gdyby więcéj nadeszło wrogów, to widoczna, że znajdując pozewnątrz kopalń zboże, wino lub owoce, *toby* zabierali; żyłę srebrną bowiem zdobywszy, cóżby więcéj posiedli nad kamienie? Ale jakżeżby i mógł kiedy nieprzyjaciel uderzać na kopalnie! Toć najbliższe miasto Megara oddalone jest od nich więcéj jak pięćset staj; najbliższe zaś potémże znowu *Theby* nie więcéj jak sześćset stadiów. Jeżeli więc ztamtąd kędy wyruszyliby wrogowie naprzeciwko kopalniom, musieliby przechodzić około Athen, a gdyby ich było nie wielu, prawdopodobnie już przez Jazdę i Strażników granicznych zniweczonymiby zostali. Żeby zaś znowu w wielkiéj sile wyprawiali się opustoszając kraj własny, trudno przypuścić; daleko bliższe-

---

[11]) 1 ½ mili geograficznej.

mi bo wtenczas ich własnym Miastom byłyby Atheny, jak oni sami stanąwszy przy naszych kopalniach.

Lecz dajmy żeby przyśli, jakżeżby mogli dotrwać pozbawieni żywności? Poszukiwać jéj cząstkowo w okolicy, niebezpieczna jest tak dla puszczających się za nią jak dla walczących, wszyscy zaś społem wyprawiając się po nieodzowny pokarm, więcéjby sami obleganymi byli jak oblegali tych, naprzeciwko którym wyciągnęli w pole.

Nie tylko więc przychód z niewolników powiększałby środki utrzymania miasta, ale skutkiem zgromadzenia się wielkiéj liczby ludzi w kopalniach, i z targu około nich powstającego, z gmachów publicznych przy nich wystawionych, z pieców do topienia kruszcu (καμὶνων), i z wszelkich innych nowych urządzeń, mnogie przybyłyby dochody skarbowi. Silnie bo i to *nowe Miasto* zaludniłoby się, gdyby takie urządzenia podjęto, a role nie mniéj wartającemi byłyby dla posiadających je tamże, jak dla tych którzy je około głównego miasta dzierżą.

Po dokonaniu tedy tego wszystkiego co wypowiedziałem, utrzymuję żeby miasto nie tylko w bogactwa wzrosło, ale i sforniejszém, lepiéj uporządkowaném i sposobniejszém do wojny stało się. Przekazani bowiem do ćwiczeń cielesnych daleko staranniéj dopełnialiby obowiązków swych w ćwiczeniach, obfitszéj dostępując żywności jak przy zawodach pochodniowych [12]) płaceni

---

[12]) Pauzaniasz w Opisie Grecyi I, 30, 2 tak mówi: W Akademii stoi także ołtarz Prometheusza; od tego biegają ku miastu trzymając w rękach płonące pochodnie, walką zaś jest aby wśród biegu nie dać zagasnąć pochodni, jeśli bowiem zagasła, nic już do zwycięstwa pierwszemu, lecz drugi doń ma prawo, jeżli zaś i temu zagaśnie, bierze je trzeci, jeżeli nareszcie wszystkim pogasną nim celu domierzą, żaden nie otrzymuje nagrody.

przez wyznaczonych do tego naczelników szermierni, toż czuwający po warowniach tarczownicy i strażnicy granic, wszyscy ci, mówię, gorliwiéj dokonywaliby co im przyporuczono, skoroby każdemu wydziałowi zabezpieczone było utrzymanie.

V. Skoro zaś jawnie pokazywać zdaje się, że jeżeli wszelkie dochody z Miasta płynąć mają, pokój ono mieć powinno, czyliż nie godną jest starania aby i stróżów pokoju ustanowić? Wielce bowiem wybór i tego urzędu przyczyniłby się do pozyskania Miastu przychylności wszystkich ludzi, i częściéj ono odwiedzanémby było. Jeżeli zaś niektórzy tego są zdania, iżby Miasto ciągły zachowując pokój straciło na przewadze, sławie i mniéj głośném stało się w Grecyi, to ci w przekonaniu mojém opacznie rzeczy widzą. Właśnie bo przecie za najszczęśliwsze uchodzą te miasta które najdłuższego zażywają pokoju, ze wszystkich zaś miast Atheny przedewszystkiem z przyrodzenia usposobione są do wzmagania się tylko w spoczynku od wojny. Którzyż to bowiem, gdyby Miasto wywczas wiodło, niepotrzebowaliby jego pomocy, począwszy od posiedzicieli naw i kupców? Czy może nie ci, co wiele zboża wiele wina, co drogie wina dzierżą? a jakżeż obfitujący w oliwę, obfitujący w trzody owiec? albo zdolni głową i pieniędzmi zarobkować? cóż owo rękodzielnicy, umnicy (*τοηισὶαί*), filozofowie, poeci i zabawiający się dziełami tychże, cóż pożądający zachwycających wzrok i ucho uroczystości i obrzędów? toż potrzebni mnogie rzeczy prędko zbywać lub zakupywać, gdzieżby je łacniéj znachodzili jeżeli nie w Athenach? Jeżeli zaś temu wprawdzie nikt nie przeczy, ale pewni mężowie pragnący odzyskać dla Miasta utracone *Przewództwo* (*ἡγημονίαν*) w Grecyi sądzą, iż tego celu prędzéj przez wojnę jak przez pokój dopiąć podobna; to niechaj przypomną sobie, najprzód czasy wojen medyjskich i zapytają siebie samych, iżaliśmy

wtedy drogą przemocy czy też raczéj położeniem zasług około Grecyi, naczelnictwo nad spólną siłą morską i spólnym skarbem [13]) uzyskali. Nadto gdy Miasto nasze w mniemanie zbyt surowego przewodniczenia innym przyszedłszy, rządy nad nimi stradało, czyliżeśmy i wtenczas, skorośmy tylko powściągnęli się od uciskania sprzymierzonych, znowu przez mieszkańców wysep, z własnéj ich woli, panami nie stali się siły na wodach? Albož to i Thebanie dobrodziejstw doznawszy, nie poddali się hegemonii Athen? Toć zaiste sami Lakedemonowie nie przymuszeni do tego przez nas ale wsparci przyjazną pomocą, poruczyli Ateńczykom stanowić o przewództwie jakby zechcieli. [14]) Teraz zaś znowu dla zamieszek w Grecyi zdaje mi się jakby na rękę przychodzić Miastu, iże bez trudów, bez niebezpieczeństw i bez nakładów zobowiązać sobie napowrót może Greków. Wolno mu bowiem próbować godzić bojujące Miasta pomiędzy sobą, wolno mu przywracać spokojność, jeżeli w niektórych trwają domowe zamieszki. [15]). Gdybyście zaś pokazali, iż staracie się o to, ażeby *Świątnica delficka* jako pierwéj znowu była bezzależną, nie łącząc się do wojny, ale posłów rozsełając po Grecyi, nic w tém dziwnego nie widzę, gdybyście wszystkich Hellenów do zgodnomyślności z sobą, wspólnych

[13]) Thukydides I, 96. „Przejąwszy Atheńczykowie tym sposobem przewództwo od chętnie mu poddających się sprzymierzeńców, ponieważ znienawidzili Pauzaniusza, rozporządzili, które Miasta pieniądze a które nawy dostawiać miały do wojny naprzeciw barbarzyńcy; za powód bowiem stawiono pomszczenie krzywd doznanych przez pustoszenie własnego kraju króla. Wtenczas to też po raz pierwszy powstała za sprawą Atheńczyków władza *Skarbników helleńskich*, którzy składkę powyższą, tak ją bowiem przezwano, wybierali“

[14]) Po bitwie pod Leuktrą 371 p. Ch. P.

[15]) Po bitwie pod Mantineą 362 p. Ch. P. i po wojnie Sprzymierzonych 356 p. Ch. P. żadne miasto Grecyi nie dzierżało hegemonii.

przysiąg i ścisłego sprzymierzenia się przywiedli naprzeciwko tym, którzy po opuszczeniu świątnicy przez Phokejczyków, opanować oręż pokusili się. Toż gdybyście jawnie troskali się o to aby po wszelkiéj ziemi i morzu trwał pokój, ja mniemam iżeby wszyscy błagali bogów, ażeby po ich własnych Miastach, przedewszystkiem Atheny ocalały. Jeżeli przecież kto znowu rozumie, że pod względem pieniędzy zyskowniejszą jest dla Miasta wojna jak pokój, niewiem czyby dobitniéj rozstrzygnąć to można, jak zastanowiwszy się jeszcze nad tem jakie to skutki miały dla Miasta dawniejsze wypadki. Znajdziemy bowiem, że przed wiekami wśród pokoju mnogie skarby wpływały do Miasta, wśród zaś wojny wszystkie wyszafowanemi zostały; poznamy także uważnie śledząc, że i w obecnym czasie z powodu wojny wiele dochodów omyliło, a te które wpłynęły na różne wydatki rozproszyły się; przeciwnie skoro pokój na morzu nastąpił, pomnożyły się przybytki, i tych wolno obywatelom użyć, na co im się podoba. Gdyby mię nareszcie kto zapytał: czy twierdzisz, iż i wtenczas, kiedy ktoś Miasto pokrzywdza, pokój z nim chować należy? Zaprzeczyłbym; ale twierdzę, żebyśmy daleko łacniéj wtenczas takich napastników pomścili, gdybyśmy nikomu powodu do skarżenia się na nas nie podali, żadnego bowiem oni nie znaleźliby sprzymierzeńca.

V. Alić, jeżli wzdy nic z tego co się tu rzekło, ani niepodobném ani trudném nie jest do wykonania, a znowu gdyby weszło w wykonanie, milszymi stalibyśmy się Grékom jak jesteśmy teraz, toż bezpieczniéj mieszkalibyśmy, sławy zażywali większéj, podczas gdy ludby obfitował w żywność, a bogaci uwolnionymi byliby od nakładów na wojnę; gdybyśmy przy nadbytku zasobów okazaléj niż obecnie obchodzić mogli uroczystości, świątynie nowe budować, place okrętowe zakładać, kapła-

nom, radzie, władzom i jeźdźcom to co im się z ojców należy powracać — jakżeż nie miałoby się godzić, ażebyśmy do tego zabierali się jak najprędzéj, abyśmy jeszcze za naszego życia ujrzeli Miasto przy bezpieczeństwie w pomyślność obfitującém? Gdyby tedy podało wam się zrzeczywiścić to co wam doradzam, radziłbym abyście wraz wyprawili do *Dodony* i do *Delfów* posłów z zapytaniem bogów, czyby z szczęściem i korzyścią było dla Miasta na teraz i na przyszły czas, *tak* się urządzić. A gdyby to pochwalili, w tenczas rzekłbym iż jeszcze zapytać się wypada *których* to poszczególnie bogów opiece poddawszy się, jak najpiękniéj i jak najlepiéj te sprawy podjęlibyśmy, którychby nam zaś na to bogów wskazały wyrocznie, od tych, jak naturalna pomyślne wróżby zyskawszy, zaczynać dzieło radziłbym. Przedsięwzięcia bowiem z pomocą Boga podejmowane tylko ku dobru i szczęściu Miasta kierować się mogą *).

---

*) Do zajmujących, drobniejszych pisemek politycznych Xenofonta, należy powyższa rozprawka ztąd mianowicie, że jak ekonomik ustanowienie tak zwanéj *tantiemy* dla robotników rolnych, tak ona myśl *assocyacyi* porusza, gdy jak tamten odstępowanie pewnych korzyści zysku robotnikom z strony właścicieli, tak ta tutaj łączenie się obywateli w prywatne towarzystwo, celem exploatacyi kopalń srebra w Laurion, proponuje. Może to główniejszy był powód, dla którego przed dwoma laty hr. Henryk Cieszkowski namawiał mię do przełożenia tego traktaciku Xenofonta „o Dochodach“ dla Biblioteki Warszawskiéj, a któremu to, jakkolwiek szybko zrzeczywiścić się dającemu życzeniu, ile tak znakomitego excytatora, nie chcąc sobie i na chwilę przerywać znojnéj (experto credendum est Roberto) pracy około przekładu dzieł Platona, prędzéj zadosyć uczynić nie mogłem. Dziś odprawiwszy się prawie już z Platonem, bo tylko mi trzech mniejszych i mniéj zawiłych rozmów do zupełności tłumaczenia niedostaje, tém skwapliwiéj odjąłem mu kilkanaście godzin na przełożenie niniejszéj rozprawki, że pragnąłem łaskawym moim Czytelnikom pokazać przy nowéj sposobności, iż niekoniecznie *dosłowność* utrudza zrozumienie wersyi starożytnych Pisarzów. Pilnowałem jéj i tutaj, a przecież spodziewam się iż nikt

na ciemność nieposkarży się. Pozwalam sobie zapewnić na doświadczeniu oparty, że jedynie materya, znwilsza lub prostsza rozstrzyga kwestyą; tak jak Xenofont, i my wszyscy myślimy i tłumaczymy się, tak jak Platon myślał i tłumaczył się myśleć i tłumaczyć się, drugiemu chyba Platonowi podobna! To też szczęśliwy będę, jeżli tego celu, który jedynie sobie założyłem dopnę, że przekładem moim ułatwię czytającym oryginał wielkiego mędrca, zrozumienie tegoż; o zastąpieniu go, nie marzyłem nawet, a wątpię aby się o takowe pokusił ze skutkiem najjenialniejszy tłumacz.

Darują łaskawi czytelnicy to drobne wyboczenie od ogólnéj do nieco osobistéj materyi, wszakże pozornie tylko osobistéj. Chodzi mi o obudzenie interesu dla dzieł Platona, o nic więcéj, a ten zamiar wyklucza wszelakie intencye osobiste.

Ostrowo 13 marca 1858. r.

A. Bronikowski.

TRZECIE WSPOMNIENIE
O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM
GWARDYI NAPOLEONA I. *)

Nim przystąpię do dalszych wspomnień wypraw naszych w Hiszpanii, winienem się uiścić kollegom i czytelnikom którzy mi udzielili przyjaznych spostrzeżeń swoich, poprawiając pomyłki lub opuszczenia które się wcisnęły w poprzednie dwa moje wspomnienia, a którzy to życzliwi czytelnicy, tym sposobem odpowiedzieli na moje kilkakrotne odezwy, czyli wezwania moje w poprzednich wspomnieniach zamieszczone.

Pierwszy, bezimienny, ale przyjazny korrespondent *Gazety W. Xięstwa Poznańskiego* w Nrze 15tym z dnia 18go stycznia 1857 raczył mię zawiadomić o szczegó-

*) Patrz *Dodatek do Czasu* r. 1856 zeszyt grudniowy i 1858 zeszyt lutowy.

łach śmierci mojego niegdy kollegi Wybickiego, syna zasłużonego posła, późniéj Wojewody Wybickiego. Nie powtarzając zatem szczegółów o zgonie tego walecznego współtowarzysza broni, składam tu rzeczonemu korrespondentowi moje podziękowanie, odsyłając czytelników do powołanéj *Gazety Poznańskiéj*.

Następnie odpowiadam wezwaniu, szacownego naszego kollegi Stanisława Dunin Wąsowicza, jenerała brygady w r. 1831 uzupełniając wiadomość o Nim: jako tenże bywszy pierwéj adjutantem jenerała dywizyi Izydora Krasińskiego, w wojsku Księztwa Warszawskiego, wstąpił do pułku Gwardyi Polskiéj i był porucznikiem w kompanii Iszéj, któréj ja byłem wówczas kapitanem; w marszu przez Prusy w r. 1812 na kampanią do Rossyi, został powołany na officera tłumacza, do boku cesarza Napoleona i wkrótce towarzyszył mu w objeżdżaniu brzegów Niemna, przed przejściem téj rzeki pod Kownem, tak dalece, że Napoleon przywdział furażerkę Wąsowicza, to jest czapkę polską karmazynową z czarnym barankiem, konfederatką zwaną, oraz wdział jego płaszcz oficerski, półkole granatowe, i w takiem to przebraniu bohater zwiedzał granicę państwa rosyjskiego. Okoliczność tę opowiada historyk Thiers w tomie XIII na stron. 570, w sposób właściwy sobie, to jest: nie robiąc wzmianki o Wąsowiczu, ani o nienawistnéj mu czapce polskiéj. Odtąd Wąsowicz był nieodstępnie przy osobie bohatera, przechodził przez różne stopnie, i z pod Smorgoni aż do Paryża przeprowadzał Napoleona przez Warszawę; został jego adjutantem, tak zwanym: *Officier d' ordonnance* i Pułkownikiem. Dodajemy i to: czegośmy nieumieścili w drugim oddziale naszych wspomnień: że w naszym pułku był drugi Stanisław Wąsowicz, rodem z Krakowskiego, wachmistrz odznaczony, w r. 1809 podany do orderu trzech run złotych połą-

czonych, który jednak order jak wiadomo, nie przyszedł do skutku.

Trzecia pomyłka wcisnęła się niepojętym sposobem do Redakcyi naszego pierwszego Oddziału wspomnień, a to w spisie szefów Szwadronu opuszczony został Piotr Krasiński, jeden z bohaterów Somosierry, kolega, którego mam szczęście często widywać czerstwym jeszcze pomimo ciężkich ran odniesionych. Opuszczenie to, stać się tylko mogło błędem przepisywania; jakoż w innych miejscach jest o tym znakomitym naszym Szefie Szwadronu, należyta wzmianka. Zostawszy on późniéj półkownikiem, był dowódzcą 5go Pułku piechoty Królestwa Polskiego.

Kolega Józef Gorajski, uczynił mię uważnym na przemilczenie chlubnéj śmierci Porucznika Kruszewskiego, który w pamiętnéj bitwie pod Dreznem w r. 1813 nogę utraciwszy od kuli armatniéj, wkrótce potem zmarł w tem mieście. Przytem upomniał się rzeczony kollega o *jakoby* suchą i bardzo krótką wzmiankę o Pułku Litewskiéj Gwardyi w pierwszym artykule wspomnień moich. Istotnie, gdy pułk ten formowany był przez słynnego jenerała Konopkę w r. 1812, w ciągu kampanii mało mogliśmy wiedzieć o szczegółach téj formacyi, będąc w ówczas w okolicach Kremlina carów, a późniéj w ciągłych bojach i marszach, nim się z naszym pułkiem złączył oddział z Krakowa, co nastąpiło dopiero podczas zawieszenia broni w r. 1813 w Saxonii. Chętnie więc i skwapliwie zamieszczamy tu bliższą wiadomość o kolleżeńskim pułku Litewskim, który został do naszego wcielony i z którego jeszcze wielu zacnych współtowarzyszów żyje. Wreszcie miłą jest koroniarzowi wszelka sposobność, dania dowodu serdecznych uczuć odziedziczonych po przodkach, dla dzielnych braci Litwinów. Oto jest treść szczegółów, dostarczonych nam przez kollegę Gorajskiego:

Pułk drugi lekkokonny Gwardyi polskiéj, zadekretowany był w Wilnie przez cesarza Napoleona pod dowództwem jenerała Konopki, wsławionego pierwéj pułkownika Ułanow Nadwiślańskich, Nr. 7 w armii Francuzkiéj noszących. Po słynnych rozprawach tego pułku' a mianowicie po znakomitem natarciu na piechotę angielską pod Albuera dnia 16 maja 1811, [1]) pułkownik Konopka został mianowany jenerałem brygady w wojsku Francuzkiem, a następnie Majorem w pułku Gwardyi Krasińskiego. Ten więc jenerał Konopka zebrawszy poczet oficerów i pod-oficerów z Igo pułku Gwardyi polskiéj, udał się z ochotnikami najpiękniejszéj młodzieży Litewskiéj do Warszawy, i tam formował pułk 2gi Gwardyi polskiéj. Skoro stanęły zdatne do boju dwa szwadrony *etatowe*, mogące mieć mniéj więcéj 360 koni, wyruszył z niemi jenerał Konopka, mając z sobą Szefów Szwadronu: Adama Bierzyńskiego i Adama Sołtana — już dawniéj odznaczonego oficera w Artylleryi konnéj Księstwa Warszawskiego i przyciągnął w początku miesiąca Października do Słonimia, gdzie na niego czekał zakład tegoż pułku pod dowództwem *Gros Majora* czyli Pod-pułkownika Chłusowicza, wychodzącego z Legii pierwszéj Nadwiślańskiéj; zaś drugi zakład tegoż pułku pozostał w Warszawie pod dowództwem Szefa Szwadronu Xcia Wincentego Woronieckiego. W Słonimiu, jenerał Konopka kompletował daléj szwadrony z nim przybyłe, atoli d. 19go października o godzinie 7 rannéj, zostały rzeczone dwa szwadrony, przez pułk Huzarów Rossyjskich Pawłogradzkim zwany i przez pułk Kozaków attakowane: młodzież Litewska pod na-

---

[1]) Rozróżnić trzeba *Albuerę* blisko Fortecy Badajoz (Badachoz) gdzie Anglicy ucierpieli od Ułanów Nadwiślańskich, a *Albuferę* pod Valencyą, od któréj Marszałek Suchet został mianowany Xięciem *Duc d' Albufera*. Pomyłkę tę popełniono już nieraz w pamiętnikach ogłoszonych jakoby przez oficerów polskich.

czelnictwem swego jenerała walczyła mężnie, uderzając po kilkakrotnie na nierównie przeważające siły nieprzyjaciela; lecz gdy nadciągnął cały korpus jenerała rossyjskiego Czaplica, (polaka) wynoszący 7 tysięcy ludzi, otoczył tę szczupłą ilość walecznéj młodzieży i po większéj części zabrał ją do niewoli, a między innemi i jenerała Konopkę mocno rannego.

Porucznik Gorajski był tak szczęśliwy uniknąć tego losu, a za pośrednictwem familii pp. Tyman, rodziców jenerała rossyjskiego tego nazwiska, dostał się do Wilna, gdzie zameldowawszy się szefowi Szwadronu Piotrowi Krasińskiemu dowodzącemu zakładem Igo pułku polskiéj Gwardyi, następnie jenerałowi polskiemu Stefanowi Grabowskiemu, wezwany został przez Xięcia Bassano (Maret), ażeby zdał piśmienny raport o bitwie Słonimskiéj, celem przesłania takowego cesarzowi Napoleonowi. W połowie grudnia otrzymał porucznik Gorajski polecenie od Marszałka Bessières *Duc d' Istrie*, dowódzcy całéj Gwardyi konnéj, udania się pospiesznie do Warszawy z rozkazem do szefa Szwadronu Ambrożego Skarżyńskiego, ażeby ile możności kompletował oddział Litewskiéj Gwardyi pod jego dowództwem zostający. Jakoż w początku stycznia oddziały obu pułków polskich Gwardyj, złączyły się w Krakowie pod dowództwem Majora Igo pułku, pułkownika Kozietulskiego, a następnie wyruszyły do Wielkiéj Armii, pod Naczelnictwem Xcia Józefa Poniatowskiego. Oddział pułku Litewskiego, został na ten czas w zupełności wcielony do Igo pułku naszego, a zatem także i porucznik Gorajski, który jednak wkrótce za nominacyą Xcia Poniatowskiego przeszedł na kapitana do wojska Księstwa Warszawskiego i został adjutantem jenerała Umińskiego. Tu jeszcze musimy uzupełnić, trudne do opisania umundurowanie pułku polskiéj Gwardyi, które umieściliśmy na stronnicach 14 i 15 pierwszego naszego wspomnie-

nia o tym pułku w Dodatku do Czasu na miesiąc grudzień 1856 r. Szczegół ten jest drobny, ale narodowość naszę obchodzący. Ponieważ nasz pułk jako będący całkiem na żołdzie cesarza Francuzów, nosił kokardę francuzką, przeto umieszczono na téj kokardzie krzyż kształtu tak zwanego Maltańskiego, u czapek oficerów srebrny, u szeregowych pobielany, a to na pamiątkę dawnego zwyczaju narodowego, a mianowicie Konfederacyi Barskiéj, któréj jak wiadomo ojciec jenerała Krasińskiego był Marszałkiem, a stryj jego biskup Kamieniecki kierownikiem.

Po tych poprawkach przez dawnych kollegów i własną niepamięć spowodowanych, składamy tu podziękowanie szanownemu Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu, i bezimiennemu paryskiemu korespondentowi *Czasu*, z których *pierwszy* w III tomie „Cmentarza Powązkowskiego", *drugi* w Nrze *Czasu* 60tym z d. 14go marca 1858 podają mi przyjazną rękę na znak zgody w lekkich naszych zatargach o szczegóły sławy narodowéj dotyczące, oby ten przykład zaszczytny naśladowany był od wszystkich pisarzy, co w polskiéj mowie nawzajem siebie w prasach drukarskich czernią!

Takim wstępem poprzedziwszy dalszy ciąg naszych wspomnień, wracamy do części pułku, którą zostawiliśmy w pochodzie z Madrytu ku Rioseco, z dniem 14tym lipca 1808 r.

Przebywszy Gwadarramę miasteczko i górę, szwadrony nasze kierowały swój pochód przez Villa-Castin, Ar evalos, Medina del Campo, Tordesillas. Ciągnąc przez równiny, widywaliśmy tylko z daleka podjazdy hiszpańskie, które postrzegając z łatwością kolumnę naszą w blasku słońca lipcowego, unikały spotkania się i z tumanem kurzawy uchodziły. Tak przybywszy do Rioseco zastaliśmy w bliskości tego miasta Marszałka Bessières z korpusem jego zwycięzkim. Widoczne jeszcze były

ślady boju świeżego i zniszczenia, dymiące pogorzeliska, znaczna ilość jeńców hiszpańskich i różna zdobycz artyleryi i pociągów, ale boju już nie było, nie mogliśmy więc brać udziału w zasłudze naszego Szwadronu dowództwa kapitana Radzimińskiego, który pierwszy miał szczęście walczenia za Napoleona, a razem za sławę narodu Polskiego. Złączył się więc cały tak nazwany nasz pierwszy regiment składający się z kompletnych kompanij 1széi i 5téj, 2 i 6téj stanowiąc cztery szwadrony bojowe, czyli przeszło 400 koni pod dowództwem swego pułkownika Wincentego Krasińskiego. Gros-major 1szy, pułkownik Delaitre, który był z kolei dowódzcą tego pierwszego regimentu, jeszcze bawił we Francyi, gdzie się trudnił administracyą całego pułku, a miejsce jego zastępował pod pułkownikiem Krasińskim, najstarszy Szef Szwadronu Tomasz Łubieński. Marszałek Bessières, który przy sobie nie miał żadnego oddziału konnéj Gwardyi tak licznego, a razem chciał nam dać naukę doświadczenia pod wodzą znakomitego jenerała jazdy i w towarzystwie wsławionych pułków lekkiéj konnicy, poruczył nas jenerałowi Dywizyi Lasalle, dawnemu i sławnemu towarzyszowi Bonapartego pod Rivoli, w Egipcie i w każdéj wyprawie; który przy chlubnem mianie najśmielszego między śmiałymi, posiadał wysokie wykształcenie wojskowe, a nawet literackie; który, gdyby go kula karabinowa nie sprzątnęła pod Wagram, byłby niemylnie został Marszałkiem i oddał większe posługi Napoleonowi niż podobny jemu w odwadze i prowadzeniu Jazdy, lecz o wiele mniej wykształcony Murat, późniéj król Neapolitański. Pod takim więc wodzem zaczął nasz pułk odbywać służbę lekkiéj Jazdy, w towarzystwie mianowicie dwóch sławnych Regimentów Strzelców konnych, 10go i 22go, którego ostatniego jenerał Lassale był niegdyś pułkownikiem.

Można sobie wystawić, jakie tam było nasze współubieganie, i nasza nauka, w takiéj szkole dzienno nocnego doświadczenia, będąc zawsze w przedniéj straży, od bitwy pod Rioseco, która się odbyła 14 lipca, aż po bitwie pod Burgos, którą można mówić wygrał jenerał Lassalle d. 10 listopada 1808.

Jeżeli więc nauczyliśmy się porządku, karności, manewrów, owo zgoła służby, od staréj Gwardyi konnéj; wykształciliśmy się wojennie, między najdzielniejszą jazdą lekką ;i pod najpierwszym jenerałem téj broni, przez całe pięć miesięcy. Długą i drogą pamięć zachowaliśmy dla jenerała Lassalla, który umiał w sobie łączyć przymioty wodza wyższego rzędu, i zalety towarzyskie znakomitego wychowania, jakoż pułk cały śpiewał z zapałem piosnkę, ktorą on dla nas i dla całego Narodu Polskiego, ma się rozumieć w francuzkim języku ułożył.

Z pod Rioseco marszałek Bessières ruszył z całym swym korpusem, za uchodzącymi jenerałami hiszpańskimi Blake i Cuesta którzy, pomimo tego że mieli wojska składające się prawie wyłącznie z regularnego żołnierza, jednak nigdzie nie zdołali stawiać oporu; bo te wojska hiszpańskie, po bitwie pod Rioseco, prawie całkiem się rozproszyły na strony, i dopiero późniéj na oddalonem miejscu połączyły się. Z resztą marszałek Bessières pobiwszy wojska regularne hiszpańskie, spodziewał się, że to jego zwycięztwo rozszerzy postrach w powstającym narodzie, i że on, zawsze skłonny do łagodnego postępowania, takowem uspokoi część północną Hiszpanii, jemu głównie przez Napoleona powierzoną. Postępowaliśmy zatém bez pośpiechu za cofającymi się jenerałami, idąc w przedniéj straży pod dowództwem jenerała Lassalle, i zajęliśmy bez oporu miasto Leon, stolicę niegdyś królestwa tego nazwiska. W tem mieście

znakomitem, marszałek zatrzymał się dni kilka, starając się przywrócić porządek i powagę Cesarza Francuzów.

Z pod Leonu posunął się nasz korpus aż w okolicę miasta Astorgi. Zdarzyło się, że w ostatnim marszu, mnie wypadło być z plutonem na placówce, co Francuzi nazywają *Grand-Garde*; vedety moje, rozstawione były po pagórkach, ja sam z placówką stałem w miejscu, z którego można było przejrzeć całą okolicę. Koło południa nie tylko ujrzałem wielki ruch w obozie hiszpańskim pod miastem Astorgą, ale ogień karabinowy i armatni. Nie było widać żadnego boju, żadnéj napaści naszego wojska na hiszpanów z któréj bądź strony; dałem znać o tem osobliwszem zjawisku do mojéj komendy, i czuwałem z podwójną bacznością, nie mogąc pojąć coby te ognie, formalne salwy, znaczyły? Tłómaczyłem je sobie jako mustrę odbywaną z ogniem, dla ćwiczenia rekrutów. Gdy zmierzch wieczorny nadszedł, otrzymałem rozkaz zachowania się na posterunkach jak najspokojniéj, oczekując zupełnéj nocy, a w tenczas, cofnienia się do wsi z któréj wyszedłem był na straż obozową. Jakież było moje zadziwienie, kiedy wróciwszy do rzeczonéj wioski, nikogo już z naszych tam nie zastałem! Udałem się więc za śladami naszéj tylnéj straży, i nareszcie dogoniwszy kolumny pułku swego, dowiedziałem się, że ognie o których byłem uczynił raport, były to, strzelania radosne wojska hiszpańskiego z powodu odniesionego nad jenerałem Dupont zwycięstwa pod Baylen, i że nasze cofanie, aczkolwiek po zwycięstwie znakomitem, było skutkiem owéj poniesionéj klęski: Wypadki te były dla nas młodych Polaków, niepojętemi, i głowy i serca mieliśmy zajęte tylko zwycięstwami, których cesarz był dał tyle dowodów pod Jeną, Eylau, Friedland. Zaufanie nasze w potędze Napoleona i w doświadczeniu wojennem naszych dowódzców francuzkich, było bez granic; czuliśmy w sobie prze-

konanie, że w razie starcia się z nieprzyjacielem, żadne wojsko, mianowicie żadna jazda, nam się oprzeć nie zdoła; należeliśmy do korpusu najlepszych wojsk francuzkich, który świeżo odniósł był świetne zwycięstwo, co popłoch i przestraszenie szeroko po Hiszpanii zwłaszcza północnéj rozniosło; niepojmowaliśmy jak jenerał Dupont, który w tylu bitwach mianowicie w roku 1805 pod Dierstein tak się był odznaczył, mógł się dać zwyciężyć powstańcom nawet hiszpańskim; jak marszałek Bessières wódz Gwardyi mógł się dać namówić do cofania się przed pobitym nieprzyjacielem! Ale wkrótce czekały nas daleko mocniejsze rozczarowania. Odwrót naszego korpusu, nieścigany, odbywał się w największym porządku, z powagą zwycięzców, kierowaliśmy się przez Leon Palencię na Burgos.

Zbliżając się do tego miasta, dowiedzieliśmy się o ustąpieniu króla Napoleona Jòzefa z Madrytu! Tu dopiero zadziwienie Szwoleżerów Polskich było bez miary. Jakiż to pośpiech, przerażenie, nieład, istna ucieczka... jak gdyby wszystkie wojska Hiszpanii nacierały na tego nowego króla, który ledwie się pokazał w swojéj stolicy, uchodził, przez nikogo nie ścigany... Cała pociecha jaką z takiéj nieszczęśliwéj sprawy, dla siebie osiągaliśmy była ta, że nam się udało, nie pozostać w Madrycie i brać udział w tak niepojętéj ucieczce.

Za dni kilka król Józef jako brat cesarza odbywał rewie korpusów Gwardyi, nasz pułk przejrzał w tych samych miejscach nad rzeką Arlanzon, z którycheśmy późniéj świetne odnieść mieli zwycięztwo pod dowództwem marszałka Soult. Postawa króla pretendenta do korony hiszpańskiéj, niewydało nam się bynajmniéj wojskową, i zdawało nam się, że Murat byłby lepiéj odpowiedział widokom Napoleona i potrzebom saméj Hiszpanii.

Po takowém ustąpieniu króla Józefa z Madrytu, wojska francuzkie zewsząd cofały się, król udał się aż do Vittoryi, i tam w pół kole otoczony różnemi korpusami, oczekiwał przybycia i posiłków swego bohaterskiego brata.

Nasz pierwszy pułk pod dowództwem pułkownika Krasińskiego zostający, w tylnéj straży pod jenerałem Lassalle, zasłaniał łącznie z jego lekką jazdą, pozycyą króla od Rejnozy z północy na prawém skrzydle, aż do Logronio z południa, na lewém. W krótce wojska Hiszpańskie zajęły i Burgos a nasza tylna straż cofnęła się aż w okolice Brivieski.

Przez ten czas który do miesiąca listopada trwał, przybywała druga połowa naszego pułku, oddziałami z Polski do Hiszpanii. Pierwszy oddział, 3go szwadronu pod Dowództwem kapitana Dziewanowskiego, odbywszy już służbę przy cesarzu pod Bajonną i przy zamku Marrac, przekroczył Pireneje, a za tym oddziałem wkrótce i cała reszta pułku przybyła pod dowództwem Grosmajora pułkownika Dautancourt. Wtenczas to pokazali się pierwsi officerowie Francuzi naszym szwadronom starszym, adjutanci pułkowi Coulon i Deshayes oba bardzo godni z pułku strzelców konnych gwardyi awansowani wachmistrze, co dziwniejsza, mający postawy nie tylko polskie, ale jak nam malują Sobieskiego. Gdy się pierwszy zjawił Coulon, żołnierze nasi nie chcieli wierzyć, żeby to nie był Polak, aż się przekonali że słowa nie umiał po polsku. W naszych szwadronach składających jakby pierwszy regiment, nie było dotąd żadnego oficera Francuza, prócz adjutanta majora Polereczkiego, o którym już była mowa, że w Burgos zasłabł i odjechał do Francyi gdzie w krótce umarł; zaś Grosmajor pułkownik, późniéj jenerał Dautancourt, był wielkim zwolennikiem sztabu francuzkiego. Z nim przybył także drugi adjutant major kapitan Du-

vivier, belgijczyk okazałéj postaci, jasnowłosy, rumianéj twarzy, officer który po kilka razy dał dówody swego zamiłowania i honorowego poświęcenia pułkowi. W Paryżu mieliśmy już przybyłego z Warszawy kapitana Rollin kwatermistrza czyli płatnika pułku, atoli w pierwszéj kampani hiszpańskiéj 1808 roku więcéj officerów Francuzkich przy pułku nie było nad wyż wyrażonych. Pierwszy major pułkownik Delaitre był z oddziałem trzeciego szwadronu pod Bajonną i Marrac, przy cesarzu, ale nie przybył do Hiszpanii, wrócił do Paryża dla czynności administracyi pułku.

W roku 1808 nie mieliśmy także jeszcze doktorów i chirurgów Francuzów: takiemi byli dotąd w pierwszych szwadronach pp. Gadowski i Kuszański oba uczniowie akademii krakowskiéj. Między trębaczami mieliśmy Francuzów, i to trzeba powiedzieć: wielkich zuchów. Już to trębacze nasi popisywali się odwagą i między sobą i szeregowymi. Blaise trębacz major, który z czasem został oficerem, w pewnéj bitwie w Hiszpani, podobno z Anglikami mając konia zabitego, przyjechał na oślicy i tak stanął na czele orszaku trębaczów pod baterya dział nieprzyjacielskich, twierdząc w głos że chce dać dowód, iż natarcie jazdy nie zależy od dobroci koni, ale od serca nacierających. Jedni trębacze nasi Francuzi i Piemontczyki, co umieli przywdziewać czapkę po polsku nie na lewe ucho, jak się to czasem czytać daje w pisarzach naszych powieściowych, ale zawsze na prawe oko pochyloną, co się zowie *na bakier*. Mówią że ten wyraz pochodzić ma od jakiegoś B'äkera, sławnego rębacza z dawniejszych czasów. Był i u nas tego nazwiska trębacz, godny tego zaszczytu; był to Sas, który młodym chłopięciem będąc, w r. 1813 przystał za trębacza, i odznaczył się tak śmiałością w boju, jak talentem w muzyce. Był on póżniéj sztabstrębaczem w Gwardyi konnéj królestwa kongresowego. Ten umiał nosić czapkę na bakier według

własnego nazwiska; a że w tym akcencie (oznaku) jest coś narodowego, swojskiego, nie bez znaczenia, okazał to imperator Mikołaj na rewii pod Kaliszem r. 1834, strofując pułkownika od ułanów, że w jego regimencie żołnierze noszą czapki *nadto na bakier*.

Lecz wróćmy do Hiszpanii. Przed przybyciem Napoleona, jak się powiedziało wyżéj, cały nasz pułk złączył się razem: to jest wszystkie cztery szwadrony etatowe po 250 koni, obejmujące ośm kompanij po 125 koni, co tworzyło ośm szwadronów bojowych, po cztery plutony dwunasto rotowe, z oficerami i podoficerami mniéj więcéj po 100 koni. Taka linia 800 koni będąc za długą do manewrów, zwyczajem było w pułkach Gwardyi konnéj francuzkiéj, dzielić pułki na dwa regimenta, co też odpowiadało i godności dowódzców którzy wszyscy byli jenerałami, prócz naszego wówczas jeszcze młodego pułkownika Krasińskiego. Ten więc w nieobecności Grosmajora Delaitre został osobiście przy pierwszym regimencie dowodzonym zastępczo przez najstarszego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, i stanął obozem pod Santa-Maria de Cubo: zaś drugi regiment rozłożył się biwakiem w Briviesce, pod dowództwem drugiego Gros-majora wówczas jeszcze pułkownika Dautancourt.

Rzadko kiedy oba te regimenta występowały razem, ponieważ służba owoczesna ograniczała się na podjazdy, i wycieczki małych oddziałów, oraz na placówki, patrole i zwykłą przedpocztową służbę, którą się odbywało z pułkami lekkiéj jazdy jenerała Lassalle, jak się wyżéj o tém uczyniło wzmiankę, która służba nas bezustannie zajmowała i w wojskowości zaprawiała.

Zdarzył się wówczas bezprzykładny jeden w swoim rodzaju wypadek, że pod-officer Żellizer z pod Briviески uszedł, (zdezerterował) czy do nieprzyjaciela, czy w lasy i góry? nie było wiadomo. Podofficer ten od-

znaczał się służbowością i zapałem, bo będąc Officerem w 3cim pułku piechoty Xięstwa warszawskiego, wstąpił był na szeregowego do naszéj gwardyi; ale zabójstwo spokojnego włościanina hiszpańskiego, podczas gdy Żellizer dowodził placówką, przez Jenerała francuzkiego objeżdżającego przedpoczty odkryte, poddawało go pod sąd wojenny, czego Żellizer unikając, znikł w nocy, nie czekając aresztu; nie wiadomo czy sobie odebrał życie, czy szukał gdzie przytułku. Wypadek ten zrobił w pułku bolesne wrażenie, bo podawał Jenerałom francuzkim powód posądzania nas, że byliśmy zdolni do dezercyi, co bynajmniej nie mogło być naszą wadą, ale przykład takiego pod-officera, był bez odparcia.

Tymczasem świeże wojska francuzkie, już nie ze zbieranych oddziałków marszowych złożone, ale korpusy weteranów, przez Marszałków wsławionych prowadzone, zaczęły do Hiszpanii przybywać. Na linią od Vittoryi do Burgos przybył Marszałek Soult, i założył swoją główną kwaterę w Briviesce. D. 8. listopada, wysłał mnie pułkownik Krasiński z tego miasteczka, konną pocztą (*à franc etrier*) do Vittoryi, z raportami Marszałków Soult i Bessières, do świeżo przybyłego Cesarza Pocztowe konie były tak umęczone przez nieustanne jazdy kuryerów, że dwa razy musiałem odbywać stacye pocztowe na mułach, i dwa razy się w téj powolnie pośpiesznej jeździe przewróciłem; przybyłem więc do Vittoryi do sztabu cesarskiego wstanie ubrania, nie chlubnym dla umundurowania Pułku Gwardyi polskiéj, i wahałem się jak w tym stanie potłucznia i obdarcia, stawię się przed Cesarzem. Lecz lubo ten na takie drobności nie zwykł był uważać nie dostąpiłem tego szczęścia i tylko byłem przyjęty przez Xięcia Neufchatelskiego, który widząc mój stan nadweręženia, powiedział mi z uśmiechem, żebym nie tracił czasu, ale wypoczął i połatał się, bo niebawem będę expedyowany

napowrót z pilnymi rozkazami. Tymczasem poczęstowano mnie z kuchni Cesarskiej, a pp. Officerowie sztabowi obarczali mnię pytaniami, o szczegóły wojny hiszpańskiej i działania na linii przed nieprzyjacielem. Istotnie, po nie wielu godzinach, zostałem do Xcia Neufchatelskiego wołany, i przez tegóż do Marszałka Sonlta nazad wyprawiony. Koło północy stanąłem w Briviesce i zostałem natychmiast wprowadzony do kwatery Marszałka Soult, który razem z Marszałkiem Bessières, oba w jednéj izbie, jeden na łóżku, drugi na kanapie, całkowicie ubrani, w bótach długich (*à l'ecuyère*) odpoczywali w niczem od innych officerów nie różniąc się w noclegu, tylko, że zamiast kapeluszów, mieli na głowie; M. Soult duchenkę jedwabną czarną a M. Bessières chustkę fularową kolorową. — Przytaczam te drobne szczegóły, dla nauki czytelników młodych, jak to Marszałkowie, Diuki Dalmacyi i Istryi, pełnili służbę i czuwali na wojnie pod Napoleonem. Ponieważ świeca paliła się na stole obok łoża Dowódzcy, jak to było zwyczajem w wojsku Francuzkiém, więc M. Soult rozpieczętował zaraz expedycyę i zwracając głos do M. Bessières, oświadczył: „Major Jeneralny donosi mi o ró„żnych potyczkach zwycięzko odbytych przez naszych „kollegów, trzeba się spodziewać, że za kilka godzin i „my dostąpimy takich samych korzyści, ponieważ oto „odbieram rozkaz Cesarski, uderzenia na nieprzyjaciela“ I zaraz wydał rozkaz do swojego Sztabu, ażeby wszelkie oddziały pod jego dowództwem zostające, odebrały polecenie stawania bezzwłocznie pod bronią, ażeby rozprawę zacząć można z brzaskiem dnia.

Odbywszy się w ten sposób u MM. Soult i Bessières, udałem się do Pułkownika Krasińskiego złożyć mu raport z posyłki mojéj do Vittoryii. — O drugiej godzinie rano pułk nasz był na koniu, występując po raz pierwszy w całym komplecie do boju.

Sławny p. Thiers, który miał wszystkie dokumenta w ręku, opisuje bitwę pod Burgos, nie równie lepiej niżbym ja mógł to wypełnić z pamięci, ale pomimo tych dokumentów, którymi się tak często szczyci, nie czyni najmniejszéj wzmianki o pułku Polskiej konnej Gwardyi. Prawdą jest, że Jazda Jenerała Lassalle i piechota Marszałka Soalt nie dały nam brać wielkiego udziału w bitwie, bo nimeśmy zdążyli za niemi, już byli rozbili w rozsypkę całe wojsko hiszpańskie. Posuwaliśmy się więc w różnych kierunkach pośpieszno za uchodzącymi, przebywaiąc wytężonym kłusem miasto Burgos, zasłane przewróconemi armatami, lawetami, wozami bagażowemi i tak daléj po drodze; jedném słowem, ścigaliśmy wojsko uciekające z małą stratą własną, aż nam kazano się zatrzymać, a lekka jazda Jenerała Lassalle poszła w kierunku nieprzyjaciela ku Valladolid.

Gdy Cesarz po tém zwycięztwie Marszałków Soult i Bessières, przybył do Burgos, odkommenderowano do jego osobistej straży, pluton pod Dowództwem Porucznika Wybickiego, syna znamienitego patryoty, którego Napoleon znał kiedy jeszcze był Bonapartem. Cesarz zawsze dobry, zawsze uprzejmy dla Polaków, jak tylko usłyszał nazwisko Wybickiego, zaraz tego Officera przywołał do siebie, i pozdrowił go wyrazami uprzejmymi dla niego, dla jego Ojca i dla narodu polskiego. — Wtenczas to Napoleon uważając w plutonie Wybickiego z II kompanii, Szwoleżera nadzwyczajnego wzrostu Pomorskiego, kazał przywołać Marszałka Mortier, będącego jak wiadomo bardzo wysokim, i zmierzyć się z nim. Tenże Pomorski w r. 1809 będąc już Brygardierem z gorzał na śmierć w miasteczku Lambach nad rzeką Ens w Austryi.

W krótce po bitwie Burgoskiej, powziął Cesarz zamiar opuszczenia swoją osobą głównego traktu na Valladolid i Segovię, a puścić się poboczną drogą na Ler

mę, Arandę, Somosierrę prosto do Madrytu. W tym kierunku nasz Pułk wysłany był do Lermy, jednakże o ile pamiętam, oddziałami, nie razem. Żeby miasto Lerma miało być zrabowane, a zwłaszcza przez naszych Szwoleżerów jak to czytałem w kalendarzu krakowskim na r. 1856 na co odpisałem w I Oddziale wspomnień moich pułkowych, w *Dodatku do Czasu* na miesiąc grudzień tegoż roku — tego wcale niepamiętam; przeciwnie, przypominam sobie żeśmy wkroczyli pierwsi do miasta Lermy, i zastali takowe niemal zupełnie puste; ja sam, widząc w środku rynku Ratusz okazały, a bezludny, wstąpiłem do sali radnéj, a zastawszy tam księgę sessyonalną rozłożoną, wpisałem wiersz, *nie polakowi przyzwoity*: „*Parcere Subjectis et debellare superbos*“ ale ten szczegół tu zamieszczam, dla pamiątki jakie to było usposobienie naszéj młodzieży dla Napoleona, jedynie z nadziei i zaufania w nim pochodzące. Oprócz tego *gwałtu moralnego*, żadnego rabunku w Lermie sobie nieprzypominam. — Pamiętam tylko, że nasz oddział pierwszy przybywszy do tego miasta, kolledzy moi Szeptycki, Brocki, i inni, wysyłani byli w okolice na rozpoznawanie, a ja odkommenderowany z plutonem na służbę do osoby Cesarza. Stanąłem więc w pałacu dawnych książąt Lermy i tam poznałem Hrabiego Filipa de Segur, wówczas furiera Cesarskiego - *Marèchal-des-Logis du palais*, z rangą Gros - Majora — po polsku: pod pułkownika, później Jenerała w sztabie Cesarskim i pisarza o „Wyprawie Napoleona i Wielkiej Armii w roku 1812 do Rosyi“. Będę miał później sposobność wzmiankować jeszcze o tym Officerze znamienitym, tu tylko tyle wspomnę, że zaproszony od niego na obiad Marszałkowski, używałem rozmowy światłéj i o polskich rzeczach dobrze świadomego, syna Posła, który przez długie lata sprawował ten rząd przy Katarzynie II przed ostatnim podziałem Polski. — Nie doczekawszy się Ce-

sarza w Lermie, pułk nasz, a raczéj część ta w któréj ja się liczyłem, odbywaliśmy bezustanne podjazdy w różne okolice, i tak pamiętam mocne nasze rozpoznanie do miasta Osma na lewo leżącego, celem wywiedzenia się o Armii hiszpańskiej rozbitej pod Tudela; to znowu pamiętam, żem był wysłany z Arandy, sam zjednym plutonem, do wioski czyli miasteczka Olmedillo, w prawą stronę, a cały Regiment nasz drugi, pod Dowództwem Pułkowntka Dautancourt, do miasta Roa, z którym to podjazdem mocniejszym, miałem polecenie się spotkać, i zdać sprawę Dowódzcy. W kroczywszy już pod wieczór do Olmedillo, municypalność jakkolwiek niższego rzędu w tak małéj mieścinie przyjęła mnie uprzejmie, zapewniając o jak najlepszych i najspokojniejszych uczuciach. Gdy jednak posunąłem się daléj, celem zakomunikowania się z większym popjazdem do Roa wysłanym, zaczęto do mnie z ostatnich domów strzelać, a ponieważ noc w miesiącu listopadzie zapadała wcześnie, lękając się nocnéj zasadzki zmuszonym się widziałem zająć owczarnię wśród obszernego pola i zawarować się w niej, na przypadek napadu, ogniem karabinkowym. Powracając po spotkaniu się z Majorem Dautancourt, przez to samo Olmedillo, ująłem dwóch członków małéj Municypalności, Alcalda i Corregidora a kazawszy im powsiadać na osiołki, poprowadziłem ich z sobą do Arandy, chcąc ich dla ukarania dostawić Marszałkowi Bessiéres, który dla nas Officerów Polaków miał szczególną przychylność, i mnie samego był kilkakrotnie miał u swego stołu. Opowiedziałem mu z uniesieniem, jakiéj byłem doznał zdrady w Olmedillo, i dodałem że dwóch starszych miasteczka, przyprowadziłem panu Marszałkowi do ukarania. Jakież było moje zadziwienie, gdy mi Bessiéres odrzekł: „młody człowieku! masz szczęście żeś się niedopuścił żadnej gwałtowności względem tych poczciwych ludzi, byłbyś mi

„za to odpowiedział osobiście; zawołaj ich do mnie“. Przemówił do nich kilka słów dobrotliwych, których oni nie zrozumieli, i kazał im wrócić do domu. Opisałem ten drobny wypadek, dla dania wyobrażenia, jak Marszałek Bessiéres był usposobiony, wzgiędem Hiszpanów i o trybie prowadzenia tej wojny: ale po takiém zelżeniu wszelkich uczuć narodowych, jakiego się Napoleon był dopuścił, ani dobrodziejstwa, ani kary, już nie mogły skutkować.

Z Arandy postępując ku Somo-Sierra, pierwszy Regiment naszego Pułku, udał się jeszcze na lewo od naszéj kolumny, a na prawo od pozycyi Somo-Sierry, pod dowództwem Szefa Szwadronu Łubieńskiego, gdzie natarliśmy kilkakrotnie na oddziały wojsk hiszpańskich, a poniósłszy stratę kilku szeregowych i ująwszy nieco języka, przybyliśmy na koniec pod Bocequillas.

Tu się zaczyna ta sławna rozprawa pod Somo-Sierrą od któréj zawołany historyk p. Thiers dał nazwę XXIII księdze dziejów Rewolucyi, Konsulatu i Cesarstwa. Musiał więc ten znakomity pisarz uznawać ważność i cześć tej bitwy, torującéj Cesarzowi drogę do Madrytu, kiedy ją tym sposobem postawił na równi, z najsławniejszemi bitwami, jakiemi poznaczał różne księgi swéj historyi. Ale ponieważ zwycięztwo nad 13 tysięcznym korpusem nieprzyjacielskim i 16tu działami ostrzeliwającemi wąwóz niedostępny, wywalczone było przez jeden szwadronik młodzieży polskiej, pierwszy raz w takim boju nacierający, więc starał się p. Thiers, — *prawda że idąc za przykładem różnych poprzedników, a nawet Monitora*, przypisać to nadzwyczajne natarcie jazdy, Jenerałom i Officerom francuzkim i wystawić cały ten czyn w sposób odejmujący mu całą osobliwość i cześć. Ponieważ dziełko w języku francuzkim w R. 1855 w Paryżu wyszłe, pp. Thiersa, Segura i Lamartina imieniem Narodu Polskiego zbijające, już się odparciem p. Thier-

sa względem natarcia pod Somo-Sierrą dostatecznie zajęło, więc tu tylko dla pamiątki zamieszczamy 13 bulletyn Wojska w Hiszpanii z *Monitora* paryzkiego wyjęty, który tak dosłownie brzmi:

„Ś. Martin, blisko Madrytu. D. 2 grudnia 1808.

„Dnia 29 listopada, główna kwatera Cesarza przeniesioną została do wsi Bocepuillas. Dnia 30 o świcie „książe Belluno (Marszałek Victor) stanął u stóp Somo-„Sierry. — Dywizya trzynastu tysięcy Armii rozerwo-„wej hiszpańskiej, broniła przejść tej góry. Nieprzyjaciel „sądził być to stanowisko niezdobytém. Oszańcował był „cieśninę, którą Hiszpanie zowią: *puerto* i obsadził ją „16 działami. Dziesiąty pułk lekkiej piechoty uwieńczył „prawą stronę drogi; 96 pułk udał się gościeńcem „*(chaussée)* a 24ty postępował na lewo pod górę. Jene-„rał Sénarmont, z sześciu działami posunął się gościń-„cem.

„Ogień ręcznéj broni i armatni rozpoczęły się z obu „stron.

„*Natarcie* które wykonał jenerał Montbrun na czele „Szwoleżerów polskich; rozstrzygnęło los bitwy; natar-„cie świetne, jakie się kiedykolwiek odbyło *), w któ-„rem ten pułk okrył się sławą, i okazał się być go-„dnym uczestniczyć w Gwardyi Cesarskiéj. Działa, cho-„rągwie, strzelby, żołnierze, wszystko to zostało zdoby-„te, odcięte, albo schwytane. Ośmiu szwoleżerów pol-„skich zginęło na działach, szesnastu zostało rannych. „Między tymi ostatnimi kapitan Dziewanowski, tak cięż-„ko został ranny, że zostaje prawie bez nadziei. — „Major Ségur, Furyer (*Maréchal des logis*) domu cesar-„skiego, nacierając między Polakami, odniósł kilka ran, „z których jedna dość ważna. Owe szesnaście armat,

---

*) *Charge brillante s' il en fut.*

„dziesięć chorągwi, około trzydzieści wozów amunicyj-„nych, dwieście wozów różnych pociągów, kassy puł-„ków, oto są owoce tej świetnéj rozprawy. Pomiędzy „jeńcami którzy są bardzo liczni, znajdują się wszyscy „pułkownicy i pod-pułkownicy korpusów Dywizyi Hi-„szpańskiéj. — Wszyscy szeregowi byliby byli zabrani, „gdyby nie byli porzucili broni, i nie rozpierzchli się „po górach. Dnia 1go grudnia główna kwatera Cesar-„ska była w St. Augustin, a książe Istryi (Marszałek „Bessières) przybył z Jazdą uwieńczyć pagórki Madry-„ckie. — Piechota nie będzie mogła przybyć aż 3go. — „Wiadomości które dotąd powzięto, każą sądzić, że mia-„sto jest widowiskiem różnych nieporządków i że bramy „są barykadowane.

„Powietrze jest bardzo piękne“.

Otóż to jest text dosłownie tłumaczony, tego tak nazwanego urzędowego, (officiel) buletynu, który ma podać do potomności świetną pamięć Polaków pod Somo-Sierrą.

Nim zacznę zbijać i ten bulletyn i część opowiadania p. Thiersa, przytoczę tu ustęp z pisma *Victoires et Conquètes des Français de 1792 à 1815.* Ustęp ten zawiera w krótkich słowach to wszystko, cobyśmy mieli do powiedzenia, a co mamy do wytknięcia w dwóch opisach Buletynu i p. Thiersa.

Oto są słowa tego przytoczonego dzieła:

„Cesarz daje rozkaz szwadronowi Szwoleżerów pol-„skich będącemu przy nim na służbie natarcia na arty-„leryę nieprzyjacielską, która z wierzchołka cieśniny o-„strzeliwała gościniec. Waleczny ten oddział prowadzony „przez Szefa Szwadronu Kozietulskiego, posunął się na-„tychmiast w kolumnie czwórkami, ponieważ gościniec „nie dozwalał szerszego rozwinięcia.

„Wybiedz na górę galopem pomimo najokropniejszego „gradu kartaczów i krzyżowego ognia pieszéj strzelby;

„przewrócić wszystko cokolwiek się opierało natarciu, „opanować niedostępne stanowisko nieprzyjaciela, było „dziełem jednéj chwili, i wszystko, artyllerya, piechota „zostało zdobyte, zrąbane, rozproszone, odcięte lub za- „brane“.

Ten artykuł jest tak zredagowany, że gdybyśmy sami jego redakcyą mieli poleconą, nie moglibyśmy się lepiéj wyrazić. Otóż jest szczera i niewątpliwa prawda; jedna tylko okoliczność zachodzi mylnie wystawiona, jakoby 16 armat hiszpańskich stało w jednéj bateryi na wierzchołku cieśniny czyli wąwozu, kiedy przeciwnie te 16 armat rozstawione były po zagięciach gościńca, i tym sposobem ostrzeliwały daleko skuteczniej cały wąwóz. Ale ta okoliczność nie ma znaczenia, istotą jest, że wszystkie 16 armat zostały zdobyte, a pytaniem: przez kogo? czy przez samych tylko Polaków, i w jakiéj ich liczbie?...

Pan Thiers w téj mierze nietylko rzucił wątpliwość, ale z czynu zadziwiającego usiłował zrobić bardzo zwyczajną rozprawkę, a nawet z wyraźnem ubliżeniem *właśnie temu Szwadronowi, który sam jeden wszystko wykonał* — Oto jest część opisu p. Thiers, ale tycząca się rzeczonych kwestyj, dosłownie wytłómaczona:

„Świetny oficer Jazdy jenerał Montbrun wystąpił na „czele szwoleżerów polskich, *młody hufiec wyborczy, „który Napoleon utworzył sobie w Warszawie, ażeby „miał u swojéj Gwardyi coś ze wszystkich narodów i ze „wszystkich strojów.* Jenerał Montbrun z tymi walecznymi młodzieńcami uderzył w galopie na 16 armat Hiszpanów, nie zważając na straszny ogień karabinowy „i kartaczy. Pierwszy Szwadron otrzymał ogień, który „go wprawił w nieporządek, kładąc 30—40 jeźdźców „w szeregach. Ale szwadrony, które za pierwszym postępowały, przeskakując przez rannych, dostały się do „dział; zrąbały artylerzystów i zdobyły 16 armat. —

„Reszta Jazdy puściła się w pogoń za Hiszpanami, po „za wąwozem, i zeszła z nimi, na odwrotnéj stronie „Gwadarramy“....

„Wieczorem cała Jazda była w Buytrago razem z kwa„terą główną. Francuzi to, dali znać Hiszpanom o roz„biciu ich wojska, które się nazywało Somo-Sierskiem. „Napoleon był bardzo uradowany, że dowiódł swoim je„nerałom, *jacy to byli jego żołnierze*, jak ich wypadało „cenić, a jak nieprzyjaciela, oraz że z taką łatwością „przebył zaporę którą miano za niezdobytą.

„Polacy mieli mniéj więcéj pięćdziesiąt ludzi zabitych „i rannych na armatach. Napoleon obsypał ich nagro„dami, i policzył do rozdawnictwa swych łask, pana „Filipa de Sègur, który był w tém natarciu kilka po„strzałów otrzymał. Przeznaczył go do odwiezienia Cia„łu prawodawczemu Chorągwi zdobytych pod Burgos i „pod Somo-Sierra“.

Tak to więc według p. Thiersa, nie Kozietulski ale jenerał Montbrun, prowadził natarcie i nie jednego szwadronu, ale całego pułku, to jest ośmiu szwadronów, i dobrze z tem było dla sprawy Napoleona i honoru Polaków; bo pierwszy szwadron— prawda że tęgo przyjęty — pierzchnął haniebnie i gdyby nie jenerał Montbrun, poczciwy p. Furyer pałacowy dę Segur, i zapewne kilku jeszcze oficerów sztabowych Francuzkich, owe zawołane zwycięztwo Polaków, byłoby się zamieniło w sromotną porażkę, a raczéj ucieczkę. Bo co też to temu Napoleonowi było w głowie! do Gwardyi swojéj werbować w Warszawie jakichś tam studentów polskich, widocznie dla miłości własnéj, że ma koło siebie wszystkie narody i przeróżne stroje: zawoje mameluków i czapki czworograniaste Polaków.

To tylko zadziwia nas, że ten historyk taki przyjaciel dokumentów i dowodów, dopiero co powiedziawszy, że pierwszy szwadron, od razu stracił 30 do 40 ludzi,

po dokonanem jakoby natarciu przez cały pułk z ośmiu szwadronów, jak wiadomo złożony, p. Thiers podaje ogólną stratę Polaków na mniéj więcéj pięciudziesiąt ludzi, równie jak to, że gdy Gwadarrama, miasto i pasmo gór od niego nazwane, leżą na północ od Madrytu, na drodze ku Królestwu Leon, p. Thiers nazywa Gwadarramą to co jest pasmem Ayllon i co leży na Wschód Madrytu w kierunku do Burgos.

Nic więc dziwnego, że kollega nasz teraz już ś. p. Niegolewski, który najwięcéj się odznaczył w téj bitwie, upomniał się kilkakrotnie u p. Thiersa, o sprostowanie i odwołanie jego twierdzeń, sławie Polaków i honorowi 3go Szwadronu Gwardyi Szwoleżerów uwłaczających. Korrespondencye te kilkakrotnie drukiem ogłoszone, do nich więc czytelników odsyłamy, tu zaś wystawimy natarcie pod Somo-Sierrą tak jak z naocznego przekonania się i z wielokrotnéj rozmowy o tym chlubnym dniu od kollegów powzięliśmy.

Trzy główne nieprawdy które wynikają z bulletynu 13go i z opisu p. Thiersa, są następujące:

1. Że jenerał Montbrun dowodził natarciem.

2. Że pierwszy nacierający szwadron cofnął się odparty.

3. Że resztujące szwadrony pułku naprawiły to, czego 1szy nacierający szwadron nie był dokazał.

Trzy te twierdzenia są w zupełnéj sprzeczności, z opisem najrzetelniejszym dzieła: „*Victoires et conquètes*“. To wymaga objaśnienia. Nie można zaprzeczyć, że Napoleon sam wpływał na redakcyą bulletynów, lecz nie idzie za tem,, żeby je redagował wszystkie, i żeby był sam redagował buletyn 13ty o bitwie pod Somo-Sierrą. — Usilność, z jaką ten buletyn wystawia zasługę p. Filipa Segura, i śmieszność twierdzenia: żeby 16 armat w takiem stanowisku mogły być zdobyte ze stratą 8 ludzi zabitych a 16 rannych: sama nawet progressya arytme-

tyczna 8 i 16 odejmują temu buletynowi całe prawdopodobieństwo.

Gdyby sławny i znakomity jenerał Jazdy Montbrun był sam osobiście prowadził to natarcie, cała onego zasługa, należałaby jemu a nie Polakom i Kozietulskiemu który nimi dowodził.

Gdyby pierwszy szwadron nacierający został był odparty, i dopiero inne i liczne szwadrony były armaty zdobyły; natarcie to nie miałoby w sobie nic nadzwyczajnego. Ale rzecz nie tak się ma.

Trzeci szwadron składający się z kompanii 3ciéj kapitana Dziewanowskiego i z kompanii 7 kapitana Piotra Krasińskiego, był rano d. 30 listopada w obecności piszącego pod Bocequillas wykomenderowany przez Adjutanta Majora Duvivier, na służbę do Cesarza, a ponieważ Szef Szwadronu 3go, Ignacy Stokowski nie był jeszcze z Francyi nadjechał do pułku, a było obecnych tylko trzech szefów Szwadronu: Łubieński, Kozietulski i Henryk Kamieński, więc Duvivier naznaczył z kolei Kozietulskiego, ażeby z trzecim szwadronem odmaszerował na służbę do Cesarza. Tu zachodzi między mną, a twierdzeniem ś. p. Niegolewskiego różność zdań: Niegolewski mniema, że Szwadron rzeczony odłączył się od pułku z obiema kompanijami w całości, ja zaś sądzę, że Szwadron na służbę do Cesarza odkommenderowany, składał się tylko jak zwykle z czterech plutonów po 12 rot. Zdaje mi się nawet że pamiętam jak Duvivier zwyczajem swoim formował te plutony, a że to był może pierwszy raz, co z naszego pułku w czasie boju szwadron był wysyłany na służbę do osoby Napoleona, może być że adjutant Major dobierał ludzi i że dla tego, dwa plutony składały się z oddziału kompanii 3ciej, a dwa z oddziału kompanii 7méj. Okoliczność ta nie jest mało znaczącą, bo jeżeli natarcie jednego szwadronu zdecydowało i wygrało bitwę, więc im mniej-

szym był ten szwadron, tem większa dla niego i dla narodu naszego chwała. Cześć niech będzie cieniom walecznego i cnotliwego Niegolewskiego, ale w jego opisach bitwy pod Somo-Sierrą, tak polskim jak i Francuzkim jest kilka szczegółów, które my lepiéj pamiętamy od niego. I to rzecz bardzo naturalna. Bo on będąc od razu w natarciu, całkowicie tym bojem zajęty, a późniéj zostawszy śmiertelnie rannym, wszystkiego widzieć i pamiętać nie mógł, jak to już w 1szem wspomnieniu naszem *) wyraziwszy, tu niepowtarzamy. Ponieważ Niegolewski był odkommenderowany w kilkanaście koni, a może z całym swoim plutonem to jest 25 koni na przyprowadzenie języka, a kiedy wrócił, już zastał szwadron idący do natarcia czwórkami, co tworzyło długą kolumnę, więc być może, a raczéj tak być musi że ten jego oddział nie był policzony przez adjutanta majora i tym sposobem szwadron nacierający, mógł obejmować pięć plutonów, to jest o jeden więcéj, czyli 125 koni. Gdyby zaś całkowite obie kompanije 3cia i 7ma były nacierały, toby musiało być 8 plutonów, czyli 200 koni; co stanowi znaczną różnicę, ale nigdy taką, żeby ta większa lub mniejsza liczba mogła być stanowczą do zwalczenia korpusu 13 tysięcznego, i w takiem położeniu.

Tu znowu ś. p. Niegolewski opowiada ciekawą anegdotę, że szwoleżer nasz jeden zapaliwszy lulkę u ogniska przed Napoleonem rozpalonego, miał, zamiast podziękowania mu, wyrzec: „Ja jemu tam — wskazując na góry, podziękuję!“ Czyby takie słowo prostego żołnierza miało dać myśl Napoleonowi zdobycia wąwozu i armat przez mały oddział Jazdy? Czy też to mniemanie że zapał młodych Polaków z najmniejszym krwi rozlewem przełamie zaporę stawioną mu przez nieprzy-

*) Zobacz *Czas*, *„Dodatek miesięczny“* r. 1856 t. IV. zeszyt grudniowy.

wykły do boju korpus hiszpański? rzecz ta nie mogłaby być rozstrzygniętą tylko w jakich poufnych pamiętnikach tego bohatera. Istotą jest: że Napoleon przez piechotę i tyralierów z niéj, kazał rozpoznać pozycyę nieprzyjaciela, a dowiedziawszy się że gościniec był szerokim rowem przekopany, kazał go piechocie, chrustem i kamieniami zasypać; a skoro tak gościniec stał się dla Jazdy i dla Artylleryi dostępnym, przywołał Kozietulskiego i kazał mu ze swoim szwadronem służbowym uderzyć na armaty i starać się je zdobyć; a zaś piechota Marszałka Victora postępowala z bronią w ramię bez wystrzału. Sam marszałek pieszo prowadził linią rozwiniętą pod górę prawą, a jenerał Semele, Szef sztabu korpusu, prowadził podobnie linią pod górę w lewo, co ja mogę poświadczyć żem na swoje oczy widział.

Jak skoro Kozietulski otrzymał polecenie Cesarza, rozkazał Szwadronowi dobyć pałaszy i z okrzykiem: Niech żyje Cesarz! puścił się zaraz gościńcem pod górę w kolumnie marszowéj czwórkami, ponieważ wązki trakt nie dozwolił nacierać plutonami. Jak tylko rozpoczęło się natarcie, trwało nieprzerwanie, zdobywając pół-bateryе armat jedne po drugich. — Kozietulski mając zaraz z początku natarcia konia zabitego, nie mógł osobiście kończyć zwycięztwa, ale Szwadron nie ustawał ani na chwilę, bo tym tylko sposobem armaty nieprzyjacielskie nie mogły nacierających powtórnie razić; wszystko to działo się ile możności w największym pędzie, i w krótkiéj bardzo chwili. Ten co z rekonesem powróciwszy Niegolewski, ostatni do natarcia przybył, pędząc z zapałem, straciwszy czapkę, a pomijając zabitych i mających konie poległe, wyprzedził wszystkich i padł pod koniem zabitym przy ostatnich armatach zdobytych na szczycie nieprzyjacielskiéj pozycyi, w poczcie już tylko kilku szwoleżerów; tak że artylerzyści i inni żołnierze hiszpańscy, leżącemu pod koniem Niegolewskiemu za-

dali ran jedenaście, to jest: dwie kulami karabinowemi w głowę, a dziewięć bagnetami po karku. Tam zginął między innymi i wachmistrz Sokołowski. Na ten czas Napoleon widząc cały Szwadron Polaków mniéj więcéj poległy, i zwycięzców ostatniéj bateryi w niebezpieczeństwie, kazał plutonowi Strzelców konnych będącemu przy nim pospieszyć Polakom na pomoc. Ci odpędzili Hiszpanów pastwiących się nad zdobywcami ostatniéj bateryi, a tymczasem, po tak impetycznem zdobyciu wszystkich 16 armat przez Szwadron Jazdy, gdy piechota posuwała się po obu stronach gościńca pod góry jak się wyżéj powiedziało, całe wojsko hiszpańskie zaczęło pierzchać. Wtenczas to gdy Szasserów kilku nadbiegło Niegolewskiemu na pomoc, kazał Napoleon oddziałom Szwoleżerów najbliżéj będącym, udać się czemprędzéj w pogoń za hiszpanami, co dopełnił Szef Szwadronu Łubieński, a za nim i cały pułk nasz pod dowództwem pułkownika Krasińskiego i Majora Dautancourt. Napoleon zaś z całym swoim Sztabem wielce zadowolony, postępował razem prawie z nami gościńcem okrytym zabitemi szwoleżerami i końmi, oraz rannymi leżącemi a wołającymi: *Vive l' Empereur!* tudzież armatami hiszpańskiemi, to przewróconemi, to zostawionemi przez pierzchających, a podziwiając śmiałość, krótkość i skutek natarcia, powtarzał często — obracając się do swego Sztabu: „*Sont-ils braves ces Polonais!*... co po polsku może się da tak wytłumaczyć: „co za śmiałość w tych Polakach!“.

To jest proste i rzetelne opowiadanie naocznego świadka, który gotowy jest odpowiedzieć na wszelkie zarzuty pisarzów francuzkich, a przyjmie chętnie uwagi jakieby mu żyjący jeszcze kolledzy z pod Somo-Sierry uczynić za potrzebne uznali: poniekąd oczekuje on takowych od przyjacioł kapitana Romana zmarłego, i od kapitana Wincentego Tedwena żyjącego; bo twier-

dzenią o jakich czyniliśmy wzmiankę w naszym artykule *w Dodatku miesięcznym do Czasu* na grudzień 1856 nie zgadzają się bynajmniéj z naszem opowiadaniem tego sławnego czynu. Wiemy że tak kollega Roman jaki Tedwen należeli do tego natarcia, ale nie pamiętamy: czy? i jak dalece? byli ranni? to nam wiadomo z pewnością że na ten czas jeszcze nie byli oficerami, i że Niegolewski porucznik ostatnim był w stopniu oficera, doprowadzający istotne natarcie do końca. Jeżeli więc koledzy Roman i Tedwen, chociaż niebędąc jeszcze oficerami, przybyli po upadku Niegolewskiego, ścigać artylerzystów biszpańskich, którzy się nad nim pastwili, temu nie mamy przyczyny zaprzeczać bynajmniéj, ale to wcale co innego, jak żeby się jednemu z nich należała największa sława natarcia pod Somo-Sierrą.

Lubo jak powiedzieliśmy, nie we wszystkich szczegółach zgadzamy się z relacyą Niegolewskiego drukowaną, wszakże wiemy z całym pułkiem, że Kozietulski natarcie rozpoczął, Dziewanowski kapitan, a Krzyżanowski, Rowicki i Rudowski porucznicy, życiem przypłacili. Piotr Krasiński kapitan śmiertelnie był ranny, a Niegolewski porucznik padłszy z koniem zabitym przy ostatniéj bateryi, otrzymał ran 11. Dla tego jego uważamy za celującego działacza w tém słynnem natarciu i prosiliśmy sławnéj pamięci malarza ś. p. pana Piotra Michałowskiego, Prezesa Rady Administracyjnéj, miasta Krakowa, żeby pędzlem swoim uwiecznił pamiątkę Niegolewskiego i podał obraz téj bitwy pokoleniom przyszłym. Odezwę tę podajemy poniżéj w nocie *).

---

*) Pamiątka Niegolewskiemu, (Wiersz do Piotra Michałowskiego:

Bard Albionu spojrzał w polskie stepy,
I stworzył jeźdźca w obrazie Mazepy,
Co lotem wichru ma przedziały za nic,
I gna bez przerwy, aż do kraju granic.

Opisawszy tak, sumiennie i jak się nam zdaje, *sposobem wyczerpującym* wystawienie téj wiekopomnej bitwy, wracamy się do odparcia twierdzeń Bulletynu i p. Thiersa: jakoby Jenerał Montbrun był prowadził to natarcie. A najpierwéj, gdyby tak było, dzielo całkiem francuzkie i przez grono wojskowych tego narodu starannie wydane, nie byłoby opuściło wzmianki o Jenerale tak odznaczonym, *boby to było ubliżyć jego osobie.* — Ja nie zaprzeczam, że Jenerał Montbrun był obecny temu natarciu, tak jak cały sztab Napoleona i mnóstwo Wojska co się na to natarcie patrzało, może

---

Obraz ten cała Europa podziwia,
Pędzlem i rylcem myśl barda odżywia.

Lecz jakież dzieło przyszłego hetmana
Przekazał Bajron zdziwionemu światu?...
Czy myśl dostojna w ten obraz ubrana,
Sięga do szczytu cnoty majestatu?
Nie! bohater gna, bo musi — spętany—
Gna, gdzie go niesie traf, los, przeznaczenie...

O ileż wyżéj ja Mazepę cenię:
Co Polak, będąc z ojczyzny wygnany,
Gdy poznał wartość dla Polski Karola,
Podziela bój z nim Pułtawskiego pola!

Mazepa *barda*, gna bez swojéj woli,
Gna bez nadziei, śmiało umrzeć gotów:
Nasz — by ujść kraju — Mazepa niewoli,
Rzuca się z cnoty, w ostrze Piotra grotów,
Stawiając przykład następcom buławy
Jakiéj się mają nadal trzymać sprawy.

Wieszcz Niemna, twórca nieśmiertelnych pieśni,
W swoim Farysie stawia nam wzór szczytny,

Jak z wytrwałością można z ziemskich cieśni
Unieść się duchem w niebios strop błękitny!...

nawet Napoleon nie sam ustnie dał rozkaz Kozietulskiemu do nacierania, ale przez Jenerała Montbrun; sam Niegolewski w broszurach swoich pisze, że bardzo rano przed bitwą był posłany za językiem, z rozkazu Jenerała Montbrun; ale to jest co innego, jako Jenerał dowodzący całą Jazdą w korpusie Wojska przy Cesarzu będącego, kierować posyłkami na zwiady, albo dysponować jaki ruch jazdy; *a co innego, samemu prowadzić jeden tylko szwadron do attaku*... to się ani zgadza z rangą Jenerała Dywizyi Montbrun, ani z tą oko-

---

Ale ten obraz — choć go cudnie kryśli,
Nie stał się czynem, został płodem myśli.

Ja ci przynoszę, polski Apellesie!
Wzór co Farysa z Mazepą przeniesie:

Wystaw młodego jeźdźca narodowca,
Co hufca swoich mężnych towarzyszy
U skalistego dogania manowca,
I jeden okrzyk w całym hufcu słyszy . .
A wśród poległych rycerzy i koni
Za poprzednimi niewstrzymany goni. . .
Z płomiennem okiem, z rozczochranym włosem,
Konia ostrogą, braci rzeźwiąc głosem:
„Daléj! a daléj!“ wśród kul i kartaczy
Tylko na paszcze dział morderczych baczy.

Gdy poprzednicy padli lub ustali:
On, co był zaczął natarcie ostatni,
Staje zwycięzcą... tam, gdzie strzał armatni
Na samym szczycie i jego powali.

To nie czyn musu, nie płód urojenia,
Lecz owoc istny polskiego natchnienia,
Zdobycz szesnastu armat Somo-Sierry:
To jest nasz Farys: Jędrzéj z Niegolewa...
Którego pamięć niech twój pędzel szczery
Nieśmiertelnemi barwy przyodziewa!

Lwów, w drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. 1856.

licznością, że nie jenerał ten, ale Marszałek Bessiéres obecny, był naszym dowódzcą jako kommendant całéj konnéj Gwardyi.... Wreszcie niepotrzebujemy tak szczegółowego tłómaczenia się, *wiemy dowodnie*, że nikt tego attaku nie rozpoczął tylko Kozietulski i mamy na to świadectwa czynnych w tém natarciu: Piotra Krasińskiego, śp. Niegolewskiego, a wreszcie bylibyśmy sami widzieli Jenerała Montbrun, co był prawie tak łatwy do rozpoznania jak Murat, którego zdawał się być naśladowcą w odwadze i prowadzeniu jazdy. Nie można pojąć *zkąd się wzięło*, że Bulletyn przypisuje to natarcie Jenerałowi Montbrun? ale także robi odszczególnioną wzmiankę o Majorze de Segur, którego udziału w tem natarciu nie mogę zaprzeczyć bo istotnie tam był ranny, ale dla czego i kiedy? tego żaden z naszych Officerów nie wiedział... To tylko mi jest dobrze wiadomo, że po tej rozprawie każdy sztabowy francuzki officer się chlubił, jakoby do tego natarcia był należał... i że ja *sam na swoje uszy słyszałem*, Officerów francuzkich mówiących: „Jeżeli się Marszałek o mnie pytać będzie, powiedz mu że jestem z Polakami“. Istotnie ten czyn jednego szwadronu, *prawie w okamgnieniu*, powodujący ucieczkę całéj Armii; zacząwszy od Napoleona, zdał się zadziwiającym, i obudził żywe uniesienie we wszystkich obecnych Francuzach, najstarszych żołnierzach; cała piechota Marszałka Viktora wykrzykiwała: „niech żyją Polacy“ a Officerowie *będący na koniach*, nie mogli się dość nacieszyć *towarzyszeniem nam w szeregach*. Gdybym wiedział o którym Officerze francuzkim, który brał udział w natarciu naszego Szwadronu, tem bardziej któryby w niém był ranny; nie omieszkałbym podać ich imiona pamięci Narodu Polskiego, lecz ani we własnéj, ani w kollegów moich pamięci, prócz Majora de Segur o nikim nie wiedzieliśmy.

Nie mamy prawa wątpić, że gdyby Jenerał Montbrun był którykolwiek Szwadron jazdy francuzkiéj do natarcia w wąwozie na 16 dział prowadził, byłby je zdobył; ale jest *czynem dokonanym*, że nasz Szwadron *sam, prawie bez żadnéj kommendy natarcie* i *zdobycie wszystkich armat uskutecznił*; bo pierwszy dowódzca Kozietulski miawszy konia zabitego, już osobiście musiał ustąpić; najstarszy po nim kapitan Dziewanowski, pomimo ran odniesionych pędził jeszcze nawet na koniu rannym, aż śmiertelnym postrzałem zwalony, musiał i on pozostać; podobnież jak drugi Kapitan Piotr Krasiński kartaczem tak zraniony, że dwa żebra miał złamane i w stanie omdlenia był przez ludzi co konie byli potracili odprowadzony. Porucznicy Krzyżanowski, officer wielkich nadziei, Rowicki i Rudowski polegli, nie pozostał tylko jeden Niegolewski, co szczęśliwie, prócz straty czapki nie otrzymał rany, aż dopiero u ostatniéj batteryi, którą już w kilku tylko ludzi zdobył. *Ztąd okazuje się* że polacy pędzili, nie potrzebując żadnej kommendy *bo pędzili bez przerwy*, zagrzani sławą Narodu i obecnością oka Napoleona, w którym pokładali całą swą nadzieję i jedyną przyczynę oddalenia się z kraju, żeby mu tym sposobem najlepiéj, najskuteczniej służyć. Niewątpił zapewne Napoleon, że się to natarcie polakom uda, a może chciał ich i doświadczyć. . . ale radość jego, powtarzane głośno pochwały, udział jaki brał nad rannym *jedenaście razy* Niegolewskim i innymi rannymi, okazywały jasno, *że się takiego natarcia i takiego piorunującego skutku* niespodziewał. Z całego szwadronu mieliśmy 57 zabitych lub ciężko rannych, a reszta albo potraciła konie, albo była lekko ranną, prócz bardzo małej liczby, między którymi był Piotr Wasilewski Brygadyer, który ciągle szedł na samym przodzie kolumny, nietknięty i mając konia trochę tylko w chrap odłamkiem granata draśniętego. — Cześć wieczna niech ci

będzie Polska młodzi! stanęłaś tym czynem na równi z Kirchholmem, na równi z najsłynniejszemi natarciami Jazdy polskiéj; zostawiłaś wzór Jeździe wszystkich Europejskich Narodów; przykład twój służy za naukę we wszystkich szkołach wojskowych, a nieprzyjaciele sami w różnych językach wspominają o Tobie z podziwem i uwielbieniem.

Jeszcze kilka słów o dziełach sztuki uwieczniających pamięć tej bitwy. Vernet wystawił ją w sposobie talentowi jego właściwym, lecz to dzieło nie może być uważaném za obraz bitwy ale tylko za uwiecznienie pamiątki tego historycznego zdarzenia. Grono osób pamięci przekazanych, składa się: z Pułkownika Krasińskiego, Majora Dautancourt, Szefa Szwadronu Kozietulskiego i czwartego officera, niższéj rangi, którym ma być — jak słyszałem — Kapitan Dziewanowski, a który w krótce po bitwie umarł z ran; co najlepiej dowodzi, że to nie jest obraz bitwy, bo bitwę każdą zwłaszcza taką trudno oddać rysunkiem, ale malowaniem artystyczném utrwalającem pamiątkę czynu *całemu Pułkowi* cześć przynoszącego. Da się napomnieć: że nie historycznie p. Vernet wyobraził rzeczonych Officerów, w stroju parady, kiedy oni przeciwnie z d. 30 listopada mglistym i chłodnym, byli wszyscy w odzieży marszowéj, i po większéj części w płaszczach. Nie mogę pominąć, że Chirurg pułkowy, który przy armacie zdobytéj jest wystawiony opatrujący rannego, jest to świeżo w Paryżu zmarły Dr. medycyny Gadowski rodem z Uścia Solnego, uczeń Akademii krakowskiej, którego Vernet z takim przedstawił talentem, że każdy znający go, z postaci poznać może.... jednem słowem jest to malowanie prześliczne, czyniące Vernetowi chlubę, bardzo piękny od niego upominek Narodowi Polskiemu, ale nie wystawienie czynu takim jak się odbył. Zjawił się później inny obraz tej bitwy w Paryżu, przez p. Belangé,

w którém malarz starał się uniknąć zarzutów czynionych Vernetowi, jakoby był zpoetyzował bitwę; istotnie Belangé, wystawił natarcie i położenie miejsca w podobniejszym składzie, ale popełnił znowu ten błąd — często powtarzany — że wyobraża Polaków nacierających, jako Ułanów (*Lanciers*) z proporcami, kiedy nasz Pułk w R. 1808 jeszcze proporców nie miał, i nie był Pułkiem Ułanów (*Lanciers*) ale Lekko konnym (*Chevau Legers* *).

Oddawszy tak hołd pamięci, współtowarzyszom poległym i czynowi cześć przynoszącemu Narodowi Polskiemu, przystępujemy do dalszego opowiadania.

Zaraz po zdobyciu armat przez Szwadron służbowy, Szef Szwadronu Tomasz Lubieński, nastąpił z natarciem powtórnem czyli dalszém, z oddziałem z różnych kommend pod ręką będących złożonym na prędce i z całym swoim Szwadronem 1m, czoło Pułku składającym. Ten oddział dość spory, zbierał jeńców, zabierał bagaże i różne podwody, zdobywał sztandary i kassę wojskową, jak to Niegolewski dostatecznie opisuje, w swojéj książeczce polskiéj o Somo-Sierze w Poznaniu roku 1854 wydanéj. Atoli w różnych szczegółach mianowicie w nazwiskach się myli. I tak nam się zdaje, że z Jeruzalskiego na stron. 20 przerobił nazwisko Jeziołkowskiego... którą to drobną okoliczność *wymieniamy jedynie*, żeby żyjącym jeszcze kollegom dać sposobność poprawienia pomyłek naszych i przekazania pamiątki potomstwu i rodzinom Polaków co w Hiszpanii przelewali krew, za sławę i nadzieję.

Za Szwadronem 1m postępował cały Pułk nasz a następnie i inna Jazda francuzka i tak ścigając na pra-

---

*) Ś. p. Piotr Michałowski byłby najwłaściwiéj podał obraz bitwy pod Sommo-Sierrą Ziomkom potomnym, gdyby mu śmierć nie była dzieła przerwała.

wo i na lewo gościeńca, wszelkie ułamki Wojska hiszpańskiego, i zabierając je prawie w zupełności do niewoli, zdążyliśmy na noc do Buytrago.

Napoleon pragnął wejść zwycięzko do Madrytu d. 2 grudnia jako w rocznicę Koronacyi Cesarskiej i bitwy pod Austerlitz. Dla tego zdążała Jazda francuzka pod dowództwem Marszałka Bessières, żeby się jak najwięcéj zbliżyć do Madrytu, i obsadziła, a mianowicie nasz Pułk, pagórki otaczające to miasto od strony z któréj przybywaliśmy. W jesieni bywają w téj części Hiszpanii wielkie mgły, taka była poranku przed natarciem Somo-Sierskiém, taka w nocy około Madrytu, do tego stopnia że podjazdy nasze (patrole) mijały się z hiszpańskiemi nie widząc się wzajemnie.

Dnia 2 grudnia stał cały nasz Pułk w szyku rozwiniętym, oczekując na Cesarza, który gdy przybył, zatrzymał się na prawém skrzydle i zdawał się oczekiwać Deputacyi z miasta. W tém zjawił się bardzo młody małego wzrostu Szwoleżer i prosto przypuściwszy konia do Pułkownika Krasińskiego, żywo bardzo zaczął mu coś rozpowiadać. Napoleon zapytał: „Coby to było takiego?“ Pułkownik odrzekł: „że ten młody człowiek z kilkoma Żandarmami zdobył armatę pod samą bramą Madrytu, ale że Hiszpanie z końmi uciekli, on więc zostawiwszy Żandarmów na straży tej zdobyczy, przybył czém prędzéj, prosić o uprząż, żeby tę armatę przywieźć, i sam będąc ranny potrzebuje opatrzenia“. „Dodał przy tém Pułkownik Krasiński, że to był syn zacnego Obywatela jeszcze Konfederata Barskiego, że z tego względu przyjął go do pułku pomimo zbyt młodych lat i nie dostatecznego wzrostu, lecz że to jest młody chłopiec nadzwyczajnie ochoczy i odważny.

Napoleon kazał sobie bliżéj przedstawić młodziankowego rycerza, kazał go ozdobić krzyżem Legii honorowéj i polecił go szczególniej Pułkownikowi Krasińskie-

mu. Jakoż Wilczek odtąd zawsze się odznaczał, ile razy pułk lub oddział do którego on należał, były w boju; i prędko przechodząc od szeregowego przez wszystkie stopnie, doszedł do stopnia Kapitana Gwardyi. W r. 1815, gdy wojsko polskie już było zreorganizowane w Królestwie kongresowem przez W. Xięcia rosyjskiego Konstantego Pawłowicza, był Kapitan Gwardyi Wilczek Adjutantem Jenerała Krasińskiego Dowódzcy Gwardyi Królestwa. Młody jeszcze Wilczek widząc z upadkiem Napoleona przecięte *wszystkie swoje nadzieje* tak krajowe jak i osobiste, z tetryczał a nie mogąc się z zimną krwią zapatrywać na sposób mongolski w jaki Wielki Xiąże obchodził się z wojskiem polskiem: napisał do niego list w którym wyraził: „Że kilka razy był już bliski odjąć mu życie, żeby współziomków i siebie uwolnić od Widoku takich zniewag, na które zasłużyć nie spodziewali się; ale że zważywszy, iż skrytobójstwo nie było w usposobieniu Polaków, a że zwłaszcza Rodacy jego nigdy nie splamili się zabójstwem Króla lub osoby do królewskiego rodu bliskiej, więc woli sam sobie odebrać życie; ale go ostrzega, że nie każdy żołnierz polski będzie tak względnym". Po zapisaniu i zapieczętowaniu tego listu, strzelił do siebie z pistoletu i poległ na miejscu.

Co było najsmutniejszém w téj tragicznéj śmierci Wilczka to uwaga, że on był piątym synem, którego tracili sędziwi rodzice i czcigodna siostra Pani Miroszewska Jackowa, żona Sekretarza Jeneralnego senatu krakowskiego, ponieważ czterech braci starszych było poległo w wyprawach Napoleońskich za sprawę ojczystą. Opisaliśmy dłużéj epizod o Wilczku, bo przygodę pod Madrytem wystawiali niektórzy Ziomkowie w sposobie przesadnym. Wilczek był dzielny officer, rodak gorliwy... ale nie miał nic zadziwiającego dla kollegów i

współuczestkików w pułku w którym panowało ubieganie się o cześć i niebezpieczeństwa.

Nim się Madryt poddał, pułk nasz udał się w lewo pod dowództwem Marszałka Bessières, przeciwko hiszpańskiemu Jenerałowi Pennas jak o tém wzmiankuje Biulletyn 14 Armii. Szło o to, żeby rozbite przez Marszałków Lannes i Neya korpusy ścigać, i nie dopuszczać im przystępu do Madrytu. Mieliśmy różne mniejsze i większe rozprawy; tak w nocy, pod Alcala de Henarez odbyliśmy potyczkę z Kawaleryą hiszpańską, w któréj zginął Suryn szeregowy Szwoleżer z 1széj kompanii, bardzo lubiony od kollegów, którzy mu nazajutrz usypali mogiłę i ozdobili ją według możności. To dało powód jednemu poecie, unosić się nad męztwem i zapałem naszych włościan, do liczby których z krakowskiego poczytywał Suryna, gdy ten przeciwnie był obywatelskim synem z Województwa kijowskiego. Zdaniem naszém jest, że w obecnym stanie wojenności, nie można kampanii robić bez prostego żołnierza celującego siłą fizyczną, którą się znajdzie tylko na wsi; ale nie idzie za tém, żeby się unosić nad nazwiskiem dla tego, że się takowe mylnie brało za gminne; co tu się przydłużéj wspomniało dla pociechy rodziny pp. Surynów.

Doszliśmy w kierunku na lewo wyż wyrażonym, aż do miasta Guadalaxara (Gwadalachara), do którego piszący miał zaszczyt pierwszy wkroczyć za uchodzącym nieprzyjacielem. Od tego miasta zwróciliśmy się w prawo na Sacedon i Tarancon, do Aranjuez (Aranchuez) a pod Sta Cruz mieliśmy dość znaczną utarczkę z piechotą hiszpańską, w któréj między innymi był ranny bagnetem Hermolaus Jordan wówczas porucznik.

Wypocząwszy parę dni w Aranjuez, tym może najpiękniejszem zabudowaniu Hiszpanii przypominającém regularnością swoją miasto Carlsruhe w Badeńskiém, powołani zostaliśmy do Madrytu gdzie Napoleon był

wszedł od dni kilku. Pułk nasz został umieszczony w dwóch wsiach bliskich stolicy: *Carabanchel de ariva Carabanchel de avajo*; to znany Karabanczel górny i dolny. Pod Madrytem na Prado odbył Napoleon rewię wszystkich wojsk obecnych, poczém dano nam zaraz rozkaz wyruszenia ku Gwadaramie w kierunku pułnocnym, przeciwko armii angielskiéj. Przybywszy pod górę Gwadarammę, którą przebyliśmy byli w lipcu w największe gorąca, doznaliśmy teraz w grudniu zadziwiającego zimna i orkanów zimy. Wicher mroźny, dął śniegiem i piaskiem w oczy i w usta, sposobem nieznośnym, konie się zawracały a jeźdzcy nie mogli sobie dać rady. Pułkownik Krasiński widząc to, zamierzył nocować w miasteczku Gwadaramie i zatrzymał kolumnę, ale jenerał Lefevre Desnouettes dowódzca pułku strzelców konnych gwardyi nadjechał z rozkazem od cesarza żeby iść daléj i koniecznie przebyć górę. Pozsiadaliśmy więc z koni i plutonami trzymając się pod ręce a konie prowadząc za sobą, tak formując massę szliśmy pod górę bitym szerokim gościeńcem, nie zważając na zaspy. Pan Thiers który *strumieniem swojéj wymowy*, tę zimową scenę porównywa z zimą pod Eylau, podziwia przejście Napoleona przez Gwadaramę na czele strzelców konnych swéj Gwardyi, wszelako nie ten pułk, ale nasz był na czele kolumny. Jeżeli więc była jaka zasluga w tém trudném przejściu, nam się ona należy, bo my a nie kto inny otwieraliśmy i torowaliśmy drogę cesarzowi, i całemu jego wojsku. Słyszałem że z tyłu za nami wydarzyły się przypadki, iż całe wozy i niektórzy żołnierze z piechoty, porwani byli przez wicher w przepaści Gwadaramy. Jakkolwiek p. Thiers unosi się nad tą zimową zawieruchą, powinien był wiedzieć, że takie zimowe wichry i po innych pasmach gór południowych panują. W przejściu Appeninów od Bolonii do Florencyi, rząd Toskański podawał mury zasłaniają-

ce podróżnych od gwałtowności wiatru, bez czego, to pasmo byłobyby nie do przebycia a któréj przezorności w owym czasie, na Gwadaramie nie było.

Przebywszy tę górę postępowaliśmy spiesznie tą samą drogą, którąśmy — jak się wyżéj powiedziało, w lecie przechodzili przez Villa Castin, Arevalos, Medina del Campo, Tordesillas. W okolicy tego miasteczka, nasz pułk odłączony został na lewo, dla uważania ruchów armii angielskiéj, do któréj już się Napoleon zbliżał. Jeżeli mnie stan służby szefa Szwadronu Seweryna Fredra nie myli, to mieliśmy rozprawę z kawaleryą angielską, po większéj części hanowerską w bliskości wsi Servinianos, ktoréj na mappie jaką mam, nie znajduję i niepamiętam. Z téj wsi zostałem wysłany na patrol przez adjutanta majora Duvivier z plutonem mnie obcym z 5téj kompanii; zostałem wprowadzony przez przewodnika hiszpana w zasadzkę angielską rozdzieliwszy mój pluton na dwa oddziały, pierwszy wyprawiłem na prawo pod dowództwem wachmistrza Waligórskiego świeżo dekorowanego legią honorową, jakoby za zdobyty sztandar pod Somosierrą, z drugim udałem się trochę na lewo mając pod sobą wachmistrza Wojnarowskiego, niedekorowanego, ale starego żołnierza. W krótce zostaliśmy przez przewyższające siły jazdy angielskiéj napadnięci i ścigani, w tém zamieszaniu młodemu Rzuchowskiemu, rodzonemu bratu słynnego pułkownika Krakusów, przekręciło się siodło, cudem prawie udało nam się dwom z Wojnarowskim uratować ślicznego młodzieńca od niewoli angielskiéj. W tém szef szwadronu Tomasz Łubieński z kapitanem Fredro przybyli nam na ratunek i odparli angielską jazdę, gdzie kapitan Fredro został ranny od angielskiego pałasza, a niepospolity szeregowiec Żwan, został przez anglików uprowadzony. Żwan zostawał długo w niewoli angielskiéj. Wi-

działem go wiele lat późniéj w Warszawie; — zajmujące byłyby szczegóły o jego niewoli, jeżeli żyje jeszcze, lub jeżeli takowe rodzinie swojéj w pismie zostawił.

Ledwie co ta utarczka ukończyła się z korzyścią i honorem dla nas, zostaliśmy usilnie powołani do głównéj kwatery i na pomoc strzelcom konnym gwardyi, którzy pod dowództwem swego jenerała Lefevre Desnouëtes byli przy przeprawie rzeki „Esla“ nierówną bardzo walkę stoczyli z jazdą angielską, z wielkim swym uszczerbkiem i nauką cierpką, że w sześć lub siedm szwadronów, acz gwardyi konnéj francuzkiéj, nie można się rzucić wpław przez rzekę, na ośmnaście szwadronów angielskich... To też jenerał Lefevre Desnouëtes rejterując przez tę samę rzekę, którą był tak zapędliwie przebył, został w niéj schwytany przez Anglików i uratowany od utonienia. Już za późno, czyli po téj potyczce i po cofnięciu się Anglików, przybyliśmy do głównéj kwatery podobno pod Puente de Castro; widzieliśmy tylko wielu dzielnych szasserów potężnie zrąbanych a mianowicie też szwoleżerów Bergskich z gwardyi przybocznéj Xcia Murata, który szwadronik jako siódmy, należał do zuchwałego natarcia sześciu szwadronów jenerała Lefevra. Strata tego ulubionego oficera mocno obeszła Napoleona, równie jak i to, że jego *Gvidy* (*Guides*) musiały pierzchać przed Anglikami.... przed jazdą angielską!...

Po téj niepomyślnéj dla Francuzów potyczce, Anglicy widząc że mieli przed sobą Napoleona z wybornem wojskiem, rozpoczęli cofanie się do morza, ustępując nagle i niszcząc wszystko coby za sobą zostawiać byli zmuszeni. Napoleon zaś następował za nimi natarczywie, lecz doznawał znowu wielkiéj przeszkody od błot, które się przy zimowéj odwilży i rozrobieniu dróg przez dwie armije tak utrudzającemi okazały, że je porówny-

wano z pułtuskiemi błotami, a piechota gwardyi staréj nawet, ustawała.

Nasz pułk szedł w tym ruchu przodem. Zaraz przybywszy do Puente del Castro, popaśliśmy tylko konie i ruszyli za Anglikami, ku Benevente, przebyliśmy rzekę Eslę w nocy tak ciemnéj że nie mogłem rozeznać dostatecznie brzegu i wyjeżdżając z wody na miejsce urwiste, przewróciłem się z koniem do rzeki, co nie miało innego skutku złego, jak że do Benewentu przybyłem zmoczony od stóp do głów, podobnie jak wielka część kolegów bo rzeka w porze zimowéj była nieco wezbrana.

Z pod Beneventu postępowaliśmy zawsze w przodzie za Anglikami aż do Astorgi. Marszałek Bessières, spieszył ile mógł za zastępami Albionu na naszém czele, chciwy sam i z woli swego ukochanego monarchy, pokazać dzielność jazdy z pod Marengo, i pomścić się wstydu swoich Gwidów i niewoli swego ulubieńca dzielnego jenerała Lefevra Desnouëttes, ale to wszystko było na próżno; piechota zostawała daleko w tyle a my jazda, nie mogliśmy zdążyć za Anglikami, mieliśmy tylko przykry widok, połamanych na drodze wozów i lawet podobijanych koni najpiękniejszych, lub którym pałaszem podcięto żyły pod kolanami, żeby nie były do żadnego użytku, a nawet poodejmowano podkowy! Anglicy widać systematycznie odbywali ustępowanie do morza, nie z popłochu, ale z przekonania, że nie mogli sile Napoleona sprostać, więc ustępowali w porządku, z rozwagą, nie chcąc nic a nic nieprzyjacielowi zostawić ażeby nie miał się jakim trofeem angielskim poszczycić. To mi przypomina, podobny szczegół animuszu polskiego, o którym nadmieniam, nie wiedząc, czy mi wiek i wzrok pozwoli dalsze wspomnienia o naszym pułku podać pamięci ziomków. W r. 1812 kiedy nasz szef szwadronu Paweł Jerzmanowski przyjął dowództwo tylnéj

straży pod Insterburgiem i takową tylną straż trzymał aż do Elby; nie dozwalał żeby nieprzyjaciel najmniejszy szczątek po nim mógł zbierać, a gdy któremu z naszych czapka spadła, szwadron cały robił natarcie na przednią straż nieprzyjaciela, żeby téj czapki zdobyć i zabrać nie mógł. Tak to pułk nasz z gwardyi polskiéj kończył osławioną kampanię moskiewską. Tak to wojska krajów cywilizowanych prowadzą wojnę. Do tego dodać należy, że w stosunkach wzajemnych, względem korrespondencyi jeńców, zawsze rannych, panowało między Anglikami a Francuzami wzajemne współubieganie się uprzejmości i uczynności — a wszystkie kobiety odsyłano sobie wzajemnie bez żadnéj opłaty.

Przybywszy do Astorgi po błotach niesłychanych, jako czoło kolumny, odebraliśmy rozkaz równie pierwsi wracać nazad do Valladolid... nadeszły były wieści do Napoleona o zbrojeniu się nowéj koalicyi przeciwko niemu, chcącéj korzystać z jego tak oddalonego pobytu w Hiszpanii. Nie mogliśmy pojąć co znaczył ten rozkaz nam dany maszerowania spiesznie do Valladolid. Ale zagadka wkrótce się rozwiązała.

Pod Valladolid mieliśmy w każdym razie niejaki czas wypocząć. Na ten cel przeznaczono nam dużą wieś, czyli miasteczko Laguna zwane. Adjutant pułkowy porucznik Bogucki, wysłany został z furyerami ośmiu kompanij, dla przygotowania kwater w Lagunie. Wyprawiwszy furyerów, sam pozostał trochę w Valladolid dla ogolenia brody, po tylu dniach fatyg i słoty. Wyjechawszy za miasto, w pewnem oddaleniu, lubo droga była prosta i szeroka w równinie, przyszło mu na myśl, spytać się o drogę dwóch chłopów hiszpańskich jadących na osiołkach. Wieśniak udał że nie dosłyszy. Bogucki sam wysokiego wzrostu i jadący na rosłym koniu pochylił się ku Hiszpanowi, a w ten czas tenże ugodził go nożem w bok, drugi chłop zajechał go z prawéj strony

i począł zrucać z konia, jednem słowem ci dwaj chłopi hiszpańscy zamordowali zacnego oficera, nie spodziewającego się takiéj zdrady; zabrali konia jego, obdarli go ze wszystkiem, nie zostawiwszy w kałuży krwią zafarbowanéj, tylko kawałek ceraty z czapki. W niewiele godzin potem pułk nadchodząc, poznał Boguckiego, na środku drogi leżącego, obnażonego, krwią oblanego; można sobie wystawić rozjątrzenie pułku na ten widok! Ledwie że Pułkownik Krasiński i Major Delaitre co tylko do pułku z Francyi przybyły, zdołali wystawić naszym Szwoleżerom, że mieszkańcy Laguny nie byli winnymi tego morderstwa; żołnierze chcieli koniecznie Lagunę spalić i mieszkańców śmiercią ukarać. Ale Major Delaitre chcąc się pułkowi przypodobać, wziął z sobą dwieście koni ochotnika i póty w pobliskich wsiach krążył, póki dwóch zabójców porucznika Boguckiego nie ujął; z tych jeden został rozstrzelany w Lagunie, a drugi z rozkazu Cesarza w Valladolid publicznie hiszpańskim sposobem tracony, to jest: siedzący pod pręgierzem duszony.

Wypocząwszy kilka dni w Lagunie dostaliśmy rozkaz udania się pospiesznego z Valladolid na drogę ku Francyi i rozstawiono nas oddziałami do eskortowania Cesarza. Wtenczas to zjawił się w pułku Szef Szwadronu 3go Ignacy Stokowski i wiadomość rozeszła się nowéj wojny za Renem. Gdy Napoleon przyjechał do Francyi, pułk nasz zgromadził się znowu blisko granic Francuzkich, regiment drugi pod dowództwem Gros-majora Dautancourt w Villa Franca za Vittorią a reyment pierwszy pod dowództwem pułkownika Krasińskiego w Toloza. W tych dwóch leżach przebyliśmy aż do połowy lutego 1809, po czem szliśmy spokojnym pochodem do Paryża, wyprzedzając cały oddział czyli korpus Gwardyi wracający z Hiszpanii. Napoleon przyjął nas w Paryżu, ze zwykłą swoją dla Polaków gościnnością, ka-

zał nam otworzyć koszary *de l' Ecole militaire* i rozgościć się w kwaterach ulubieńców swoich Strzelców konnych Gwardyi. Tam złączył się z nami przybyły z Polski Szwadron ochotników i wyborowych żołnierzy do pokrycia strat, które nasz pułk poniósł w Hiszpanii, a mianowicie w trzecim Szwadronie pod Somo-Sierrą.

Szwadron ten przybył z Warszawy pod dowództwem kapitana Kozickiego z porucznikami Hajmansem i Jaraczewskim i rozebrany został po wszystkich ośmiu kompaniach pułku, mianowicie do 3ciéj i do 7méj; — ja zaś odebrałem przeznaczenie do trzeciéj kompanii, która była utraciła niemal wszystkich oficerów swoich, a Stanisław Roztworowski został jéj kapitanem w miejsce Dziewanowskiego.

Po złączeniu się całego naszego pułku ze szwadronem z Polski przybyłym i uzupełnieniu w koszarach *Ecole militaire* naszego rynsztunku, umieszczeni zostaliśmy na przedmieściu Vaugirard, oczekując na rewię Napoleona którą cały nasz pułk połączony odbył na podwórzu *du Caroussel* przed Napoleonem pieszo nas i poszczegółowo lustrującym, i do nagród zasłużonych zapisywać nakazującym.

Tak się zakończyła pierwsza wyprawa wojenna pułku Lekko-konnego polskiego, do Hiszpanii w roku 1808 odbyta.

Pisałem w Siedliszowicach w czerwcu 1858.

Józef Załuski.

KOPERNIK.

Dialog w czterech scenach przez hrabiego

JAKÓBA LEOPARDI.

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

Do Pani

Genowefy z książąt Druckich—Lubeckich, Pusłowskiéj.

Racz Pani przyjąć ten przekład literackiéj fantazyi znakomitego włoskiego wieszcza, w któréj występuje nasz wielki prawodawca Słońca. Imie Pani zapisane na czele téj drobnéj, spolszczonéj Leopardego pracy, nie tylko jest uznaniem Jéj wytrawnego smaku równie dobrze umiejącego oceniać płody dowcipu, jak Jéj czucie szczytną ocenia poezyą, ale zarazem upominkiem odbytych w Neapolu w jednem towarzystwie odwiedzin grobu nieszczęśliwego poety, którego uśmiech pełen niekiedy bolesnej ironii, pokrywał tyle rzewności, niedoli i wszechwładnego natchnienia.

Scena pierwsza.

PIERWSZA GODZINA I SŁOŃCE.

PIERWSZA GODZINA.

Dzień dobry Jaśnie Panie.

SŁOŃCE.

I owszem: dobra noc.

PIERWSZA GODZINA.

Konie zaprzężone.

SŁOŃCE.

Dobrze.

PIERWSZA GODZINA.

Jutrzenka już wzeszła od dawna.

SŁOŃCE.

Dobrze: niech wschodzi lub zachodzi wedle upodobania.

PIERWSZA GODZINA.

Cóż Jaśnie Oświecony Pan przez to rozumie?

SŁOŃCE.

Rozumiem abyś mi dała czysty pokój.

PIERWSZA GODZINA.

Ale Jaśnie Panie noc już tyle trwała, iż żadną miarą dłużéj trwać nie może; a jeśli się jeszcze opóźniać będziemy, niech Jaśnie Oświecony Pan obaczyć raczy, aby ztąd nie wynikło jakie zamieszanie.

SŁOŃCE.

Niech wynika wszysto co chce, a ja się nie ruszę.

PIERWSZA GODZINA.

Ach! Jaśnie Panie, cóż to takiego? Czy może Jaśnie Oświecony zachorował?

SŁOŃCE.

Nie, nie, zdrowe jestem; tylko że niechcę się ruszać a więc idź za twojemi interesami.

PIERWSZA GODZINA.

A jakżeż mi iść jeśli Jaśnie Oświecony Pan nie pójdzie, skorom jest pierwszą dnia Godziną? a dzień jakże stać sią może jeśli Jaśnie Oświecony Pan nie raczy jak zwykł wybrać się w drogę?

SŁOŃCE.

Nie będziesz dzienną to będziesz nocną Godziną, albo też godziny nocne rozpoczną podwójną służbę, a ty z twemi towarzyszkami założycie ręce. Ot, wiesz co? już mi się nareszcie sprzykrzyło to wiekuiste kołowanie dla przyświecania kilku żywiątkom mieszkającym na garści śmiecia tak drobnéj, iż ja które mam wcale dobry wzrok, dostrzedz jéj nie mogę. Jakoż téj nocy postano-

wiłom, iż więcéj już się dla niéj trudzić nie będę; jeśli tedy ludzie chcą patrzeć na światło, niech pozapalają ognie lub też sobie poradzą w inny sposób.

PIERWSZA GODZINA.

I jakiż sposób żąda Jaśnie Oświecony Pan, aby znalazło to ubóstwo? Boć utrzymywać latarnie i mieć tyle świec w pogotowiu, by świecić niemi przez cały czas dnia, to przecie ogromny wydatek! Gdyby już przynajmniéj byli wynaleźli sposób robienia pewnego zapalnego powietrza ku oświetlaniu ulic, pokojów, kramów, piwnic i wszelkiéj innej rzeczy, a wszystko małym kosztem, powiedziałbym, że pół biedy. Ale cóż kiedy upłynie jeszcze jakich trzysta lat, zanim ludzie wynajdą podobne lekarstwo na ciemność: a tymczasem zabraknie im oleju, wosku, smoły i łoju, i nie będą mieli zgoła czém świecić.

SŁOŃCE.

Pójdą polować na świętojańskie robaczki, i na te muszki co błyszczą.

PIERWSZA GODZINA.

A z zimnem jakoż sobie dadzą radę? bez pomocy bowiem Jaśnie Pana nie wystarczy im drzewo wszystkich świata lasów dla ogrzania się; oprócz tego umierać będą z głodu, bo jużci Ziemia rodzić przestanie. I tak w przeciągu lat niewielu zaginie rodzaj niebożąt, gdyż nabłąkawszy się po omacku wskróś ziemskiego obszaru dla wyszukania jadła i opału, po spożyciu wszelkiej rzeczy dającéj się połykać i po wygaśnieniu ostatniej iskry żaru, przyjdzie im umierać pociemku zmarzłym na bryłę kryształu.

SŁOŃCE.

A cóż mi do tego? czyż to ja jestem niańką rodzaju ludzkiego lub jego kucharzem, abym miało doprowadzać do dojrzałości i warzyć mu potrawy? i mam się tém biedzić, iż garstka niedojrzanych istotek zdalonych odemnie o miliony mil nie widzi albo też nie może wytrzymać zimna bez mojego światła? — Zresztą jeśli mam koniecznie służyć za piec lub komin téj człowieczéj rodzinie, toć przecie wypada, aby chcąc się zagrzać dom cały chodził wkoło komina, nie zaś komin wkoło domu. Jeżeli tedy ziemia potrzebuje mojéj przytomności, niech się pofatyguje i postara o nią, albowiem co do mnie, tak mało potrzebuję Ziemi, że pewno nie pójdę jéj szukać.

PIERWSZA GODZINA.

Jaśnie Oświecony Pan chce mówić, jeśli się nie mylę, iż to co sam przedtém czynił ma teraz czynić Ziemia?

SŁOŃCE.

Nie inaczéj: teraz i zawsze odtąd.

PIERWSZA GODZINA.

Zapewne iż Jaśnie Pan ma racją, a do tego jest w prawie postępować jak mu się podoba; ale z tem wszystkiem niech Jaśnie Oświecony Pan raczy zważyć ile to rzeczy przyprawi się o upadek dla przeprowadzenia tego nowego porządku. Dzień już nie będzie miał foremnego pozłocistego rydwanu z pięknemi rumakami pławiącemi się w morzu: pomijając zaś inne niedogodności, my same biedne Godziny utracimy miejsce na niebie i z dziewic boskich staniemy się ziemskiemi dziew-

czętami, jeśli wszelako, jak się tego obawiam, dymem się raczéj nie rozwiejemy. Ale mniejsza o te następstwa: cały sęk będzie w tém, jak tu Ziemi wyperswadować, aby swój obieg rozpoczęła; co zresztą jéj nie snadno przyjdzie, już dla tego że niema wprawy, już że się jéj osobliwszém wyda to wieczne bieganie i pocenie się tak niezmierne, ile że się nigdy dotychczas nie ruszyła z miejsca. Jeśli sam Jaśnie Oświecony Pan zaczyna teraz, jak mi się widzi, przyświecać trochę lenistwu, obawiam się wielce że Ziemia ze swojéj strony nie więcéj jak przedtem usposobioną będzie do agitacji.

SŁOŃCE.

Konieczność tą razą posłuży jéj za bodźca i znagli ją porwać się i biegać ile będzie należało. Jakby nie było, niemasz skuteczniejszego środka ku temu nad wyszukanie poety lub też filozofa, któryby skłonił Ziemię do ruszenia się, a w razie gdyby rada nie pomagała zmusił ją gwałtem do wędrówki. Bo koniec końcem połowa tej sprawy zostaje w ręku filozofów i poetów; owszem, oni wszystko niemal w niéj mogą. Poeci to przedtém (gdym było młode i rade ich słuchało) onemi ponętnemi piosnki zniewolili mię dobrowolnie niby i dla własnéj przyjemności a chlubnéj rozrywki niedorzecznie się mordować hasając po szalonemu, tak wielkie i grube jak jestem, wkoło makowego ziarnka. Ale teraz gdym przyszło do lat dojrzalszych i poświęciłom się filozofii, szukam we wszelkiéj rzeczy pożytku, nie zaś piękna; a smalone duby poetów ilekroć nie działają na mój żołądek, pobudzają mię jedynie do śmiechu. Pragnę gdy co przedsiębiorę mieć słuszne ku temu powody, powody moralne, a że nie mam żadnego uczciwego do przekładania nad życie niezajęte i wygodne życia czynnego niezdolnego przynieść owoców, któreby mi wynagro-

dziły moją pracę, bo sam trud myślenia (ile że nie rodzi się na świecie taki owoc, coby był wart dwa grosze), tedy postanowiłom zostawić innym mozoły i subjekcje, a samo żyć po domatorsku spokojnie i bez kłopotów. Tę zmianę, jakom rzekło, przy pomocy wieku sprawili we mnie filozofowie, ludzie którzy zaczęli temi czasy róść w potęgę i wzmagać się nie przestają. Chcąc tedy aby się Ziemia ruszyła i jęła kołować, stósowniejsza byłoby z jednéj strony użyć poetę niż filozofa, albowiem poeci to tą, to ową baśnią podnoszą wartość i wagę rzeczy ziemskich, ich powaby i piękność, i obudzając siła rozkosznych nadziei dają częstokroć drugim ochotę do trudu, podczas gdy filozofowie odbierają tę ochotę. Atoli ponieważ z drugiéj strony filozofowie poczęli brać górę, lękam się aby dzisiaj poeta nie był tyle słuchanym od Ziemi ilebym go samo słuchało; albo by zyskawszy nawet posłuch nie zanudził jéj na śmierć. A jednak najlepiéj będzie udać się do filozofa, bo acz filozofowie są zazwyczaj mało zdolni i nie nazbyt skłonni do podniecania drugich ku czynom, może być jednak iż w téj ostateczności inaczéj im się powiedzie niż zawsze. Pomijam wypadek w którymby Ziemia uważała zgubę swą za wygodniejszą od takiego trudu, w czém nie odmówiłobym jéj słuszności..... basta, zobaczymy co z tego będzie. Ty zaś wiesz co uczynisz? oto zstąpisz sobie na Ziemię albo poślesz tam jednę z twoich towarzyszek, którą sama zechcesz; a jeśli ta zdybie którego z rzeczonych filozofów używającego chłodu na ganku i wpatrującego się w gwiaździste niebo; — jak niewątpliwa, iż zdybie nie jednego wywiedzionego z domu niezwykłą téj nocy długością — tedy niewiele myśląc niech go porwie w górę i weźmie na barana, i niech z nim wraca i daje mi go tutaj, a ja już postaram się by uczynił co przystoi. Czy zrozumiałaś dobrze?

PIERWSZA GODZINA.

Zrozumiałam Jaśnie Panie i biegnę spełnić rozkazy.

Scena druga.

KOPERNIK *na belwederze swego domu obrócony ku wschodowi przypatruje się niebu za pomocą papierowéj trąbki, bowiem teleskopy nie były jeszcze wymyślone.*

Rzecz niesłychana albo wszystkie zegary się śpieszą albo słońce już od godziny wstać było powinno: a tutaj i świtu nawet nie widać na wschodzie, choć niebo pogodne i czyste jak źwierciadło. Wszystkie gwiazdy świecą jak o północy. Udawajże się tutaj do Almagesta i do Sacroboskiego i każ im tłómaczyć sobie przyczynę tego zjawiska! Słyszałemci wprawdzie o nocy, którą Jowisz spędził z żoną Amfitriona; przypominam sobie także żem czytał nie zbyt dawno w świeżém dziele pewnego Hiszpana, iż Peruwianie opowiadają jako razu jednego, przed wielą laty, trafiła się w ich kraju noc dziwnie długa, ba, nieskończona, aż nareszcie słońce wyszło z jeziora, które oni zowią Titikaka. Alić ja dotąd trzymałem to wszystko za szczere plotki i ślepo wierzyłem, że to bzdurstwa, jak przecie wszyscy rozsądni ludzie wierzą. Teraz zaś widząc że rozsądek i nauka nie warte, po prawdzie mówiąc, funta kłaków, poczynam wierzyć, że te i tym podobne rzeczy mogą być prawdziwemi i najprawdziwszemi; owszem, gotów jestem biegać do wszystkich jezior i do wszystkich bagien próbując, azali mi się nie uda złapać słońca na wędkę. Ale cóż to za szum w powietrzu? rzekłbyś że leci jakieś ptaszysko ogromne.

Scena trzecia.

OSTATNIA GODZINA I KOPERNIK.

OSTATNIA GODZINA.

Koperniku jam Ostatnia Godzina.

KOPERNIK.

Ostatnia Godzina? wyśmienicie: niemaszci tutaj rady. Tylko, jeżeli wolno, daj mi odrobinę czasu dla zrobienia testamentu i ułatwienia moich interesów przed zgonem.

OSTATNIA GODZINA.

Przed jakim zgonem? alboż to ja Ostatnia Godzina żywota?

KOPERNIK.

Coś ty więc za jedna? chyba Ostatnia Godzina brewiarza?

OSTATNIA GODZINA.

Wierzę i bardzo, że tać jest najdroższą, szczególnie kiedy się znajdujesz w chórze.

KOPERNIK.

A zkądżeś się dowiedziała żem kanonik? zkąd znajomość? i co to się znaczy żeś mię nazwała po imieniu?

OSTATNIA GODZINA.

Wywiedziałam się o tobie od dobrych ludzi co przechodzili ot tamtędy gościńcem. Słowem jestem Ostatnia Godzina dnia.

KOPERNIK.

Aha! rozumiem: Pierwsza Godzina zachorowała i dla tego to jeszcze nie dnieje.

OSTATNIA GODZINA.

Dajże mi skończyć. Owoż nie będzie dnia ani dziś, ani jutro, ani nigdy, jeśli sam temu nie zaradzisz.

KOPERNIK.

Nie źle dalibóg jeżeli robienie dnia będzie do mnie z urzędu należało.

OSTATNIA GODZINA.

Wszystko ci objaśnię; ale przedewszystkiem potrzeba koniecznie, abyś niezwłocznie udał się ze mną razem do mieszkania Słońca mego pana. Wędrując posłysz resztę; a nagada ci też siła Jaśnie Oświecony Pan mój gdy staniemy u niego.

KOPERNIK.

Wszystko to dobrze. Jednak droga, jeśli się nie łudzę, strasznie długa. A czyliż udźwignę prowizje by nie umrzeć z głodu na rok jaki przed zajechaniem?

OSTATNIA GODZINA.

Nie trap się podobnemi wątpliwościami. Pobyt twój u Słońca będzie krótkim, a podróż odbędzie się w okamgnieniu; bo trzeba ci wiedzieć, że jestem duchem.

KOPERNIK.

A ja jestem ciałem.

OSTATNIA GODZINA.

Nic to nie szkodzi. Nie powinieneś się wdawać w takie subtelności, bo wszak nie jesteś metafizykiem. Zbliż się tylko i wskocz mi na barki, a reszta już do mnie należy.

KOPERNIK.

Hop! rzecz skończona. Zobaczym co to będzie z takiéj nowiny.

Scena czwarta.

KOPERNIK I SŁOŃCE.

KOPERNIK.

Prześwietny Panie!

SŁOŃCE.

Wybacz Koperniku, że cię nie proszę siadać: ale tutaj nie używają krzeseł Jednak rozmówimy się prędko. Już słyszałeś o całéj sprawie od mojéj służebnicy. Co do mnie, ile sądzić mogę z opowiedzi dziewczęcia o tobie i o twoich przymiotach, przekonane jestem, żeś wielce zdatny do przeprowadzenia téj rzeczy.

KOPERNIK.

Panie, ja w tém wszystkiem nie mało widzę trudności.

SŁOŃCE.

Trudności nie powinny zniechęcać takiego jak ty czło-

wieka. Owszem mówią, iż one dodają animuszu odważnym. Ale cóż to są wreszcie za trudności?

KOPERNIK.

Najprzód pomimo całéj potęgi filozofii nie sądzę ją być dość potężną dla w mówienia w Ziemię iżby zaczęła biegać zamiast wygodnie siedzieć, i wzięła się do pracy zamiast próżnować, osobliwie w naszych czasach które się tak daleko od bohaterskich odstrzeliły.

SŁOŃCE.

Nie mogąc jéj przekonać trzeba żebyś ją przymusił.

KOPERNIK.

Uczyniłbym to chętnie, prześwietny Panie, gdybym był Herkulesem albo przynajmniéj Orlandem, a nie kanonikiem Warmińskim.

SŁOŃCE.

I cóż to przeszkadza? Azali nie opowiadają o waszym starożytnym matematyku, iż zapewniał, że gdyby mu dano punkt oparcia po za światem, tedy stanąwszy na nim poruszyłby ziemię i niebo? Ty zaś nie masz nieba do poruszania, a oto właśnie stoisz na owym pozaświatowym punkcie. Jeśli więc nie gorszym jesteś od wspomnionego starożytnego mędrca, musi się na tém skończyć, że ją poruszysz chętną czy niechętną.

KOPERNIK.

Panie mój, dałoby się to wszystko załatwić; ale trzebaby dźwigni, a ta winnaby być tak długą, że nie tylko ja, ale Wasza Słoneczna Mość sam jakkolwiek zamożny nie miałbyś dostatecznego funduszu na pokrycie

części nawet kosztów na materyał i robotę. Inna trudność niemniéj ważna jest ta, o któréj wnet nadmienię; owszem, jestto jakoby węzeł wszech trudności. Ziemia dotychczas zajmowała najpierwsze miejsce w świecie czyli, jakby powiedzieć, połowę świata, i wiadomo, że podczas gdy tak stała nieruchoma nie mając innego zatrudnienia nad przypatrywanie się temu co ją otaczało, wszystkie inne kule wszechświata, tak dobrze wielkie jako i małe, najświetniejsze jako najciemniejsze, kręciły się nieprzestannie nad nią, pod nią i wkoło niej z takim pośpiechem, żarliwością i zaciekłością, iż strach bierze pomyślić. Taką rzeczą bacząc, że wszystko co istnieje zostaje na jéj usługach mniemałeś, że wszechświat jest tylko wielkim dworem, pośród którego Ziemia siedzi niby na tronie, i że inne światy na wzór dworzan, straży i sług zajęte są jeden tą, a drugi ową posługą. Jakoż w istocie Ziemia się uważała za cesarzowę świata; jednak zważywszy dawny porządek rzeczy nie można jéj w tem odmówić słuszności; owszem nie śmiałbym utrzymywać że to jéj rozumienie o sobie jest bezzasadném. Cóż dopiero powiem o ludziach? mając się (jak się zawsze będziemy mieli) za więcéj jeszcze niż najpierwsze i najprzedniejsze istoty, każdy z nas by dobrze chodził w łachmanach i miał tylko kęs suchego chleba do ogryzania, uważał się zawsze i niewątpliwie za cesarza, nie już carogrodzkiego albo niemieckiego, lub rządzącego połową Ziemi podobnie do rzymskich cesarzy, ale za cesarza wszechświata, za cesarza słońca, planet, wszystkich gwiazd widzialnych i niewidzialnych, za ostateczną przyczynę gwiazd, planet, Waszéj Słonecznéj Mości, słowem wszech rzeczy. Teraz zaś jeśli zechcemy aby Ziemia opuściła to swoje środkowe stanowisko, jeśli sprawimy, iż zacznie biegać, kręcić się, mordować bez wytchnienia i wykonywać to samo ani mniéj ani więcéj co dotychmiast inne robiły światy, słowem

iż wstąpi w poczet planet, skutkiem tego wszystkiego jéj ziemska mość równie jak ich ludzkie moście będą musiały zleść z tronu i złożyć rządy, zostając wszakże przy swoich łachmanach i przy swoich niedostatkach, którym niemasz liku.

SŁOŃCE.

Czegóż mój pan Mikołaj chce dowieść swoją oracyą? Czy sumienie jego nie jest czasem draźnione obawą by postępek jego nie był obrazą majestatu?

KOPERNIK.

Bynajmniéj, prześwietny panie; albowiem ani kodeksa, ani dygesta, ani statuty, ani zbiory prawa publicznego, ani prawa magdeburskiego, ani prawa narodów, ani prawa przyrodzonego, nie wspominają o tego rodzaju obrazie majestatu, jeśli mię wszelako pamięć nie zawodzi. Powiadano tylko iż jedném słowem uczynek nasz nie będzie tak prostym i materyalnym jak się zdaje na pierwszy rzut oka, i że skutki onego nie będą jedynie należeć do fizyki; albowiem naruszą się przezeń stopnie godności rzeczy i porządek jestestw, pozamieniają się cele istot i nastąpi wielkie wstrząśnienie w metafizyce, ba we wszystkiem niemal co stanowi stronę spekulacyjną wiedzy. Wyniknie ztąd że ludzie, jeśli wszakże potrafią lub zechcą zdobyć się na zdrowy rozsądek, ujrzą się być czém inném wcale niż dotąd byli lub być się mniemali.

SŁOŃCE.

Synu mój to wszystko ani trochę mię nie zatrważa boć równy wyznaję szacunek dla metafizyki jak dla fizyki, lub nawet jeśli wolisz, dla alchemii lub czarnoksięstwa. Ludzie poprzestaną na tém czém są; jeżeli

zaś nie będzie im to do smaku, poczną sobie rozumować opacznie i bawić się w wywody przeciwne oczywistości, co im jak najsnadniéj przyjdzie; i taką miarą będą się nosili po staremu za wszystko co tylko się im podoba, za baronów, za książąt, za cesarzów lub więcéj jeszcze wedle swego widzimisię; to przekonanie zostanie im na pociechę, a mnie zaręczam cię że smutku nie przyniesie.

KOPERNIK.

Dajmy więc pokój ludziom i Ziemi, ale zważ prześwietny panie co się koniecznie z innemi stanie planetami. Te bacząc iż Ziemia czyni wszystko co same niedawno czyniły i że się stała jedną z nich, nie zechcą nadal zostawać tak gładkiemi, prostemi i niestrojnemi, tak opróżnionemi i tęsknemi jak zawsze były; niezechcą by Ziemia sama tyle posiadała ozdób; ale zapragną także mieć swe rzeki, swe morza, swe góry, swe rośliny, a między innemi swoje zwierzęta i swoich mieszkańców, nie widząc powodu do ustępowania jéj w czémkolwiek. I otóżci ztąd niesłychany rozruch w całym wszechświecie i nieskończona ilość rodzin i ludności nowych, które zaczną w okamgnieniu wyskakiwać zewsząd jak grzyby.

SŁOŃCE.

A ty daj niech sobie wyskakują i niech ich będzie co najwięcéj, boć i światło i ciepło moje wystarczą wszystkim bez powiększenia rozchodu; a świat znajdzie też czém je karmić, odziewać, nakrywać, częstować wspaniale bez zaciągnienia długu.

KOPERNIK.

Niech wasza słoneczna Mość zastanowi się jeszcze trochę, a obaczy wnet inne wynikające ztąd zamieszanie. Gwiazdy bowiem widząc, iż wasza słoneczna mość

usiadłeś, i to nie na stołku, lecz na tronie, więc że masz w koło siebie tak nadobny dwór i lud cały planet; nie tylko iż zażądają usiąść same i wypocząć, ale zechcą także panować: kto zaś panuje winien mieć poddanych, i przeto zapragną posiadać własne planety, jak je sam prześwietny panie posiadasz, każda z osobna swoje, którym to nowym planetom przystanie być zamieszkałemi i ozdobnemi na podobieństwo Ziemi. Pomijam tutaj biedny rodzaj ludzki już przedtem tak nieznaczący w porównaniu z tym jednym światem; a jednak w cóż się on obróci za wystąpieniem tylu innych światów, skoro nie będzie najdrobniejszéj gwiazdeczki na mlecznéj drodze któraby swiata swego nieposiadała? — i już tylko osobisty interes pański mając na względzie powiadam, iż dotychczas wasza słoneczna Mość byłeś jeżeli nie pierwszym pośród wszechświata, to bezwątpienia drugim, ma się rozumieć po Ziemi, i niemiałeś równego sobie, gdyż gwiazdy nigdy nieodważyły się porównać z waszą prześwietną Mością. Owóż w tym nowym stanie wszechświata będziesz Wasza słoneczna Mość miał tyle równych ile będzie gwiazd ze swojemi światy. Przeto strzeż się Jaśnie Oświecony panie, aby zmiana którą zaprowadzić zamierzamy nie była z ujmą jego dostojeństwa.

SŁOŃCE.

Azali nie pamiętasz tego co powiedział wasz Cezar' kiedy przeprawiając się przez Alpy przejeżdżał koło wioseczki jakich'ś ubogich barbarzyńców: iż wolałby być pierwszym w tém siołku niż drugim w Rzymie? I ja także winnobym przenosić pierwsze miejsce w tym naszym świecie nad drugie w kole wszechświata. Lecz nie powoduję się bynajmniéj ambicyą gdy żądam zmiany obecnego porządku rzeczy: jest mi w tém podnietą miłość spokoju lub właściwie mówiąc — lenistwo. Czy

więc będę miało równych albo ich nie będę miało, czy otrzymam pierwsze alboli też ostatnie miejsce, wszystko mi to jedno, gdyż odwrotnie do Cycerona troszczę się bardziéj o odpoczynek niż o godność.

KOPERNIK.

Ten odpoczynek, prześwietny panie, będę się starał ile sił dostać go Waszéj słonecznéj Mości; lękam się jednak by nawet po przeprowadzeniu naszych zamysłów nie byłci krótkotrwałym. Jakoż pewien niemal jestem iż po niewielu leciech Wasza Jaśnie Oświecona Mość będziesz zniewolon wirować nie inaczéj jak koło od studni lub kamień młyński; nie ruszając się wszakże z miejsca. Nadto widzi mi się że nakoniec, wcześnie czy późno, wypadnie mu na nowo biegać, niepowiadam w koło Ziemi... lecz cóż to obchodzi Waszę słoneczną Mość? Może wreszcie to samo kręcenie się, jakie go napadnie, będzie powodem do powtórnych wyścigów.— Bądź co bądź mimo wszelaką niedogodność i wszelakie inne względy, jeśli Wasza słoneczna Mość dostoisz w zamiarze, postaram się usłużyć jemu, ażebyś Wasza słoneczna Mość w razie niepomyślnego skutku przekonał się żem nie mógł, a nie mówił że mi zabrakło serca.

SŁOŃCE.

Wybornie, mój Kopernisiu, więc spróbuj.

KOPERNIK.

Jedna jeszcze zostaje trudność.

SŁOŃCE.

A toż jaka?

KOPERNIK.

Nie życzyłbym sobie w téj sprawie być spalonym żywcem na podobieństwo ogniwaczka: bowiem gdyby tak wypadło, pewien jestem iż się nie odrodzę z własnych popiołów jak rzeczony ptak, i odtąd już nie będę więcéj oglądał oblicza Waszéj Jaśnie Oświeconéj Mości.

SŁOŃCE.

Słuchaj Kopernisiu: wiesz dobrze iż pewnego czasu, kiedy wy wszyscy filozofowie zaledwieście się byli porodzili, za panowania jeszcze poezyi, byłom prorokiem. Otóż chcę ci zaprorokować po raz ostatni, a ty przez pamięć tego starodawnego daru mego daj wiarę moim słowom. Powiadam tedy iż może po tobie tego lub owego chwalącego coś ty uczynił, nie minie drobne jakie przysmalenie; ale tobie samemu cała ta sprawa, o ile przewiduję, na sucho ujdzie. Jeźli zaś chcesz być pewniejszym, tak sobie postąp: księgę którą ułożysz w tym względzie, by ją zasłonić od zamachów ciemnoty przypisz Papieżowi *). Tym sposobem obiecuję iż nie stracisz nawet swojéj prebendy.

Władysław Kulczycki.

---

*) **Kopernik w rzeczy saméj przypisał swe nieśmiertelne dzieło Pawłowi III Farnese.**

ŚWIĘTA PRACA,

KALENDARZ GOSPODARSKI

z opowiadań „Błogosławionéj"

WIERSZ OFIAROWANY

J. I. Kraszewskiemu.

Święta Łuca
Dnia przyrzuca.
Święta Agnieszka
Wypuszcza ptaszka z mieszka.
Na świętego Grzegorza
Idzie Wisła do morza.
Na święty Wit,
Słowik cyt.
Święty Wawrzeniec
Uwije orzechów na wieniec.
Święty Bartłomiéj
Dorzuca drzewa na płomień.
Na świętego Szymona Judy
Spodziewaj się śniegu i grudy.

(Przypowieści gminne).

Jesienną porą pod wieczór szary,
Ciekawe chłopie przy babce staréj,

Rzucając suche na ogień trzaski,
Z których i ciepło idzie i blaski —
Na jéj kolanach złożywszy głowę,
Dawno przebrzmiałą wznawia rozmowę.
— Dobrze to w Niebie mojaści złota
Tam się już o nic człek nie kłopota,
Zechce po rajskim ogrodzie bieżeć
Zechce pod złotą jabłonką leżeć,
To sobie leży, a chce to chodzi,
To znowu pływa we srebrnéj łodzi —
I jeszcze jakich bierze wioślarzy,
O jasnych skrzydłach różanéj twarzy,
Którzy po gładkim pędzą jeziorze,
Swemi piórami czółenko boże —
Czy też to prawda: że tam nie trzeba
Pracować ciężko na kawał chleba.
Że byle swoje zmówić pacierze,
To już tam wszystko samo się bierze.
Opatrzność boska w niebie dla człeka,
Sama słoneczne chleby wypieka,
A potem ręce otwiera
I chleby rzuca, a święty zbiera. —
Trza mu sukienki na przyodziewek
Zaraz anioły lecą do cywek
I srebrną lamę złotem przetkaną
Ze mgły tej robią co wstaje rano.
Robota idzie szybko — jak pszczołki
Kręcą się, brzęczą one aniołki.
Ten mgłę naciąga, ten cywkę ślizga,
A nad tem wszystkiem niebo rozbryzga.
— Pod niewymownéj okiem dobroci
Pewnie że w Niebie człek się niepoci,
Że mu tam wielce słodko i błogo,
Że mu we wszystkiem święci pomogą,
Ale i w saméj jasności nieba,

O! dziecię moje pracować trzeba;
Tylko że tam się najcięższa praca,
Jakoś inaczéj w rękach obraca.

Gdy do niebieskiej zasiędą strzyżki
Święta Urszula i z towarzyszki, *)
Aż owce idą jak zajrzeć okiem,
Jako się obłok mija z obłokiem,
Ciągną a ciągną po modrem niebie,
Same się potem kładą przed ciebie,
A zostawiwszy z run górę białą,
Żeby je słońce boże przejrzało,
Lecą maciorki w radosnych skokach,
Jakby wiatr cichy wiał po obłokach...

Kiedy na całéj nieba przestrzeni,
W krąg się zaciemni i zazieleni,
Święci kosarze złotemi kosy,
Jeden za drugim sieką niebiosy,
I jak się kamień na drodze nada,
To skra jak piorun na ziemię spada.

A jak posieką, potrzęsą siano,
To niebo jasne jeżeli rano,
A jeśli wieczór to wóz gwiazdzisty
Wjeżdża na ciemny błękit przeczysty,
I babki za nim wychodzą złote,
A kiedy wszystką skończą robotę,

---

*) W litanii do wszystkich świętych ilekroć lud nasz wzywa imienia ś. Urszuli wyraża się: Ś. Urszulo z towarzyszkami — i ja przeto uważałem za stósowne połączyć jednę z drugiemi pisząc rzecz z pojęcia ludu.

Zostawią czasem sierp srebrny, biały
Który na niebie wisi dzień cały.

W niebie się przędza żywota przędzie,
Cokolwiek było, co jeszcze będzie,
Każdy najmniejszy kłoseczek żyta,
Tam się zawiąże a tu rozkwita.
Na każdem pełnem ziarnie pszenicy,
Widać obrazek Boga-Rodzicy, *)
Wszystko czem biedna ziemia się szczyci,
Z nieba się ciągnie srebrnemi nici.

Kiedy na zimę kraina cała
Pod chłodnym śniegiem zrobi się biała,
A dzionek krótki ledwie się mignie,
Już i w sto koni go niedoścignie,
I każda dusza w sobie się zwinie,
Jak gąsienica w swéj pajęczynie.
Wtedy na niebie dzieweczka boża
Mało pomału dzionka przysporza,
Ta święta panna zowie się Łuca,
Co robi światło i dnia przyrzuca.

Jak jéj to idzie owa robota,
Od tronu Boga naciągnie złota,
I po rozległéj nieba przestrzeni,
Rzuca snopami jasnych promieni.

---

*) Lud nasz prawdziwie pobożny w samem zakończeniu pszenicznego ziarnka upatruje podobieństwo do Matki Najświętszéj; wychowany na wsi słyszałem nieraz od dzieci wiejskich te serdeczne słowa, które przechowuję w duszy mojéj: „albож to koniuszek, to główka saméj Matki Najświętszéj.“

Na zachód światła rzuci w dolinę
Jużci przybyło dnia na godzinę,
Na wschód potrzęsie garszteczką słonka,
Już na godzinę przybyło dzionka.

A potem kiedy dzień się rozpostrze,
Anioł przybiega ku drugiéj siostrze,
Która jak tylko nadciągnie zima,
Pod swoim kluczem skowronki trzyma.
Więc gdy już słońca najdzie tak wiele,
Że na chrzcielnicę pada w kościele,
Wtedy ostrożna święta Agnieszka,
Jednego ptaszka wypuszcza z mieszka.
Gdy nie powróci i znaku nie da,
Na ziemi widać że już nie bieda,
Wówczas niebieskie brzęczą zawiasy,
I ptactwo leci przeróżnej krasy,
Nad świętą wieńcem zatacza koło,
A potem spada na nasze sioło.
A dzieci krzyczą ho! będzie lato,
Bo już śpiewają ptaki przed chatą.

Wisła ta nasza rodzinna rzeka
Za jednym świętym długo też czeka.
Co raz to Oryl dręczony głodem,
Nad brzeg wychodzi, stawa nad lodem,
Na wierzbach wiszą szronu kożuchy,
Do koła biało, świat pusty, głuchy;
Wszystko się człeku psuje, rozsycha,
A ty Wisełko głucha i cicha:
Hej! albo matko idźmy już w drogę,
A na to Wisła mówi: nie mogę
Chociażbym rada to ani razu,
Z Nieba widzicie czekam rozkazu.

Gdy czas ku temu, ku świętéj radzie
Gdzie święty Grzegórz siedzi w gromadzie,
Biały gołąbek z nieba przyfruwa,
Który nad świętym dzień i noc czuwa.
Na złotym jego ramieniu siada,
I coś perłowem słowem powiada.
Po czem się święty podnosi w radzie,
Infułę jasną na głowę kładzie,
I pastorałem srebrnym gdy skinie,
Pękają lody i Wisła płynie.

Wiosenną porą pogodnym świtem,
Pan Jezus gada ze świętym Witem,
Jakże tam w polu wszystko zielone,
Już też porosło pewnie na wronę.
Wczora deszcz przeszedł i wonność słodka,
Toż się tam trawa sypnie jak szczotka.
No cóż tam Wicie już piętka w życie?...
A Wit po widnem wodząc błękicie
Przejrzystą ręką wskaże skowronki
Które wzlatują z nad mokréj łąki
I wyśpiewują prawie bez końca
U stóp przeczystych wiecznego słońca.
I rzecze smutny: nie słyszę Panie,
Pokąd to ptactwo piać nie przestanie.
Więc anioł boży dziwnéj pogody,
Daje znak skrzydłem — głuchną ogrody
Wiśniowe sady, zielone gaje,
Za jednym razem wszystko ustaje.
Wykołysane pieśniami zboże,
Samo już pięknie zabrzęknąć może,
I po wszem kraju na wszystkie strony
Owsy szeleszczą, brzęczą jęczmiony,
Pszczół i komarów muzyka przy tem,
Łącząc się w jedno, z powiewnem żytem,

Najcieńszą nutą wygrywa Panu,
Po pieśniach ptaków wielką pieśń łanu.

Przychodzą zbiory, Jesień za pasem,
Święty Wawrzyniec chodzi nad lasem
Nad ciemne bory, głuche parowy,
Gdzie igra z wiatrem orzech laskowy.
Aż kiedy dziewcząt wiejska gromadka,
Ile ich kryje poszyta chatka,
Naraz pszeniczne odbiegnie żniwo,
Za orzechami w gaik co żywo,
Żeby najpierwsza z pracownych żeniec,
Z orzechów onych przyniosła wieniec,
Swięty znający szczerość ich duszy
Coraz to ową leszczyną wzruszy.
Dopiero radość, wesołe śmiechy,
Jako perełki lecą orzechy...

Święty Bartłomiéj, gospodarz szczery,
Pod koniec roku ostrzy siekiery,
Padają drzewa stare po lesie,
W dalekie strony głos echo niesie.

Przy cięciu święty pilnuje świadek,
Żeby nie zaszedł jaki przypadek.

Wreszcie w ślad świętych Szymona Judy,
Na świat przychodzą śniegi i grudy,
I święty Marcin na białym koniu,
Po zaśnieżonem przejeżdża błoniu.
Patrząc po stronach na biednych zwłaszcza,
Którym rozdaje po szmacie płaszcza,

Dla każdéj nędzy co przed nim stawa,
Srebrnego płaszcza kawał odkrawa.

I tak się święta praca wciąż snowa,
Jak z ust poczciwych serdeczne słowa.

— To odpoczynku w niebiosach niema,
Tylko wciąż robią lato czy zima.
Ani na wilią przy sianku żłóbka
Nie siada żadna srebrna osóbka.
To jakże w niebie?...
górą czy dołem,
W święto się wszystko robi kościołem.
Niebo się stroi w najbielsze róże,
Anioły w dole, anioły w górze,
W niebieskich szatach przeszytych złotem,
Potem biskupi, pasterze potem,
Potem królowie porówno z kmiećmi,
I matki święte z małemi dziećmi.
Wszystko to klęczy na skrawéj bieli.

Po bokach wyżéj grają anieli—
Są tam i skrzypce i trąby dęte,
A jacy piękni święci i święte,
Wszyscy się patrzą z dziwną słodyczą,
I całe wieki szczęścia tak liczą.
Na naszą wilię na Narodzenie
Robi się jakby złote sklepienie,
Jakieś wgłębienia, jasne załamy,
Drzewa z srebrnemi rosną liściami,
I wszystkie zmarłe święte pastuszki
Prawdziwe dzieci najczulsze duszki,
Po jasnem niebie idą a jadą,
Taką processyą, taką gromadą,
Że wzrok śmiertelny przejrzeć nie może,

Całe to białe królestwo boże.
Przy takiéj ciżbie, takim natłoku,
Czasem się zrobi otwór w obłoku,
I całe głębie nieba widnieją,
Wtedy to nasze koguty pieją.
W téj też jedynéj przez lato porze,
Gwarzą ze sobą woły w oborze,
Bieli się w świetle strzecha domowa,
A zły duch w ziemię jak wąż się chowa.

Dla dobrych dzieci w przedziwnéj wierze,
Postać dzieciątka Zbawiciel bierze,
Koszulkę prostą i z matki łona,
Słodko spogląda na święte grona.
I na niebiosach, na ziemi, wszędy,
Nie słychać tylko same kolendy.
Biało na niebie, na ziemi biało,
Ziemia i niebo jednem się stało.
Śnieżysta nasza cała kraina,
Jak jedna ustroń cicha, jedyna.
Kościół z modrzewia poczernion wiekiem,
Stara dzwonnica, wierzba nad ściekiem,
Kołowrot wiejski i krzyż na boku
Skaczą za każdem serca podskoku.

Jak każde święto obchodzą w niebie,
To już stróż anioł nauczy ciebie,
I przed ołtarza srebrnym obliczem,
Nie będziesz więcéj myślał o niczem.
Nie będziesz biegał co prędzéj ze mszy
Łamać gałęzi, bzów i czeremszy,
Ale spokojnie złożywszy ręce,
Będziesz paciorki mówił dziecięce.

Mądrości bożéj w książce się uczył,
I po literach palcem powłóczył.

— To jeszcze jedno gdyście kochani,
O Matce Boskiéj o naszéj Pani,
Co jest korony polskiéj królową,
Jaką koronę nosi nad głową.
— Z gwiazd uplecioną w niebiosów łazurze,
Lecz to nie gwiazdy ale łzy duże,
Które spojrzenie wiecznéj dobroci,
Tak krople w słońcu wiszące złoci.
Te czystéj wody z gwiazd dyamenty
Świecą nad czołem Panienki świętéj,
I przeto wiecznie twarz Jéj łaskawa,
W ustawnych prośbach smutną się zdawa.
U stóp Jéj widać kościołów prochy,
Żelazne kraty, wilgotne lochy,
Gdzie księżyc czarne oświeca ściany,
Słomę przegniłą, słupy i dzbany.
Starców na słomie z długiemi brody,
Ręce i nogi zakute w kłody,
Jakieś pielgrzymy o bosych nogach
Idą a idą po krwawych drogach,
Czekając świętych rozkazów z góry,
By raz pielgrzymskie złożyć kostury.

Całe krolestwo choć pod Jéj władzą
Jak już słyszałeś święci prowadzą,
Niesie krzyż wielki, krzyż dopuszczenia,
Plagę bojaźni, plagę zwątpienia,
Nienawiść obcych, złość przeciw sobie,
Grób na radościach, i śmiech na grobie,

Sieroctwo niesie kamienia cięższéj,
I uwijanie się krętych węży,
Psów głodnych wycia pustkę serdeczną,
I ślinę bluźnierstw na twarz słoneczną.

A że to całe królestwo żyje
To nie przez żadne zasługi czyje,
Ale dla jednej staruszki wieśnej,
Która gdzieś siedzi w wiosce zaleśnéj,
Gdzie wypłakawszy swych oczu dwoje
Z których wybiegło łez krwawych zdroje
Ciemna i drżąca jak liść osiki
Prowadzi żywot odludny, dziki,
Pod modrzewiowym kościołem siada
I różne rzeczy dzieciom powiada.
Tak że się przy niéj i starzy kupią
I zwą ją świętą i zwą ją głupią,
I opętaną i czarownicą;
Przez złość jéj czasem plują na lico;
A ona ślinę otarłszy z twarzy,
Wyciąga ręce do tych nędzarzy,
Jak kokosz kiedy ziarnko wybierze,
Wytrząsa szmaty jak skrzydeł pierze
I woła na nich ze wszystkiej mocy,
Przyjmcie ostatni grosik sierocy.

— Moiście drodzy nie mówcie daléj!
Bobyśmy dzieci w nocy nie spali
A tak to będziem myśleli o tem,
Jak święci chodzą okryci złotem,
Jak wylatują by pszczółki z ula,
Jak perły sieje święta Urszula,
A smutne rzeczy matko kochana,
To już zostawcie do jutra rana.

— Do jutra dziecię, do jutra moje
Niech ci śpiewają rodzinne zdroje.
Do jutra gwiazdy niech patrzą na cię,
I święty spokój w ojcowéj chacie.
Do jutra niechaj bór okoliczny
Młynek pod borem i zdrój kryniczny
Zkąd szum dochodzi zimą czy latem,
Będzie ci szczęściem i całym światem,
Jutro przed twoją duszą niewinną,
Usiądzie prządka z powieścią inną...

Rzym 10 grudnia 1857 r.

TEOFIL LENARTOWICZ.

ŻYCIE I ŚMIERC

JÓZEFA CHŁOPICKIEGO

w KRAKOWIE.

Ze zbioru podań i wspomnień krakowskich

JÓZEFA MĄCZYŃSKIEGO.

Po śmierci Józefa Chłopickiego zakończającéj tak godnie cały jego żywot, nalegali na mnie znajomi i przyjaciele, abym spisał wiadomości jakie powziąłem był o życiu tego męża. Lecz ja rzekłem atoli na to: Kiedy Polska przed trzema blisko wiekami podobną okryła się żałobą i opłakiwała zgon Wielkiego Hetmana Jana Tarnowskiego, wtedy Jakób Górski ów sławny

i pracowity Rektor Akademii krakowskiéj pamięcią wiedzion na potomność, napisał do uczonego Stanisława Orzechowskiego, aby przesłał opis wiadomych mu szczegołów życia i zgonu tego męża, potrzebny do napisania żywota jego. A gdy taki Orzechowski w ówczas mógł wachać się czyli podoła téj pracy a nawet odpisać: „*To na mnie trudno jest*, tem ci więcéj winienem był powiedzieć zachęcającym do podobnéj pracy: *Przebaczcie, to na mnie niepodobna jest*.

Wszak przypomnij sobie, rzekł mi na to, jeden z przyjaciół, że nam jednak przechowała także historya ta pamiętnica ludzkich zasług i mistrzyni żywota i dalsze słowa Orzechowskiego...

Gdy to usłyszałem i gdy jeszcze pomyślałem, ilem Chłopickiemu dłużny za tę dwudziestoletnią przychylność która mojem szczęściem była, za to zaufanie, które mnie dumnym czyniło, za to pozwolenie zajmowania się uprzyjemnieniem jego starości, pielęgnowania w chorobie i za ten wreszcie bolesny zaszczyt, iż dozwolił mi być między temi, na których rękach pragnął skonać, wtedy porwany zostałem właściwem nam Polakom uniesieniem; przekonanie o mojej nieudolności straciło władzę nademną, postanowiłem tę nieudolność przezwyciężyć chęcią i usilnością, i w Imie Boże jąłem się tej pracy, ze łzą w oku, z bólem w sercu i z tem przekonaniem, że znajdę dla siebie pobłażanie.

Wszelako i w tem uniesieniu daleki jestem od téj zarozumiałości, abym mniemał, że wolno mi zasiąść na poważnem krześle historyka i badać i sądzić Chłopickiego, jako historycznego człowieka. Nawet daleką odemnie jest ta myśl, abym skreślił, co zdziałał Chłopicki w całym ciągu żywota, pełnego w czyny uświetniające nieraz owe przelotne chwile błogich nadziei wśród burz politycznych, które na nas wieki i narody nagromadziły.

Ja pokusić się tylko mogę o przedstawienie Chłopickiego wśród domowego życia, myśląc, że zrobię wam tem i tak niemałą przysługę dając obraz jego z tych chwil, w których człowiek nie wystawnie, ale rzetelnie się maluje. A będzie to z czasu kiedy po Grochowskiéj krwawéj potrzebie, w któréj jak ktoś napisał „*Zwyciężał jak wódz, a umrzeć chciał jako prosty żołnierz*“, obrał Kraków dla siebie na siedzibę, pragnąc wśród jego odwiecznych pamiątek żyć i umierać, jak ów stary pielgrzym w mieście Grobu świętego.

Daj Boże, abym i téj pracy podołał i aby ta dała poznać jego przymioty duszy i serca, bo pragnę aby to poznanie upewnić was mogło, iż się niemylę, gdy wpatrując się w czyny życia tego znakomitego wojownika uroczyście oświadczam: był to człowiek nieugiętego w zacności i szlachetności charakteru.

Zaczynam od wprowadzenia was w jego mieszkanie, ktore najmilszem mu było w Rynku, a to przez uczucie i zamiłowanie artystycznéj piękności zaspakajanéj tu pięknym i wspaniałym tegoż widokiem. I dla tego po przybyciu swojem do Krakowa przemieszkiwał tylko kilka miesięcy w domu na Wesołéj pod liczbą 249 a po ogniu w roku 1850 w domu przy ulicy Floryańskiéj pod Nr. 541 a resztę lat mieszkał w domach w Rynku pod numerami 20—236 i pod numerem 454, gdzie umarł.

Ze szczerą staropolską uprzejmością przyjmował w te mieszkania wszystkich osobistą wartością na to zasługujących lub tych, których polubił, jak mnie.

„Jakże się macie!“ Były to słowa jego powitania wymówione z brzmieniem okazującem, iż głos jego który wśród boju rozlegał się niby grom, nawykł także do rozmowy serca z sercem.

Przy tem powitaniu drżące jego ręce wyciągnięte ku przybyłemu wywoływały, pozwalały i ośmielały rzucć

się w jego objęcie. Za przyjazny uścisk dziękowali mu wszyscy ucałowaniem tych ramion, które dźwigały tak chlubnie te oznaki wodza, pozyskane nie dla imienia zaszczytu, ani dla zasług przodków, ale dla tego, jak mu to przyznano, że był *najwaleczniejszy z walecznych*

Powierzchowność Chłopickiego stawiała ci żywo przed oczyma postacie śpiących na Wawelu bohatérów naszych. Miał wzrost wzniosły, postawę groźną, a każdy ruch jego jakąś uroczą powagą tchnący. — W wspaniałem jego obliczu iskrzyły się oczy, które w chwilach gwałtownych uniesień jakby wyrzucały jasne płomienie ognistej duszy, a gdyś wtedy spojrzał na głowę okrytą białym włosem musiałeś porównać Chłopickiego do tych wulkanów bielejących śniegiem a przechowujących w łonie swojem kipiące żary.

Daję wam ten, że tak powiem, szkic z osoby Chłopickiego, bo na danie obrazu niestać mnie, a nawet mam to przekonanie, że jeżeli kto pokusi się o to, wtedy Chłopicki w tym obrazie będzie takim, jakim go widzimy w pozostałych jego portretach i popiersiach, a które tak mi przedstawiają Chłopickiego, jak na obrazie namalowany prawdziwy pożar.

Teraz o nim zapomnijmy na chwilę, bo jeżeli w waszéj wyobraźni uobecnił się Chłopicki, lękam się aby to niewywarło na was takiego wpływu, jaki wywierała obecność jego na osoby szczególniej pierwszy raz go odwiedzające. Wpadały one jakby w jakie zachwycenie i nic niewidziały tylko samego Chłopickiego, a ja pragnę zapoznać was także z tym pokojem, w którym przyjmował, kiedy was już wprowadziłem w jego mieszkanie.

Wielkie bióro czarno lakierowane, stół zielonem suknem okryty z książkami i mapami, kanapa, kilka stołków, szeslong safianem zielonym wybity, dwa wielkie krzesła, a przed jednem z nich mały stolik, to wszyst-

kie sprzęty stojące w tym pokoju. Na ścianie wisiał tylko jeden obraz, a ten był litografowana kopija obrazu Steubena przedstawiającego bitwę pod Waterloo; a na biórze stało z białego marmuru popiersie nieszczęśliwej ofiary tej bitwy. Chłopicki bowiem przenosząc nad wszystko sławę wojskową podziwiał i uwielbiał geniusz wojenny Napoleona.

Na kilka lat przed śmiercią postawił Chłopicki na tem swojem biórze dwa fotografy, jeden Hrabiego Adama Potockiego, drugi żony jego Katarzyny Hrabianki Branickiej. Dla czego zapragnął wpatrywać się w ich rysy twarzy, wykryje wam dalsze moje opowiadanie a teraz jeszcze wspomnę o tym obrazie, który stał w tym pokoju a był mu podarowany przez Suchodolskiego, na którym ten nasz historyczny malarz przedstawił go kiedy jeszcze jako półkownik na czele swych grenadyjerów przebywa śmiercią zionący wyłom w murach Saragossy i pamiętnem w dziejach wojen jéj zdobyciem pomnaża bohaterskie czyny Polaków.

Jak morderczą była ta walka wyjaśniły mi najlepiéj te słowa powiedziane przez tego człowieka nie znającego niebezpieczeństwa.

— Tu jeden raz w mojem życiu pomyślałem, trudno ztąd żywym wyjść będzie. Lecz ja byłem gotów zawsze na śmierć i śmiało szedłem po nią.

Wypowiedziawszy te pamiętne słowa wykrywające jak cnotliwym musiał być jego żywot, wracam z wami do samego Chłopickiego i dalsze opowiadanie rozpoczynam tą wiadomością.

Jego silnéj woli nawet sam sen ulegać musiał, gdyż prawie do ostatniéj słabości usypiał kiedy chciał i budził się kiedy chciał i nie robiło mu to żadnéj różnicy czyli udawał się na spoczynek z zachodzącem słońcem czyli przed jego wschodem. Sen zaś miał tak mocny, iż kiedy podczas rozruchu w Krakowie w nocy z dnia

21 na 22 lutego r. 1846 z armat strzelano o sto kroków od jego mieszkania a kule karabinowe rozbijały okna w sypialni jego, to go nie zbudziło. Lecz przeciwnie kiedy chciał czuwał prawie przez sen, czego nieraz dowiódł w odbytych kampanijach. Wtedy także pierwszy się budził, pierwszy dosiadał konia, aby śledził każde poruszenie nieprzyjaciela bo mawiał:

— W tem dowódzca lenić się niema, bo jeżeli tylko patrzeć umie to dopatrzy czyli co, a nawet co działać będzie nieprzyjaciel z rozpoczęciem dnia.

W pierwszych latach swego pobytu w Krakowie codziennie nie zważając na porę roku wcześnie wstawał i używał rannéj przechadzki. Lecz później zaniechał tego i sypiał do ósméj godziny a czasem i dłużéj. Gdy wstał po starannem umyciu i codziennem ogoleniu choć trudnem dla trzęsącéj mu się ręki, ubrany zwykle w turecki strój opuszczał sypialny pokój i zasiadał do śniadania w opisanym powyżéj pokoju.

Zanim stary sługa jego Józef Kurowski przyniesie samowar z gotującą się wiślaną wodą i zajmie się najtroskliwszem przyrządzeniem herbaty podług przepisu wydanego mu przez Chłopickiego, ja przez ten czas mogę wam jeszcze powtórzyć te nieraz od niego słyszane słowa.

— W mojéj uganiaczce po Hiszpanii najnieznośniejszym był dzień w którym nie mogłem umyć się, ogolić i przebrać. Nie raz tej konieczněj mojéj potrzebie ustąpić musiały pierwszeństwa i sen i jedzenie.

Raz zaś mówiąc o téj jak ją nazwał konieczněj potrzebie powiedział:

— Podczas oblężenia Tortosy, już po zdobyciu tego diabelskiego szańca przedmostowego na prawym brzegu Ebro, nękający nas swemi wycieczkami nieustannemi Jenerał Odonnel trzymał nas w przekopach przez trzy dni blisko. W ostatniej wycieczce, gdyśmy dobrze skó-

rę wytrzepali, myślałem: pofolguje nam, a żem był strudzony, i zbrudzony, chcąc wypocząć i oczyścić się ruszam do kwatery w obozie. Choć śpiący jak sowa kiedy jej słońce południa przygrzewa nie kładę się, ale zaczynam toaletę i golę się. I gdyby nie to moje golenie byłby nas porządnie Odonnel ogolił. Ledwo bowiem parę razy brzytwą po brodzie przejechałem, a tu słyszę strzelanie. Na pół rozebrany wylatuję i widzę jak straż z przekopów zmyka a na karkach ich Hiszpanie wpadają w obóz. Niebyło czasu do ubierania, wyrywam tylko ordynansowi mój kapelusz króren trzepał i pręt którym go trzepał i tak umundurowany i uzbrojony dopadam między naszych Maćków z drugiego pułku co pierwsi stanęli pod bronią a krzyknąwszy: do ataku! na bagnety! uderzyłem z niemi i odparliśmy te wycieczkę z niemałą stratą Hiszpanów.

Gdyśmy stanęli napowrót w przekopach śmiałem się sam z mego ubioru a mój Adjutant powiedział mi: Jenerale, czyliż nas nie przeprosisz żeś stanął na czele bez rękawiczek, bo tak przepraszał jeden kobiety, gdy wypadłszy z rzeki w któréj się kąpał, wstrzymał konie unoszące ich powóz w przepaść.

Pamięć moja nieprzechowała nazwiska tego adjutanta Chłopickiego, tylko to zdanie jego o nim, iż był on w towarzystwie jeden z najweselszych i najprzyjemniejszych ludzi, a na polu walki ta wesołość go nieopuszczała. — Mówiąc o tym powiedział:

— Byłem szczęśliwy w doborze adjutantów, lecz który mnie prawdziwie zaimponował swoją zimną krwią przezornością i niezmordowaną czynnością to Kruszewski jeden z moich ostatnich adjutantów pod Grochowem, a dzisiejszy Generał w wojsku Belgijskiem. Nie wacham się powiedzieć, że jego kładę na czele tych prawdziwie walecznych, których widziałem, a widziałem ich niemało w mojem życiu. — Ale w tamtych zawsze dostrzega-

łem wśród walki coś przymusowego, nienaturalnego, a w Kruszewskiem niedopatrzyłem najmniejszéj zmiany. On był jakim był zwykle tak, iż zdawało mnie się że odbierał rozkazy nie wśród padających obok nas kul i granatów ale w mojéj kwaterze.

Po tych wspomnieniach wróćmy do jego śniadania, bo już włożył cukier do filiżanki, a Kurowski wlał do niéj herbatę z małéj srebrnéj herbatniczki obwiniętéj w serwetę i zabielił ją kilkoma kroplami nieprzegotowanéj śmietanki. Przy piciu tej pierwszéj filiżanki przejadał Jenerał zwykle jajek cztery na miękko zgotowanych i bułeczki lub rogale z młodziutenkiem masłem codzień przed herbatą w domu robionem. Lecz ta zwykła przekąska pomnażała się często jakimś dodatkiem np. sardynkami, kawiorem, szynką i strachinem który lubił. Po wypiciu drugiej filiżanki herbaty pił szklankę wody a potem następywało płukanie ust, obmycie rąk a to na małéj srebrnéj miedniczce, którą po zebraniu przekąsek stawiał przed nim służący. Rad był mieć kogo na tem śniadaniu, aby jak mawiał co pogawędzić więc też zwykle bywał kto a szczególniéj przybyli do Krakowa jego znajomi.

Po ukończonem śniadaniu, paląc fajkę na długim cybuchu, czytał gazety i różne książki a mianowicie historyczne. Lecz najczęściéj te przedpołudniowe godziny przepędzał w towarzystwie odwiedzających osób. Wszczęta rozmowa wykrywała zaraz, że to człowiek, którego dusza wszystko dla niego tworzy. Jego bowiem pomysły, zdania, myśli, a nawet sposoby wyrażania się wydawał on na świat nacechowane twórczością. Lecz tacy ludzie jak liczne przykłady udowodniają najczęściej cudzemi mniemaniami zajmować się nie lubią, a co ich doprowadza do tego, że niekiedy drugich, że tak powiem nie rozumieją. Jednym z takich ludzi był Chłopicki i stąd gdy objawił o czémkolwiek swe zdanie

wtedy był głuchym na wszystkich innych zdania choć by poparte najoczywistszemi dowodami.

Wiedzieli o tém wszyscy jego znajomi i unikali tych przykrych bezowocnych z nim rozpraw. Nieświadomi tego, gdy starali przekonać go, gniewał się i wtedy, jeżeli był w tym rannym tureckim stroju wziął-byś go był za jakiego baszę unoszącego się gniewem, iż kto śmiał objawiać mu swoje zdanie przeciwne jego zdaniu. Niewachałem się wypowiedzieć tego o Chłopickim bo znając miłość prawdy tej niczem nigdy niepokalanéj duszy; lękałbym się obrazić pamięć jego zamilczeniem choćby najniekorzystniejszéj o nim prawdy.

Lecz takich chwil nie wiele nakarbowano w życiu Chłopickiemu. Ulubieniec ten niebios obdarzony był tem ich darem, że do jego rozumu biegła w każdym razie szczęśliwa myśl, a on umiał ją pochwycić, uwięzić i zmusić, aby mu prawdę porodziła. W ówczas to porodzone dziecię wylatywało z duszy jego strojne w treściwe słowa, dobitne wyrażenia i wkradało się w przekonanie każdego, ztąd wszyscy do jego woli lgnęli, a zdań jak wyroczni słuchali.

Nie potrafię opisać wam téj rozkoszy doznawanéj przy słuchaniu jego opowiadań w których każde słówko przemieniało się w myśl i uczucie; zkąd roje myśli, rozliczne uczucia sięgały aż do dna serca. W tych opowiadaniach jego niewiedziano co podziwiać, czyli moc myśli i gwałtowne zwroty, czyli ognistą wyobraźnię dającą mu szczodrze różno-barwne farby do malowania myśli, czyli nadzwyczajną pamięć przechowującą zdarzenia zaszłe przed pół wiekim tak świeżo, jakby wydarzone przed pół godziną.

O jakże teraz żałuję, żem nie spisywał tych jego opowiadań, ale nie mogłem jąć się téj pracy będąc pewnym, że moja ręka zedrze z nich te ozdobne szaty, w które on umiał je z właściwym sobie gustem przy-

strając tak wdzięcznie i mile a naturalnie. Dla tego wspominałem o téj pracy tym, którzy mogli jej jedynie podołać, to jest Lucyanowi Siemieńskiemu i Zygmuntowi Kaczkowskiemu, i obaj ci znakomici pisarze zachęceni pięknością słyszanych opowiadań, zapragnęli je unieśmiertelnić wpisując w dzieła swoje. I Chłopickiego skłoniłem że będzie im opowiadał te swoje przygody ale odkładał to z dnia na dzień i nie przyszło do tego ze szkodą dla potomności.

O! z jakiemże zajęciem czytalibyście jego opisy lat dziecinnych. Wśród innych wspomnień przywodził i te chwile, w któréj pierwszy raz w ośmioletniem jego sercu uczuł w sobie zapał wojskowy w czasie zajazdu wioski graniczącéj z wioską jego ojca. Wiedzion ciekawością wykradł się z domu i pobiegł aby zobaczyć tę szlachecką burdę. Lecz gdy uwidział bijących się, usłyszał strzały, zapragnął z widza stać się uczestnikiem walki a obrońcą zajechanego sąsiada. Dostaje się do pasieki z któréj on broniąc się, odpierał zajezdników (*brachium militare*). Lecz gdy przemyśliwa o pozyskaniu broni czuje jakieś ciepło w bucie i widzi zakrwawione swoje letnie czekczerki. Ten upust krwi ostudza jego zapał i cofa się do chaty pasiecznika, gdzie po rozebraniu pokazało się, że kulka pistoletowa drasła go lekko powyżéj kolana, Widok téj rany nie przestrasza go, owszem jak opowiadał, rad był, że będzie mógł przed swemi braćmi i rówiennikami chwalić się tą raną świadczące o jego odwadze okazanej w obronie sąsiada. Ale ta radość krótko trwałą była, bo gdy spojrzał na swą zakrwawioną i przestrzeloną nogawicę, pomyślał, że ojciec o wszystkiem się dowie, i o skutkach ojcowskiego gniewu. Po zwycięztwie odniesionem przez *co rpu defensivum* na ranę jego zalaną okowitą położono z wosku plaster, czechczerki wyprano, ale dziura dość duża została. Wracać więc z nią do domu trzeba było, ale

jeszcze z nadzieją uproszenia matki o tajemnicę przed ojcem i o załatanie dziury. Chciał się dostać do dworu przez sad w tyle będący, bo ojciec zwykle siadywał przed dworem lub kręcił się około stajen po przed tym stojących. Lecz omylił się nasz młody strategik, bo właśnie wpadł w ręce ojca czatującego w sadzie na szkodnika obrywającego mu gruszki. Po summarycznych inkwizycyach, nie o dziurce, bo téj ojciec nie postrzegł ale o wydaleniu się z domu bez wiedzy jego, wydał on wyrok i ten zaraz wykonał, wyrznąwszy młodemu szlachcicowi na trawnym kobiercu sadu dziesięć plag nahajką, z którą czatował na psotnika. W owym czasie szczepiono młodzieży cnoty i nauki batem i nieszczędzono tego ale używano ze szczodrotą w domu i szkołach. Bat jak to utrzymywał Chłopicki, nauczył go cierpliwości i wytrwałości, pod jego to razami doświadczył on najprzód że nawet ból i żal rozkazom jego silnéj woli posłuszne być muszą.

— Pierwszą i ostatnią ranę w mém życiu, mawiał Chłopicki, otrzymałem w tę nogę i za obiedwie boleśnie zostałem wynagrodzony. Na rycerza zaś i kochanka miałem szczęście być batami pasowanym i opowiądał następne zdarzenie.

Będąc w szkołach u księży Bazylianów w Szarogrodzie na Podolu, osładzał sobie czytaniem książek polskich to cierpienie, za jakie miał uczyć się języka łacińskiego do którego czuł prawie wstręt. Lecz gdy księża Bazylianie właśnie książek polskich młodziey czytać wzbraniali, bo to ich od łaciny odrywało, więc Chłopicki namawia starca ciemnego z ich klasztoru braciszka Jędrzeja, aby wyjednał od przełożonego pozwolenie brania z biblioteki klasztornéj dzieł polskich, a on mu się ofiaruje być jego lektorem. Brat Jędrzéj otrzymał to pozwolenie, a Chłopicki pochwałę za chęć przyniesienia pociechy temu starcowi w jego kalectwie.

Ta pochwała obudziła w nim uczucie prawdziwego poświęcenia i odtąd wolny czas od nauk przesiadywał w celi brata Jędrzeja czytając, jak zapamiętał, najprzód *Żywoty Świętych* Skargi. Czytanie to taki wpływ na niego wywarło, że nieraz wśród czytania przychodziła ma myśl zostania księdzem. Lecz ta myśl zaraz nikła skoro po skończonem czytaniu jak zwykle było, brat Jędrzéj zaczął opowiadać walki Konfederatów Barskich swemu Grzesiowi, bo tak go zwał choć nieraz prosił aby po nazwisku na niego wołał.

Imie bowiem Grzegorza otrzymał Chłopicki na chrzcie i używał tegoż aż do wstąpienia do wojska, gdzie zapisał się z swym drugim chrzestnym imieniem Józefa. Téj zmiany był powód następny. Przy kuchni klasztornéj posługiwał jakiś stary człowiek na umyśle i na ciele upośledzony od natury. Miał wzost mały, nogi niezwykłéj wielkości, ręce chude sięgające kolan, twarz długości nieodpowiedniéj jego figurze, oczy małe, bure, błyszczące wtedy tylko gdy obmywając naczynia kuchenne, wyjadał i wylizywał pozostałe w nich resztki. Natura nie pobłądziła oblekając takim ciałem jego duszę, gdyż był tak niedołężnym, iż niemógł się nauczyć pacierza, i dla tego musiał go głośno odmawiać. Gniewał się zawsze i nic prawie nie mówił tylko mruczał, a wszyscy z niego żartowali figle mu płatając. Zwał się zaś Grześ, ztąd imie to poszło w taką poniewierkę, że studenci przezywając się, wołali jedni na drugich z pogardą: Grzesiu! I ten był powód że w tym nowym zawodzie nowe imie przybrał Chłopicki.

Lecz wracam do rozpoczętego opowiadania. Z nadejściem wiosny brat Jędrzéj opuszczał celę i na świeżem powietrzu w ogrodzie zwykle całe dni przesiadywał. — Tam do niego przychodził także i jego Grześ, lecz w swem czytaniu często się zająkiwał, na jego opowiadania mniéj był uważnym, a przyczyną tego była Zosia

córka ogrodnika, którą oczy jego zawsze widziały czyli to przechodziła czyli siedziała. Wyglądać miała jak łania, ale też podług zdania Chłopickiego, jak łania miała być pierzchliwą. Lecz on tę łanię powoli tak oswoił, iż bez bojaźni przychodziła słuchać jego czytania i opowiadań brata Jędrzeja i tylko bojąc się, żeby jéj kto inny nie widział, kryła się w sąsiedzkie krzaczki. Odtąd mniéj czytać a więcéj słuchać rad był. Starał się przeto zadawanemi pytaniami obudzać wspomnienia i wywoływać opowiadania brata Jędrzeja, podczas których swobodniéj mógł z Zosią prowadzić tę niemą ale wymowną kochanków rozmowę. Lecz na téj rozmowie nie poprzestał, a powiedziawszy bratu Jędrzejowi że zobaczył to jakiegoś nieznanego mu ptaszka, to cudnie pięknego motylka, biegł do swéj Zosi, a wracał nie z ptaszkiem lub motylkiem, ale z jéj całusem i porwaną jéj różyczką. Wiosna i lato prędko mu zbiegły, a przyszła jesień, która bratu Jędrzejowi nie dozwalała siadywać w ogrodzie a przeto jemu widywać Zosię. — Zatrzymała moja pamięć niektóre jego myśli i wyrażenia z jego opowiadań, i temi klejnotami będę wam zdobił moje opowiadania, jak to robię wypisując te jego słowa.

— Czytając w celi siedziałem jak na ogniu, bo to czytanie pochłaniało czas, w którym wolny od szkoły, mogłem z Zosią się zobaczyć. Niedopełnienie zaś tego, do czegom się zobowiązał, miałem za hańbę. Pierwszy raz doświadczyłem, iak to trudno kiedy miłostki wbiją w łeb ćwiek imaginacyi, wyrwać ten ćwiek. Lecz Samson nie mógł stargać sznurów, w które go kochanka zasznurowała, cóż dziwnego że taki jak ja w ówczas podrostek, nie mogłem się wyplątać z téj sieci w którą się uwikłałem.

Chłopicki przebiegłością i śmiałością pokonywając wszystkie trudności, nie przestał niekiedy widywać się

z swą Zosią, i uchodziło to mu do pewnego czasu, lecz wreszcie wykryto schadzki kochanków. Domyślacie się co mu wtedy działo się, i jakie z tego następstwo było. Boleść po dwudziestu batach i obawa ponowienia téj boleści, bo pewny był że niemniej odliczy mu ojciec gdy się o tem dowie, a przedewszystkiem chroniąc się przed wstydem, upokorzeniem i żartami, postanowił skrycie opuścić klasztor i zostać żołnierzem, bo brata Jędrzeja opowiadania wylęgły w nim postanowienie poświęcenia się stanowi wojskowemu.

Jedynym powiernikiem jak mawiał Chłopicki i jedynym w jego życiu dobroczyńcą był brat Jędrzéj. On nietylko wchodząc w jego położenie, pochwalał jego zamiar, ale podarował dziesięć dukatów, które w tèj jego biedzie skarbem mu były. On to na prośby jego przebłagał ojca Zosi, wynalazł jéj służbę w odległéj wiosce i przyrzekł Chłopickiemu pamiętać o niéj, co wszystko choć w części uspakajało jego sumienie.

Trzeba było mieć tak silną wolę jak Chłopicki, żeby nie zrazić się temi przeciwnościami z któremi walczył przez lat dziewięć zanim dostąpił stopnia oficerskiego.

— Pierwsze cztery lata służby wojskowéj, mówił Chłopicki, przepędziłem jakby w czyszczu pokutując za głupstwo młodości.

I opisywał ten czyściec tak, że musiało cię zaboleć serce. W nędzy żył prawie, bo nie umiał ani się żalić, a coż dopiero prosić. Ale nad tę nędzę sroższym dla niego był gniew ojca, któren zaledwie po czterech latach dał się przebłagać i dozwolił się rzucić do nóg swoich.

Wtedy dowiedział się Chłopicki, że tym czteroletnim gniewem i odmawianiam mu wszelkiego zasiłku chciał go ojciec przywieść do porzucenia służby wojskowéj, a to dla tego, że wtedy samych wojewodów, kasztelanów synowie posiadali stopnie oficerskie, a szlachta służyła

jako towarzysze, zwłaszcza w braku protekcyi lub funduszów potrzebnych na ich zakupno Nie miał przeto nadziei aby syn jego mógł kied. ś wypracować we wojsku dla siebie przynajmniéj kawałek chleba. Ojca zdanie podzielała cała rodzina, i wszyscy mu perswadowali a między innemi i starszy brat, który mu wtenczas powiedział: „Gdyby stan wojskowy był co wart, dawno-by go żydy w arendę wzięły“. Tę perswazyą braterską nieraz śmiejąc się, powtarzał, dodając:

— Ciśnie się ona do méj pamięci gdy pomyślę: o! koledzy, cóż zyskaliśmy dla siebie za tyle poświęceń? trochę chwały, a dla kraju nic!

Wrócił Chłopicki w szeregi wojskowe z błogosławieństwem ojca, z niepróżną już kieską i obietnicą, że w miarę możności napełnianą będzie.

Pierwszemi pieniądzmi zaspokoił przedewszystkiem najświętszy dług ciążący mu na sercu, płacąc od brata Jędrzeja wzięte owe dziesięć dukatów lecz nie jemu bo od dwóch lat już w grobie spoczywał, tylko duszy jego, bo śląc te pieniądze do klasztoru, polecił ją modłom Zakonników.

Bez wszelkich nadziei pozyskania potrzebnych pieniędzy na zakupno stopnia oficerskiego kiedy żyje Chłopicki, poznaje w siódmym roku swéj żołnierskiéj służby trzydziestoletnią nie szpetną zamożną wdowę ofiarującą mu swą rękę z pieniędzmi potrzebnemi do spełnienia tych wówczas jedynych życzeń i jedynych marzeń i mogącą mu przez swoje familijne stosunki wyjednać i wyższe rangi.

Co zrobił niech ci sam powie.

— Anim chwili się namyślał, odrzuciłem jej dary, w życiu mojem nie byłem nigdy murzynem ani bydlęciem wystawionym na targowisku na sprzedaż.

Pamiętne mi są te słowa jego, bo ile razy spotkam takiego co popadł w tę poniewierkę godności człowieka

tyle razy przypominają mi się te słowa Chłopickiego i pytam czyli to Murzyn, ale go za człowieka nie mogąc uznać, odpowiadam: to zbydlęcony człowiek:

Organizacyi wojska ogłoszonéj po Konstytucyi 3go Maja, winien był Chłopicki swój pierwszy awans, a o następne się nie troszczył, bo miała być wojna. Lecz Stanisław August przystąpieniem swem do konfederacyi Targowickiéj wytrącając broń z ręki narodu niszczy jego nadzieje, a zapowiedziane zwinięcie wojska pozbawić go mogło nawet i tak ciężko zapracowanego stopnia. Już wtedy był Chłopicki możnym panem, bo sobie mógł i umiał rozkazywać, zapłakał więc nie nad swoim ale nad kraju losem i spieszył mu z pomocą w powstaniu Kościuszki.

Czyliż mam wam powtórzyć opowiadania jego, jak przybywa pod Żelechów i jest świadkiem jak głuchy na rozkazy Kościuszki Poniński nie spieszy z pomocą, którą jak sądził Chłopicki mógł przyczynić się nie do zwycięztwa; ale do odwrócenia tak ogromnéj klęski, jaką ponieśliśmy pod Maciejowicami.

Czyliż mam wam powtórzyć opowiadania jego jak nie widząc niebezpieczeństw i niepodobieństw, pokonywa wszelkie zawady i trudności aby się dostać tam gdzie go uczucia i obowiązki wzywały to jest do formujących się legionów. Lecz to należy już do historyka, oddajmy mu Chłopickiego niech wpatrując się w tak rozpoczęty żywot, spisze jego czyny i wyda sąd o nich. My wpatrujmy się w ten jego żywot, który pędził, kiedy już temi czynami wywalczył ten laur, co się nim ozdobił a był dla nas wszystkich chlubą.

Może chcecie wiedzieć dla czego wśrod powyższych wspomnień z jego młodości, nie znaleźliście tych które by dały poznać jego przodków i jego rodzinę. Więc dowiedzcie się, że dla tego, iż nic prawie o tem nie

wiem, bo Chłopicki nigdy o tem nie mówił. I nie dziwiłem się temu słysząc nie raz te jego słowa:

— Nie pytam co jego przodkowie zrobili, ale co on zrobił.

I te słowa wyjaśniły mi także, dla czego zamianowany w roku 1810 od Napoleona I. baronem cesarstwa Francuzkiego, nie zamieścił pod baronowską koroną na herbowéj tarczy herbu rodziny Chłopickich, ale uderzający piorun. Ten prawdziwy herb bo urodzony z własnéj krwi jego, a trafnie przedstawiający nam obraz Chłopickiego, czego dopatrzysz w tych pełnych sławy jego działaniach w Hiszpanii w których szybko, nagle, w oka mgnieniu uderzał na nieprzyjaciół jak piorun co z nieba wypada.

W pięknych dniach wiosny i lata zwykł Chłopicki przechadzać się przed obiadem po rynku. Nie minę się z prawdą, gdy powiem, że nikt prawie nie zbliżył się do niego, aby mu nie oddał należnego uszanowania, bo chociaż nie wszyscy mu się kłaniali, czego on nawet nie lubił, gdyż uciążliwem było dla niego oddawać ciągle ukłony za ukłony, ale to uszanowanie widziałeś w ustępowaniu mu się z drogi, to w oczach które każdy na niego zwracał, choć nie wiedział że to Chłopicki.

Dowody tego poszanowania ciągle odbierał Chłopicki nietylko od własnych rodaków, ale i od obcych. Żaden prawie oficer załogi Cesarsko-Austryackiéj w Krakowie nie minął go bez przyłożenia ręki do czaka. Żaden prawie komenderujący jenerał nie zaniechał być u niego. A w tych przemarszach przez Kraków w r. 1849 wojsk rosyjskich a w r. 1853 wójsk austryackich zawsze widziałeś oficerów różnych stopni to stojących przed mieszkaniem jego, to zabiegających mu drogę, aby tylko zobaczyć i uczcić ukłonem. Sam zaś kommenderujący wojskami austryackiemi Jego Excellencya Baron Hess

c. k. Feldzeugmeister i Szef Sztabu Jeneralnego, przybył w jego mieszkanie i uściskały się prawice dwóch znakomitych wojowników poważających się wzajemnie. Chłopicki radował się iż poznał tego męża, o którym wtedy powiedział:

— Nie dziwię się, że usłuchano rad jego i odniesiono godne pamięci zwycięztwo. Każde jego słowo świadczy o wiadomościach i zdolnościach wojskowych i wzbudza zaufanie. Szczęściem będzie dla Austryi, że ma takiego wodza jeżeli będzie wojna. Bo wodzowie a nie wojska odnoszą zwycięstwa.

Tu myślę że właśnie jest na czasie przywieść i te dwa wspomnienia dające poznać iż czyny i cnoty jego jednały mu szacunek i poważanie panujących monarchów. I tak: w r. 1849 kiedy Mikołaj cesarz Wszech Rossyi w powrocie z przeglądów wójsk udających się na kampanią węgierską miał wyjeżdżać i wsiadł już do karety w dworcu Krakowskim kolei żelaznej, przybyliśmy z Chłopickim do tego dworcu mającego jechać do Krzeszowic odchodzącym zaraz pociągiem. Gdyśmy stali za ludem przypatrującym się temu Cesarzowi, jenerał Orłów spostrzegłszy i poznawszy Chłopickiego, powiada o tem Cesarzowi. Ten nagle zrywa się z siedzenia, a przystąpiwszy do okna karety, kilka chwil wpatruje się w niego mówiąc z stojącymi przy nim dwoma jenerałami. Co widząc, gdym mu o tem powiedział, kazał mówić do siebie, lecz pewnie mnie nie słuchał, bo twarz jego wykrywała że to była chwila jakiegoś namysłu, i postanowienia. Czyli tylko chęć zobaczenia Chłopickiego, czyli też jaki inny zamiar zmieniony zastanowieniem miał Cesarz Mikołaj, nie wiem. Niewiem także co wtedy myślał i Chłopicki, bo o tem nie mówił, a znając go, wiedziałem, iż nie lubił aby ktokolwiek pytał czego sam nie powiedział. Domysłów robić nie ośmielam się, przeto tyle tylko powiem, gdyż to podług

mnie nie ulega żadnéj wątpliwości iż tego spotkania następstwo takie było.

Nieupłynęło dwa tygodnie, kiedy jednego dnia w południe donosi służący Chłopickiemu, iż p. Zajączkowski urzędnik z byłego Konsulatu Rosyjskiego w Krakowie przyszedł i pragnie się z nim widzieć.

— Czego chcieć może? trzeba go przyjąć!

Posłyszawszy te jego słowa, żegnam i chcę wychodzić.

— Zostań, właśnie dla tego przyjmuję, że nie sam jestem.

Zajączkowski wszedłszy, oświadczył, iż przybywa z pismem nadeszłym z Petersburga z poleceniem aby mu doręczyć.

— Żadnych pism postanowiłem nie przyjmować raz na zawsze.

I tak w saméj rzeczy było. Lecz wiedząc że jedynie listy o których wiedział od kogo pisane były odbierał, poratowałem tego zakłopotanego posłannika tą odmowną odpowiedzią, mówiąc:

— Może panu Zajączkowskiemu wiadomo, od kogo jest to pismo?

— Nam przesłane jest z Ministerium Spraw Zagranicznych, odpowiedział Zajączkowski.

— Kiedy tak asendzi powiadasz — to odpieczętuj, — rzekł do mnie Chłopicki i przeczytaj, a dowiemy się, jaki do mnie może być interes.

Odpieczętowawszy, powiedziałem:

— Ale to po rosyjsku.

— Kiedy tak, to proszę sobie zabrać to pismo na powrót, niemam tłumacza.

— Jeżeli Pan Jenerał pozwoli, to będę tłumaczem, odrzekł p. Zajączkowski.

— Słucham.

I wytłumaczył mu, iż Kapituła orderów Cesarsko-Rosyjskich zawiadamia jenerała Chłopickiego, iż od lat czterech umieszczony jest na liście kawalerów orderu Śt. Anny którzy starszeństwem pozyskali prawo pobierania pensyi przywiązanéj do tego orderu. I że do odebrania zaległości, a następnie bieżącéj pensyi, nie masz żadnéj przeszkody.

Gdy wyszedł p. Zajączkowski, powiedział mi Chłopicki:

— Nic z tego nie będzie. Widzę że minister Grabowski nie powtórzył odpowiedzi jaką mu dałem w Karlsbadzie w r. 1832 gdy na robioną propozycyą, abym wracał do kraju, odpowiedziałem mu:

— Sam nigdy lecz z wszystkiemi.

Żałuję że przybycie pewnéj osoby przerwało dalszą rozmowę. Drugi dowód tego szacunku, którym monarchowie zaszczycali Chłopickiego w ostatnich latach sędziwéj jego starości, masz w tém zdarzeniu policzonem przez niego w liczbę miłych wspomnień.

W r. 1851 przybył do Krakowa Franciszek Józef cesarz Austryi, a Chłopicki oświadczył życzenie złożenia mu uszanowania i podziękowania za dozwolony przytułek w Krakowie. Monarcha ten nie tylko przyjął go najuprzejmiéj, ale stojące warty uczciły wychodzącego tułacza honorami wojskowemi. O to uczczenie samo sobie sławą płacące przechowajmy rodacy w naszéj pamięci z pamięcią Chłopickiego.

Lecz żebym Chłopickiego stawił żywo przed oczyma muszę w pomoc przywołać zaszłe wypadki w Warszawie w r. 1830, kiedy on opuścił swoje ukrycie zmuszon jak nieraz powtarzał wiadomością, że brak władzy już rodzi nieporządek i trwoga ogarnia umysły, a niema nikogo, coby ujął w silne ręce władzę i niedozwolił na hańbę swojego narodu. Uznał to Chłopicki za obowiązek a w obec obowiązku nigdy się nie wacha-

jący, wykonał co zamierzył. Trzeba go było widzieć kiedy na Nowym Świecie w Warszawie w granatowym surducie, przepasany wstęgą białą, stanął wśród kilkunastu tysięcy uzbrojonego ludu, który w gorączkowym stanie jak inaczéj być nie mogło, krzykiem, grożnemi ruchy wyzywaniem, objawiał swoje uczucia. Zaledwie wystąpił Chłopicki, a marsowa jego postawa, głos potężny, i ten dar rozkazywania udzielony od Opatrzności ludziom, których znamieniem swojéj łaski oznaczyła, cały ten tłum w korną zamienia rzeszę, tak że nawet głośnych na cześć jego zaniechano okrzyków. Na grożnéj zaś jego twarzy nie można się było dopatrzyć ani uczucia dumy, ani pociechy, panowało tylko głębokie zajęcie i jakby rodząca się myśl jakaś potężna i wielka która też doprowadziła go do dyktatury.

Pokazawszy wam go na tym pożyczonym mi obrazie a przedstawiającym w chwili, kiedy górował nad tłumem ludu tym wyrazem potęgi ducha, którym nieraz swych towarzyszy broni natchnął męstwem i poświęceniem, wiodę was daléj aby pokazać jak w zwykłem pożyciu umiał będąc niegdyś człowiekiem publicznym, stać się prywatnym, i z równem dla każdego obejściem. Znajomości Chłopickiego nie były zamknięte w małem kółku właściwego mu towarzystwa. — On w Krakowie znał wszystko i wszystkich i w różnych stanach ludzi miał swych wybrańców, z któremi lubił się widywać i rozmawiać, utrzymując jak to nie raz od niego słyszałem, że niema nikogo co by nie miał dla niego coś nowego a nauczającego. Tą drogą postępując od najmłodszych lat nabywał różne wiadomości odnoszące się do rzemiosł, fabryk, handlu, a nawet gospodarstwa, a szczególniéj domowego. Ztąd też nieraz słyszeć go można było jak o tych nabytkach rozprawiał z prawdziwem znawstwem.

i młode lata niewyłączały nikogo z jego towarzystwa; rad był nawet otaczać się młodzieżą a szczególniéj obdarzoną od natury żywością i wesołością rozweselającą zasępione umysły i odświeżającą zgasłe w sercach nadzieje. W gronie młodych ludzi poważne jego wejrzenie przybierało wyraz łagodności, ośmielający do figlów i żartów, wśród których ukazywał się niewysłowienie miły widok tego patryarchy odmłodzonego w tem towarzystwie i opowiadającego z młodzieńczym zapałem i żywością te że tak nazwę wybryczki nieodżałowanéj i najdroższéj każdemu młodości.

Wówczas słodyczą słów swoich pieścił serca słuchających a wyrazem doznawanego ztąd szczęścia rozpłomieniał ich oblicza. Otaczający tego starca komuż mają zawdzięczać najwięcéj chwil tak przepędzonych jeżeli nie tobie Maurycy hrabio Potocki! Wprawdzie nie twoja w tém zasługa, że wszystko co zachwyca w młodzieńcu było ci od natury dane, ale w tem iż tych darów natury użyłeś na uprzyjemnienie jego starości siląc się nawet w późniejszych swych latach nie przestać być dla niego tym młodzieńcem o którym tak mawiał:

— Morysia dziecinne roztrzepotanie zawsze mnie w dobry humor wprowadza.

To wspomnienie dla tego zamieściłem bo ono wywołuje drugie należące do tych nielicznych wykrywających jak Chłopicki sercem lgnął do ludzi, mówię nie licznych, bo u niego uczuć serca trudno było wyśledzić, kryły się w jego sercu a nie wybiegały ustami. Nie mówił też nigdy Chłopicki o swych uczuciach jakiemi był przejęty dla hrabiego Maurycego Potockiego, a ile go kochał poznałem kiedy ten po otrzymanym w r. 1849 pozwoleniu wracania do Królestwa Polskiego, opuszczał Kraków. Sama myśl iż się z nim ma rozłączyć a może na zawsze bo obawiał się czy nie wtedy dopiero będzie mógł przybyć do Krakowa kiedy on żyć przestanie, jak

go dręczyła, wykryły mi te w owym czasie powiedziane przez niego słowa:

— Gniewa mnie to zawsze, że moja myśl jest we mnie jedynym buntownikiem nie poddającym się moim rozkazom.

Nadszedł wreszcie dzień pożegnania i pierwszy raz wtedy widziałem Chłopickiego prawie do łez rozczulonego. Napróżno potém starał się uśmierzyć swoje wzruszenie i po kilku jeszcze dniach powiedział mi:

— Nie sądziłem aby tak przykrem dla mnie było to rozłączenie z Morysiem. Pokochałem go jak syna, bo też mu jestem ojcem, choć nie rodzonym ale chrzestnym, choć nie z wody ale z ognia.

Chłopicki znając siebie iż jest gwałtownym w obejściu, i z temperamentu i z rozdrażnienia chronił się od towarzystwa ludzi do których jakiś wstręt uczuł. Nie znosił zaś tych co mniemają iż wszystko wiedzą, wszystko ganią, ciągle wyrokują, co podług siebie są mądremi, a podług drugich głupiemi. Szczególniéj zaś chronił się tych którzy dla interesu prawdę przetwarzają i ukrywają, inaczéj myślą, wierzą, a inaczéj robią. Umiał on okazaną oziębłością wystudzać w nich i najgorętsze życzenie zbliżenia się do jego osoby. A jeżeli pomiędzy niemi znalazł się jaki, jak on zwał, ugrzeczniony głupiec niczém się oddalić nie dający, wtedy za swój zawsze powtarzany a z pięknych słówek uwity komplement miał w odpowiedź coś podobnego jak naprzykład ten któren po kilkakroć nieprzyjęty spotkawszy go na rynku zapytał:

— Kiedy pana jenerała zastanę, bo pragnę mu złożyć moje uszanowanie.

A usłyszał od niego:

— Rano nie przyjmuję, po obiedzie nie jestem w domu, a w wieczór idę spać.

Jakkolwiek Chłopicki lubił wesołe żarty i rozmowy tak nie rad ich słuchał od tych ludzi którzy chcą zawsze popisywać się z swym dowcipem. Tacy najczęściéj w gniew go wprowadzali a mianowicie kiedy poważnie prowadzoną rozmowę przerywali żarcikami. Wtedy przestał mówić i milczał albo swém że tak powiem cierpkiem odezwaniem się, odbierał chęć dowcipkowania jak się to stało jednemu młodzieńcowi któren w takim wypadku dosłyszał te słowa:

— Przecież tu nie heca żeby się bajace popisywali.

Chociaż starość ostudziła w duszy jego skłonność do kobiet, jednak zawsze pieścił go widok pięknéj kobiety. Lubił on z przymilającym uśmiechem uścisnąć rączkę i pogaworzyć z nią prawiąc komplementa i żarciki. Odmładzała się nie raz jego starość wspomnieniami pięknych kobiet i wtedy z młodzieńczym zapałem unosił się nad ich pięknością.

O tych które żyją nie wolno mówić, ale wam powiem, że do dziś dnia jakby żywy przed oczyma staje mi obraz choć nie znanéj mnie zmarłéj Natalii księżnéj Romanowéj Sanguszkowéj hrabianki Potockiéj. Odmalowany on mi został jego częstemi opowiadaniami a to takiemi jakby kochanka, gdyż nie dość było mu po wiedzieć, że jéj piękność niebo obdarzyło wszystkiem co tylko zachwyca i kochać każe, ale unosił się nad tym niewypowiedzianym wdziękiem zrodzonym przez jéj szlachetną duszę, nad jéj wzrokiem i uśmiechem umilonemi jéj dobrocią, ożywionemi wzniosłą wyobraźnią, nad miłym wdziękiem głosu co kamienne by serce wzruszył...

Lecz te uniesienia zawsze odbliźniały zadaną sercu jego ranę wtedy, kiedy ów zachwycający żywy obraz piękności młodości i szczęścia tak zawcześnie z żalem i boleścią wszystkich wstępował w grób. Każde o niéj wspomnienie zasępiało jego oblicze smutkiem któremu

niezdołała się oprzeć męzka dusza jego. Ja wam się przyznam że tak zasępione oblicze tego starca obudzało nie należne nad nim politowanie, ale jakąś radość, bo ceniąc go wielce cieszyłem się zawsze kiedy nowym dowodem utwierdzało się we mnie to przekonanie, iż sercu jego niebrakło żadnego z tych uczuć, które człowieka wielkim, miłym i szlachetnym czynią.

Dla wszystkich zaś kobiet przechowywał aż do ostatniéj życia chwili tę grzeczność w któréj widzieć można było poszanowanie, czułość, delikatność rycerską, tak często w życiu żołnierskiem ustępujących miejsca bezwstydowi, rozpuście i rubaszności.

Ale żyła i żyje niewiasta, którą poznał w ostatnich latach swojego życia w Krakowie, a która w sercu jego obudziła dla siebie cześć i przyjaźń, a nią była Zofia hrabina Arturowa Potocka hrabianka Branicka, a którą pośmielam się przybrać w pomoc potrzebną mi do pokazania wam rodacy w całości serca Chłopickiego. Czynię to zaś w nadziei, że mi będzie przebaczone, gdyż znam jak drogą jest jego pamięć aby dla niéj niepoświęcono téj, że tak się wyrażę skromności pragnącéj przechowywać w ukryciu i ten czyn jak i inne spełnione z natchnienia téj miłości chrześciańskiéj, tego uczucia najwznioślejszego co ciśnie się w serca nasze w miarę jak człowiek przeradza się w anioła. Jam już widział takiego anioła, bo patrząc się na tyle poświęceń dla Chłopickiego hrabiny Potockiéj przedstawiała mi się zawsze jako anioł opiekuńczy. Ja wam tylko to powiem, że niedozwoliła mu przedewszystkiem żyć na starość w sieroctwie, bez rodziny, ale stworzyła mu ową przez wcielenie go we własną rodzinę. Jéj krewni byli jego krewnemi, jéj dzieci jego dziećmi, jéj wnuki jego wnukami, a ona sama jak jest dla swojéj rodziny najdroższym skarbem, tak nim była i dla Chłopickiego. On też zawsze wpatrywał się w tę panią aż do ostatniéj

chwili życia okiem skąpca cieszącego się tym skarbem swoim. A gdy znikła mu ta pani z przed oczów, to posyłał za nią myśl swą, na wartkich wyobraźni skrzydłach w te strony które uszczęśliwiała swoim pobytem. Bo przez ten czas niebytności jéj w Krakowie prawie codziennie słyszałeś go mówiącego, że pani Arturowa, jak ją nazywał, albo gdzie jest, to gdzie będzie, albo że się cieszy mając tam obok siebie jedną z osób drogich jéj sercu, to że się smuci z jéj odjazdu, albo wypowiadał swą troskę że niema od niéj żadnego listu, to wreszcie jakby młody kochanek oczekujący powrotu kochanki radując się liczył z niecierpliwością dnie a nawet godziny, które w tęsknocie bez niéj miał jeszcze przebyć.„

Toż samo się działo, bo takąż samą miłością płonęło jego serce dla jéj syną i jéj synowy, to jest jak ich zwał pana Adama i pani Katarzyny i dla ich dzieci Rózi i Arturka ile kroć ich towarzystwa był pozbawiony-

Ten Chłopicki którego do pozostania w Hiszpanii, zmusić nie mogło jawne nieukontentowanie i niełaska Napoleona gdy w roku 1812 rozpoczynała się wojna na Polskiéj ziemi; ten Chłopicki którego nic zmusić nie mogło do dalszéj służby wojskowéj w Królestwie Polskiem gdy postępowanie z sobą uważał za ubliżające, ten mówię Chłopicki, był niewolnikiem swych obowiązków i honoru jak to wiecie a ja wam do tego dopiszę jeszcze że był niewolnikiem i swoich uczuć. Bom ja widział jak te uczucia owładły serce jego dla rodziny Potockich rządząc nim samowładnie. Mam kilka takich wspomnień są one znane i wam którzyście z nim żyli, ale gdy w te czasy nie wolno mi tych ogłaszać, więc was za świadków biorąc pytam: czyli prawdą jest co piszę? Piszę zaś że te uczucia w chwilach szczęśliwych dla téj rodziny nakazywały mu radować się serdecznie a w chwili nieszczęścia rozciągnęły go na krzyżu i ta-

ką mu zadały ranę, że jego mężne oblicze przybrane aż w wyraz bolesnéj wielkości widzieliśmy. Daremne były wszelkie starania aby ulżyć jego sercu, już nawet kilkokrotnie zawiedzeni zrzekliśmy się i tego środka, którem dawniéj tak łatwo było nam go rozweselić, ile razy czyli to moralne czyli to fizyczne cierpienia zasępiały jego oblicze. Dość było bowiem wtedy rzucić najmniejszą wzmiankę o sławie oręża Polskiego, aby obudzić w iego ognistéj duszy ten zapał co go wiódł do zapomnienia prawie o wszystkiem. Wówczas patrałeś na twarz jego rozjaśniającą się, na iskrzące się oczy, a usta jakby rozwiązane natchnieniem wygłaszały te zawsze zajmujące opowiadania.

Gdy w Chłopickim taki stan mogło obudzać samo wspomnienie o stanie oręża naszego, to już znacie jak musiał miłować swych rodaków, a gdy ich miłość jest to miłość kraju, więc znów znacie jak go miłował. O kłamstwo, ten występek najpodlejszéj duszy, nieośmieli się zapewne nikt obwiniać Chłopickiego, i wszyscy zawierzą, że prawda była w tych słowach wykrywających jego uczucia dla ojczystéj ziemi w słowach, którem od niego usłyszał a wam powtarzam.

— Wśród najszczęśliwszych chwil życia mego podczas téj zagranicznéj wojaczki, jakiś mnie smutek napadał i jedynie odbiedz go zdołałem przenosząc się myślą w rodzinne ustronie. O ten smutek znaglił mnie także na zmianę mego postanowienia niewracania do kraju kiedy po wziętéj dymisyi, z Wąsowiczowstwem wyjechałem za granicę.

Mogę wam jeszcze na dowód jak on kochał rodzinną ziemię i to powiedzieć, że gdy przed zdarzeniami r. 1846 jego pobyt w Krakowie za niewłaściwy uważano i robiono mu propozycją, aby osiadł w jednym z miast Cesarstwa Austryackiego, wtedy on odpowiedział:

— Nie żyć pomiędzy rodakami to moja śmierć, a ja się samobójstwem jako tchórzostwem brzydzę, więc jeżelibym musiał opuścić Krakow wracam do Polski.

Któż nie wie, że ten człowiek niezmienny w swych postanowieniach co powiedział był-by wykonał, ale nie wszyscy wiedzą jakby to bolesnem mu było. Więc to da się poznać z następnego zdarzenia wykrywającego zarazem i z innéj strony charakter Chłopickiego.

W liczbie jego wybrańców był także Wincenty Wolff Bankier, ten tak od wszystkich kochany i poważany obywatel krakowski. Oni to razem w roku 1832 jeździli do wód Karlsbadzkich, gdzie widok Chłopickiego jaką ciekawość obudzał, jaką on cześć odbierał od wszystkich, pamiętnik z opowiadań Wolffa dałby się napisać. Lecz ten pamiętnik musiałby mieć choć jedną stronnicę poświęconą wykazaniu pieczołowitości jaką w ówczas otoczył Wolff jego osobę i téj serdecznéj przychylności wzrastającéj z każdym dniem w sercu Chłopickiego.

W mieszkanie tego Wolffa w roku 1849 po południowych godzinach wchodzi Chłopicki szybszym niż zwykle krokiem. Mocniéj jak zawsze drżała jego ręka trzymająca kapelusz i drgało jego cygaro w ustach. Dość mi to było zobaczyć, abym wiedział, że go coś zgniewało. Jakoż ledwo usiadł, usłyszeliśmy te słowa.

— Nim kto przyjdzie muszę powiedzieć wam, że ogłupiała ta wasza miejska rada i posłała mi wezwanie abym opłacił jakiś podatek.

— Prawda, że głupstwo, odezwał się Wolff, ale kto wie czyby nie było dobrze z niego korzystać.

— Nierozumiem gadaniny twojéj — już z gniewem powiedział Chłopicki, a gdy usłyszał dalej od Wolffa:

— Płacąc Generał podatek zostajesz obywatelem krakowskim.

Wtedy ze złością zapytał go:

— Cóż to assyndzij myślisz!

Tłumacząc się Wolff przekładał mu, że to obywatelstwo krakowskie możeby usunęło tę trudność jaką miał w uzyskaniu paszportu. Ale Chłopicki był już w tym nieszczęsnym swoim stanie o którym wspomnieliśmy wyżéj. Więc głuchy na to tłumaczenie z iskrzącemi oczyma, z pałającą twarzą, z trzęsącą się szyją, a przez to jakby z podnoszącemi się włosami na jego głowie wykrzyknął z największym uniesieniem

— Ja chcę żyć w Krakowie jako tułacz któremu dano przytułek.

Zerwawszy się zaś z krzesła chwyta za kapelusz i posuwistym krokiem śpieszy do drzwi. Wolff zabiega mu drogę a ująwszy rękę i całując jego ramię, przeprasza, że mimo-wolnie tak go rozgniewał. Lecz nadaremnie sililiśmy się przywieść go w tym gniewie do upamiętania. Wyszedł a myśmy rozmyślali nie nad powodem tego uniesienia bo ten był jasny, ale że mógł się do tego stopnia unieść i nad tem co zrobić aby ten wypadek nie zerwał tyloletniego a tak uprzejmego ich pożycia. Wiedząc jakby to było przykrem dla Wolffa upewniałem go, że to nienastąpi, chociaż sam niemiałem żadnéj nadziei znając jego charakter i wiedząc podobne zdarzenia.

Na drugi dzień jak zwykle idę w południe do Chłopickiego, niepowiem, że bez obawy aby za wspomnieniem tego zdarzenia nie popadł w gniew, bo przyznaję się że w podobnych jego uniesieniach stałem przed nim jak przed jakim tyranem, ale i to wyznam, że gdy go gniew ominął nic miléj wzroku mojego nie pieściło jak jego widok.

I wtedy za przybyciem doznałem téj przyjemności zastawszy go z rozweseloną twarzą i nie dostrzegłszy na niéj żadnéj zmiany dającéj poznać, żem obudził w jego pamięci niemiłe zdarzenie wczorajsze. Gdy zaś o nim i później nie wspomniał, poznałem, iż niechce o

tém mówić, więc milczałem, nawykły przekładać wolę jego nad własną, ztąd że ta uprzejmość względem niego większą mnie przyjemnością raczyła aniżeli dogodzenie własnéj woli.

Zresztą i cóż było mówić chyba wybadać go jaki wyrok wydał, czy potępiający czy ułaskawiający i to niemiałoby celu, gdyż w razie potępienia stanąć w obronie mnie a nawet komu innemu to rzecz daremna, bo wyroki jego były nieodwołalne.

Kiedy po obiedzie Wolffowi i kilku osobom będącym u niego zdałem z tych odwiedzin rapport i pobudziłem nim do rozprawy czyliby nie dobrze było, żeby Wolff poszedł do niego, ale ani go przepraszał, ani wspomniał o zaszłem zdarzeniu, w tem drzwi się otwierają a my z radością i z zadziwieniem ujrzeliśmy Chłopickiego. Powitał nas jak zwykle, Wolffowi uścisnął rękę a ten pocałował go w ramię w zawdzięczeniu tego odznaczenia go niezwykłym Chłopickiemu przebaczeniem temu któren miał nieszczęście go rozgniewać.

To zdarzenie wywołane przez radę miejską, przypomniało mi i drugą czynność tej ówczesnéj władzy bez władzy na szczęście Krakowa, jak przynajmniej w tym razie. A przypomniała mnie się jéj czynność, która znów znagliła Chłopickiego do powtórzenia:

— Ogłupiała ta wasza rada miejska.

A że tą razą można było słusznie powtórzyć to za Chłopickim, któż nie przyzna gdy się dowie, że tak powitał uchwałę téj Rady odrzucającą zaprojektowane rozszerzenie ulicy Grodzkiéj po nieszczęśliwym pożarze Krakowa w roku 1850.

Chłopickiemu podług wiedzy mojéj zawdzięczać winien Kraków, że ulica Grodzka przez zburzenie i cofnienie o kilka łokci facjat wszystkich domów z lewéj strony między Rynkiem a ulicą Szeroką dawniej wąska i pokrzywiona, stała się prostą i jasną. Gdy bowiem o

powyższéj uchwale Rady miejskiéj posłyszał, w taki popadł gniew, jak gdyby jemu kto co zrobił. Znając on jak znał cały Kraków zmarłego w roku 1857 Wincentego Kirchmajera niezmordowaną gorliwą działalność w staraniu się zawsze o wszystko co do świetności i pomyślności Krakowa przyczynić się mogło, do niego spieszy Chłopicki, aby przełożywszy mu niedorzeczność téj uchwały zachęcił do działań skłaniających Rząd do jéj odrzucenia. Na wezwanie to tak zgodne z życzeniami Kirchmajera śle on do Ministerium podania o rozszerzenie téj ulicy, już jako starszy Kongregacyi kupieckiéj, już jako Prezes Izby Handlowéj, a wystarawszy się o tych poparcie przez Jaśnie Wielmożnego Kawalera Ettmejer de Adelsburg, C. k. Radcę Nadwornego a owczesnego Prezesa Rządu Krajowego w Krakowie, to zrobił, iż uchwała ta Rady miejskiej została odrzuconą a ulicy Grodzkiéj rozszerzenie przyczyniło się do upięknienia Krakowa.

Abym lepiéj dał poznać jak się Chłopicki zajmował Krakowem, i jak umiał cenić co się w nim pięknością lub starożytnością zaleca, powiem tylko, że byli ludzie zasiadający w Senacie rządzącym za czasów Rzeczypospolitéj krakowskiéj przed rokiem 1840, którzy nie umieli czytać tych wspomnień wypisanych ręką czasu na murach Bramy Florjańskiéj. Niezdolni do przejęcia się uczuciami jakie te wspomnienia obudzają i zbyt ograniczeni, aby umieli ocenić i szanować ten jedyny i najpiękniejszy w Polsce zabytek architektury gotyckiej fortyfikacyjnéj jakim jest ta brama Florjańska, skazali ją na rozburzenie. Pomiędzy temi Senatorami był jeden z którym Chłopicki żył w ściślejszych stosunkach i jemu to Chłopicki powiedział słowa prawdy potępiające to barbarzyństwo, a on powtórzył je swoim kollegom i od zburzenia bramy się wstrzymano. Lecz pomi-

mo to zerwał dawne stosunki z tym senatorem mówiąc:
— Niechcę żyć z Hotentotem.

Gdy wydałem napisaną przezemnie Pamiątkę z Krakowa niewiedziałem, iż opisujący później to miasto będą mogli powiedzieć potomkom naszym, że tak piękną jest ulica Grodzka, że stoi Brama Florjańska winniście w części wdzięczność Chłopickiemu. Dla tego ofiarując mu te moją Pamiątkę z Krakowa napisałem na niéj ile sobie przypominam między innemi te słowa:

Do tych pamiątek uświęcających Kraków, przybędzie mu i ta, że w nim czczony od swych rodaków żyłeś Generale. Wspomniałem o tém, bo mogę wam udzielić odebrany w ówczas odpis Chłopickiego.

W tym momencie spostrzegłem dopisane a chlubne dla mnie jego wyrazy. Na podobny szacunek użyłem lat moich! a i reszta na pozyskanie go użytą zostanie.

10 lipca 1845.

Chłopicki.

Nie ja jeden przechowuję list jego, mają je i inni w których może i wyraźniéj wynurzył tę nadzieję i chęć służenia jeszcze krajowi. Ale ja sam, gdyż spalił wszystko co tylko kiedy pisał jestem posiadaczem jego ręką skreślonego opisu bitwy pod Epilą w któréj najmniej spodziewane zwycięztwo przyniosło mu największą radość i szczęście jak to sam mawiał — Opis téj bitwy za którą na piersi jego przypięto krzyż legii honorowéj te pierwszą nagrodę otrzymaną przez pułki piesze legii od czasu jéj utworzenia.

Pisał zaś najprzód po r. 1832 przez lata następne swój pamiętnik. Czyli on był skończony lub nie tego niewiem. Chociaż w r. 1841 opowiadając, że po przybyciu do Krakowa wzywano go, aby objął dowództwo nad wojskiem, ale już wtedy kiedy wojska rosyjskie

uderzać na Warszawę miały, dobył w ówczas pamiętnik chcąc z pewnością oznaczyć nawet dzień tego wezwania. Ale to nieudowodnia, iż go tak dalece doprowadził gdyż pisał nie ciągiem lat, lecz co mu przyszło na myśl jak sądzę z tego, iż widziałem go nieraz przerzucającego arkusze pamiętnika dla umieszczenia co napisał na właściwem miejscu.

Lecz aby powiedzieć co skłoniło Chłopickiego do spalenia blisko sto arkuszowego pamiętnika muszę poprzednio wspominając rok 1846 zawiadomić, że rano w dniu 21 lutego—Chłopickiego niewiedzącego o stoczonéj w nocy walce na ulicach miasta a tem więcéj, że z sąsiedniego domu strzelano, zbudził oddział żołnierzy przybyły z oficerem pytającym kto tu z okna strzelał? Lecz dowiedziawszy się, że to Chłopickiego mieszkanie zaprzestał dalszych badań i ustąpił.

Zgniewany tem Chłopicki, gdy pod wieczór posłyszał, iż jest obawa ponowienia tej ulicznéj walki, w nadchodzącéj nocy przebyć ją postanowił za Wisłą w Podgórzu, gdzie niebawem się udał. Tymczasem w krótce potem i wojska opuściły Kraków a po ich przybyciu na Podgórze most na Wiśle rozebranym został. Niemogąc więc wracać do Krakowa umyślił jechać do Wrocławia, gdzie wśród przesadzonych nowin o panującéj anarchii w Krakowie wielce się dręczył i tem aby jakim przypadkiem pamiętnik przez niego pisany niedostał się w czyje ręce. Za powrotem do Krakowa spalił go zaraz o czem w dwa dni późniéj z bólem serca dowiedziałem się usłyszawszy te słowa Chłopickiego:

— Postanowiłem dopóki żyję, aby nikt moich pamiętników nie czytał. Tymczasem ostatnie wypadki mogły udaremnić moje postanowienie, więc spaliłem zapobiegając temu.

— Jaka szkoda Generale!

Tyle tylko powiedzieć mogłem bo usłyszałem od niego.

— Niemówmy o tém. Stało się. I niema czego żałować.

Znając zaś go wiedziałem, że nawet powiedzenie, iż jest czego żałować jużby go gniewało, nic się na to nieodezwałem. Lecz Chłopickiego badawczy wżrok dostrzegł w ówczas jak zasmuciła mnie ta wiadomość a dobre jego serce uczuło potrzebę pocieszenia mnie. Jakoż w kilka dni jego stary sługa Kurowski przychodzi do mnie i oddaje ćwiartkowéj wielkości list zaadresowany ręką Chłopickiego. Zadziwienie nad tém coby to być mogło zaspokojone zostało z doznaniem najmilszych uczuć powstałych na widok sześciu-ćwiartkowego zeszytu zapisanego ręką Chłopickiego a kreślącą mi opis bitwy pod Epilą. Zobaczywszy to, pobiegłem podziękować mu, że mnie obdarzył tak drogą pamiątką, którą przechowam jako dowód jego przychylności i dobroci.

Usłyszawszy to odemnie rzekł:

— Jam to napisał w poparciu tego com powiedział, że niema co żałować spalonych moich pamiętników, bo one tak były pisane jak ta bitwa pod Epilą, co to widać, że pisał staruch z bolalą głową od kłopotów a sztywną ręką do pióra. Staruch nie zdolny już w jedną całość zebrać piórem to wszystko co pragnie. Proszę tylko, żeby prócz ciebie nikt pókim żyw nie czytał.

Wypełniłem tę jego wolę, a dziś wolno mi już z tym moim klejnotem robić co chcę, więc wam go pokażę i oto jest jego opis bitwy pod Epilą, o któréj tak pisze Roman hr. Załuski w żywocie jego: „Dzień ten przynosi największy zaszczyt Chłopickiemu nie tylko z powodu danych dowodów jego waleczności, lecz nadto z powodu zręcznego i stósownego wyboru pozycyi, w saméj chwili, kiedy bitwa zdawała się przegraną“. Następnemi słowy rozpoczął Chłopicki opis dnia tego.

Widzieć; — podzielać nawet wydarzenia, nie jest jeszcze wiedzieć jak się one odbywały.

Opis bitwy Epila mieliśmy dotąd w trzech podaniach z sobą niezgodnych. — Pierwszym był rozkaz dzienny Generała kommenderującego nami w Aragonii, rozkaz odmienny raportowi podanemu.

Drugiem jest p. Napier, Anglik, historyk ówczesnéj wojny w Hiszpanii i Portugalii, krytyk prędki, a często tylko naukowy.

Trzecim mamy artykuł w *Dzienniku Warszawskim* Rok V. Tom XIII przez mającego udział w téj bitwie, ale w stanowisku podrzędnem. — W tymże dzienniku mamy wyjątek zeznań Hiszpanów o bitwie Epila. Ten ma wartość podania czwartego.

Powyższe Opisy wywołujące sprostowania przeistoczonych faktów — dzisiejszem podaniem dopełniam szczegółowemi objaśnieniami zaszłych wydarzeń i działań przybranych.

Bitwa pod Epilą.

Nad wieczór — dnia 23 czerwca 1808 roku Generał Lefebvre Desnouettes przywołał Pułkownika pułku pierwszego Legii Nad-wiślańskiej i dał mu rozkaz *ustny* wymaszerować natychmiast do Miasta Epila— w celu ostrzeżenia mieszkańców, aby pozostawali spokojnemi — nakazać dostarczania żywności wojsku pod Saragossą — Zapewnić protekcyą Wodzów francuzkich. — Do wypełnienia tych poleceń były przydanemi —

Batalion mały 15go pułku liniowego francuzkiego.

Pułk I niecały legii Nadwiślańskiéj.

Pięćdziesiąt konnych w dwie części Hiszpanami nowo przybranemi do wojska francuzkiego.

Jedno działo małego kalibru, i dwóch krajowców na przewodników. — W ogół kolumna niespełna tysiąca bojowych, miała być wystarczającą do zaprowadzenia stosunków sąsiedzkich. Pułkownik uprzedzony zastać mieszkańców przystępnemi o ile mu dawała poznawać spokojność generała kommenderującego — powątpiewał poniekąd, aby Hiszpanie za murami Epila nie zawzięli odporu przykładem przedkilkodniowem u Saragossanów!. . . Zdawało się mu potrzebnem przedstawić generałowi — że nachodem nocą pora niebywa trafną do nawracania — może nam niechętnych? Generał ustrzelił tę uwagę zapowiadając — jest czasu dosyć być dziś w mieście Epila. — Oddziały zebrane wyszły natychmiast.

Mieliśmy do przejścia przestrzeń otwartą, równą, żadnemu podejściu przydatną.

Na prawo — osłaniała nas rzeka Ebro, opodal — Po lewéj stronie pasmo gór, zwane Sierra de la Muela na tyleż odległemi były.

Droga kierunkiem diagonalnem zbliżała nas ku górom; w zaklęsku tych — miasto Epila.

Marsz śpieszny niewystarczał dojść miasta za dnia. Nocą już doszliśmy. Na wołania — Quien - Viva! powtórzyli raz drugi; a na trzeci dodali wystrzałami dowolnemi. — Pułkownik prowadzi avant-gardę wprost strzałów widzianych. — W moment dobiega miejsca posterunku. — War ognia broni, przy murach miasta wskazał bataliony w rozprawie nocnéj. — Przewodnik drugi ciemnotą nocy boczną drogą wprowadził kolumnę pod Epila.

Pułkownik przybiegł, ogień wstrzymał — bataliony zwrócił ku miejscu zajętem avant-gardą, gdzie postawione straże miały dozwolonym spoczynek z bronią w ręku.

Reszta nocy u nas cichą, w mieście i bokami nas hałaśną było. — Ta ruchawość, dwa przyjęcia ogniem zapowiadały dzień roboczy.

24 czerwca.

O godzinę na dzień.

Pułkownik wyszedł rozpoznać miejsca przystępu. — W zbliżaniu się do wierzchołka pagórka ostatniego, spostrzegł szeregi wojska regularnego przed sobą, gotowemi do bitwy.

Hiszpanie ilością silni stanowiskiem mocni zajmowali płaskowzgórze dwiema liniami — pierwsza rozwinięta — druga w kolumnach batalionami, obie prawem o mury Epila lewem o brzeg rzeki Xalon opierały. Za temiż rezerwa poniżéj płaskowzgórza. — Batterya od czterech dział zostawała przed frontem na nadbrzeżu płaskowzgórza.

Po drugiej stronie miasta lasek oliwny trzymany piechotą regularną.

Obok lasku pułk konny rozwiniętemi szwadronami zapełniał małą przestrzeń ku górom la Muela.

Obronę murów miasta mieszkańcom dano. Gromady chłopstwa, góry i pochyłości zajmowały.

Na takie spotkanie niebyliśmy wysłani — na bliższe zetknięcie się niewystarczaliśmy siłami.

Pułkownik przewidując trzecie gorsze z oczekiwania, powziął myśl uprzedzić Hiszpanów attakiem śmiałym; i zaraz zwołani szefowie odebrali rozkazy następujące— Batalion 15go de ligne zostaje w miejscu dotąd mu powierzonem i stanowi punkt zebrania się w przypadku odparcia attaku.

Dwie kompanie Nadwiślańskie z oddziałem kawaleryi wezmą stanowisko na lewo kolumn powołanych do attaku. Kapitan Notkiewicz dowódzca tego oddziału ma baczyć i zabraniać Hiszpanom poruszeń do lasku oli-

wnego, oraz osłaniać kolumny w cofaniu się do miejsca zebrania się.

Reszta pułku Nadwiślańskiego podziałem na trzy kolumny z użyciem bagnetów dobierze w attaku. Pierwsza kolumna uderzy na lewe nieprzyjaciela i bez wstrzymania się na drugą jego linią uderzy. Druga kolumna ma batteryą najpierać, i zaraz środek frontu linij pierwszéj przełamać. Trzecia kolumna posiłkowa drugiej, *en échelon* postępować ma. — Pozostawanie pułkownika — będzie przy attaku kolumny drugiej.

Na wystrzał drugi działa naszego, kolumny poszły naprzód.

Ordre du jour *)
Au quartier Gèneral du Camp
devant Saragosse le 26 Juni 1808.

Le 23 de ce mois le Général de Division a fait pousser une reconnaissance sur Epila, petite ville à cinq lieues du Camp, oú il présumait que les Rebèlles avaient un parti. Mr. le Colonel Chłopicki avec son Régiment

---

ROZKAZ DZIENNY *).

W głównej kwaterze obozu pod Saragossą dnia 26 czerwca 1808r

Dnia 23 b. m. Generał Dywizyi wysłał rekonesans ku Epili, małemu o pięć mil (francuzkich) od obozu odległemu miasteczku. gdzie oddział buntowników miał mieć stanowisko swoje. — Pułkownik Chłopicki z własnem pułkiem, z Batalionem 15go i 50ma jeźdźcami spotkał nieprzyjaciela przed bramami miasta. Zająwszy stanowisko (nocne) uderzył na niego równo ze dniem,— zupełnie rozbitemu zabrał cztery działa, — ubił i ranił znaczną liczbę ludzi.

Generał dywizyi oświadcza swoje zadowolenie Oficerom i żołnierzom, którzy do wyprawy należeli.

Za zgodność odpisu
pp. Gen. Bryg. Habert.

le Bataillon du 15me et 50 hommes de Cavallerie, a rencontré l'ennemi aux portes de la ville; après avoir pris une position, il l'a attaqué au point du jour; l'a mis dans la plus grande déroute, et lui a pris quatre pièces de canon après lui avoir tué et blessé beaucoup de monde.

Pour Copie conforme
Signé
leG ral de Brigade Habert.

Histoire de la guerre dans la peninsule et dans le midi de la France — Depuis l'année 1807 jusqu'à l'année 1814. Publiée à Londres par W. F. P. Napier

Historya wojny na półwyspie, i w południowéj Francyi. Od roku 1807 aż do r. 1814. Ogłoszona w Londynie przez podpułkownika W. J. p. Napier. Przełożona, poprawiona, przypiskami wzbogacona przez Gen. Dyw. Mąthieu Dumas, w Paryżu.

Tom I strona 88.

Tymczasom Palafox przeszedł Ebro w Pina, i złączył się z Gen. Verges w Belchite, zgromadził siedm do ośmiu tysięcy ludzi, cztery działa, i dotarł do Xalon za tyłami Francuzów. Ztamtąd zamierzył posunąć się przez Epilę, i próbować wspomódz Saragossę, odważając się na spotkanie; ale jego oficerowie uderzeni nieoględnością tego zamiaru wypowiedzieli mu posłuszeństwo, i gotowi byli cofnąć się do Walencyi. Palafox nieobeznany ze sztuką wojowania a nastraszony prawdopodobnie przez Tio Jorge wyrzekł postanowienie stoczenia boju, i odezwał się poważnym głosem: Ci, którzy się boją niebezpieczeństwa mogą się cofnąć. — Zawstydzeni własną ostrożnością wszyscy zezwolili na udanie się za niem do Epila i dowódzca ruszył tam z wojskiem, gdy w tem spotkały ich na drodze dwa pułki francuzkie przez generała Lefebvre wysłane i uderzyły na nich o dziewiątéj wieczorem. Hiszpanie niezdolni do rozwinięcia się w porządek bojowy, mimo liczebnéj przewagi zupełnie pobici zostali, i stracili trzy tysiące ludzi etc. etc.

Lieut. Colonel.—Traduite, corrigée, et enrichie de nottes par Mr le Lieutt. General Mathieu Dumas.

á Paris.

Tome premier page 88.

Pendant ce temps, Palafox traversait l'Ebre à Pina et rejoignait Verges à Belchite, il rassemblait sept à huit milles hommes, quatre pièces de canon et gagna Xalon sur les derrières des Français. De là il se proposait d'avancer par Epila, et de tenter de secourir Saragosse en hasardant un combat; mais frappés de l'imprudence de cette mesure, ses Officiers resistèrent à son autorité et se préparèrent à se retirer à Valence. — Ignorant dans l'art de la guerre et effrayé probablement par Tio Jorge, Palafox exprima sa résolution de combattre, et dit d'un air imposant: „Ceux qui craignent le danger, peuvent se retirer". Honteux de leur prudence tous convinrent de le suivre à Epila; et leur chef s'y portait avec ses troupes, lorsque deux Régiments Français, detachés par Lefebvre, le rencontrèrent sur sa route, et engagèrent le combat à neuf heures du soir. Les Espagnols incapables de se former en ordre de bataillon, malgré leur supériorité numerique, furent défaits, et perdirent trois milles hommes etc. etc.

Co widzę nie odmiennego w tym opisie od tego co wielce ceniłem w opowiadaniu jego wojennych wypraw to że nigdy o sobie nie mówił ale nie znośne dla niego ja zastępowało wyrażenie myśmy to zrobili. Piszę nieznośne dla niego *ja*, gdyż nie lubił gdy kto w takim razie tylko o sobie mówił a nawet gniewał się, jeżeli to wyliczanie spraw własnych przydłużano i wtedy można było usłyszeć od niego jak usłyszeliśmy, gdy nie chcąc słuchać opowiadań pewnego byłego Majora odby

wającego tylko kampaniją w roku 1831, rzekł odchodząc:

— Szczęście, że jego wojaczka niebyła tak długą jak nasza, boby umarł a nie skończył tej gadaniny.

W cztery lata po spaleniu pamiętnika, zastałem Chłopickiego siedzącego przy biórze i piszącego i to od niego usłyszałem:

— Niezgadłbyś nigdy co piszę bo ja sam prędzejbym uwierzył, że jeszcze kapucynem będę, aniżeli, że znowu kto zagnać zdoła do tego tak mnie zawsze nużącego pisania. Lecz wymogła pani Katarzyna i obiecałem jéj opisać kilka szczegołów z mego życia.

Z prawdziwem zadziwieniem usłyszałem te słowa, gdyż nie przypuszczałem, żeby był kto na świecie coby mógł skłonić Chłopickiego do odstąpienia raz powziętego postanowienia. I od tego dnia często go zastawałem nad tą pracą ale też często targającego kartki na których pisał i żalącego, że nie kontent z tego co napisze.

(*Dokończenie w następnym zeszycie*).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dawniejszy stan literatów — Zawisłość i niepodległość. Stosunek autora do księgarza sprzyja téj ostatniéj. Korzyści z wyzwolenia się autora z pod protekcyi możnych i niedogodności wypływają dla literatury z protekcyi zbiorowéj. Rzemieślniczość zaczyna przeważać w dziełach sztuki.

Tak dawniejsi, jak nowsi pisarze nasi, w ogóle bardzo rzadko, i to w sposób niedokładny, że tak powiem, mimochodem, opowiadali zazwyczaj o swoim zawodzie autorskim. Wszystko inne, co ich otaczało, na co patrzyli, wchodziło więcéj do składu ich wspomnień, niż drobiazgowe, a tak interesujące szczegóły, o łamaniu się z trudnościami naukowemi, o pierwszych wystąpieniach przed światem, o kłopotach z wydawnictwem i o losach jakie przechodziły ich książki.

Mamy przecież bardzo szacowne pamiętniki Karpińskiego, Niemcewicza, Brodzińskiego, z Tańskich Hofmanowéj, ale z nich nader mało można się dowiedzieć o kolejach zawodu autorskiego, wyjąwszy to, co Brodziński

o swojem dzieciństwie napisał, jak żyjąc z pastuchami, z jednéj strony przysłuchiwał się ich piosnkom i gadkom, z drugiéj sylabizował stare szpargały znalezione na strychu, jak w szkołach ponosił kary za czytanie polskich książek, jak późniéj gdy już był profesorem doznawał lekceważenia rozpraw swoich o literaturze przez jakiegoś nadętego literackiego dostojnika. Tańska w kilku miejscach skreśliła swój piśmienny zawód mianowicie co do powodzeń pierwszych prac edukacyjnych, jak: Pamiątka po dobréj matce, lub Rozrywki dla dzieci. Widać tu już pewne układy z księgarzami, plany wydawnictw, zabiegi i zawody. Życie literackie zaczyna przybierać ściślejszą formę, znaczyć samo przez się, wystarczać na utrzymanie własnéj exystencyi;— dotąd bowiem autor będący albo ziemianinem, rolnikiem, albo żołnierzem, urzędnikiem, duchowym, uważał zawód pisarski za dodatek tylko do swojéj funkcyi obowiązkowéj.

Autorstwo niedawało chleba, było nawet synonimem ubóstwa. Ileż z tego powodu pociesznych nienapisano wierszy zacząwszy od Satyry Naruszewicza: Chudy literat! Ile nienażartowano sobie z Molskiego, który za czasów Księstwa Warszawskiego chcąc się utrzymać w niepodległym stanie literata, niemógł dopiąć tego inaczéj tylko przez zbieranie prenumeraty na Eneidę niewytłumaczoną nigdy, lub pisanie ód i hymnów na wszystkie okoliczności najpowszedniejsze, jak imieniny, chrzciny, wesela, pogrzeby, obiady i t. d.

Niezawisłość talentu i nauki była niepodobieństwem w dawniejszych stosunkach, mianowicie kiedy literat niemiał majątku w ziemi jak Jan z Czarnolesia. W urzędzie, a w dworskiéj służbie u magnata, niebyło wprawdzie trosków o chleb powszedni, ale za to odrywał obowiązek, ciężyły pewne względy często upokarzające i twarde. Dopiero za Stanisławowskich czasów zaczyna się na tle społeczeństwa niewyraźnemi jeszcze rysami

odrysowywać Literat, jako osobne powołanie. Już głos pisarzy więcéj coś waży w opinii, bo się wprost zwraca do spółeczeństwa, portretuje, nicuje, szydzi, stawi pod pręgierz. Żywotniejsi, stają się popularniejszymi. Księgarze robią nakłady za które czasem płacą — ale Literat na to nic nieliczy, bo jeszcze rad nierad musi się trzymać klamki dworskiéj. Najniepodleglejszy z nich Karpiński ucieka na wieś, a mimo tego ciągle narzeka i żebrze *à conto* swojéj Muzy.

System protekcyonalny w literaturze prowadził najczęściéj do diletantyzmu a nie do zupełnego i szczerego powołania. Z upadkiem wielkich fortun i dworów, z zamknięciem przystępu do urzędów publicznych, zawód literata zaczął przybierać wyraźniejszy charakter. Opuszczonemu od opiekunów niepozostało jak na sobie samym polegać, ufać w siłach własnych, uzbroić się w cierpliwość, przygotować na cierpienie, i z nikim niemieć do czynienia tylko że tak powiem: z gromadą. Do niéj też zaczęto odzywać się i robić ją swoim sędzią i protektorem. Opinia rozstrzygała, entuziazm czytelników wieńczył utwory przypadające do smaku, do serca ogółu — a wynagradzał księgarz, który przerabiając entuzyazm na talary, przekonywać się zaczął, że można coś ryzykować za rękopismy. Dotąd bowiem na druk dawał albo możny protektor, albo też sam autor zdobywał się na nakład, rozpisawszy wprzód prenumeratę, którą trudnili się łaskawi protektorowie płci obojéj, wtykając bilety sposobem przymusowym, podobnie jak dziś gwałcona bywa kieszeń składkami na cele dobroczynne.

Najznakomitsze twory w naszéj literaturze nieprzyniosły swoim twórcom ani grosza zysku, choć może na niejednym budowano całą nadzieję bytu.

Malczewski i Marya — nędza i śmierć — to jeden także epizod z życia literata przywięzującego do nagrody za swój twór może exystencyę swoją, a tymcza-

sem niewiem czy księgarz gotów był dać jakiekolwiek honorarium za poemat, który doczekał się największéj liczby wydań ze wszystkich tworów literatury polskiéj.

Niedawne to czasy, bo sięgające po rok 1830. Był już przełom widoczny do wyzwolenia się autora, i polegania na własnych siłach — ale wprzód było przejście z jednego stanu w drugi; a wiemy że wszystkie przejścia bywają najdotkliwsze. W tem to właśnie przejściu prawdziwe poetyczne klejnoty literatury naszéj wyszły na widok; nieuposażone niczem prócz swoją pięknością wzbudzającą entuzyazm, dawały sławę i wziętość, lecz żadnych materyalnych nieprzynosiły twórcom swoim korzyści. Tylko księgarze robili majątki.

Dopiero, można powiedzieć, po r. 1830, gdy naród zaczął się zapalać do swoich pisarzy, a zakres czytelników rozszerzać się w społeczeństwie, znaleźli się nakładcy, co poznawszy, że myśl tak dobrze płaci jak każdy inny przedmiot handlu, rzucili się do zakupywania rękopisów. Odtąd coraz więcéj układały się stosunki między autorami a księgarzami. Własność pracy umysłowéj przyszła do uznania i uszanowania. Można jednak powiedzieć, że szczególniéj współzawodnictwo pism czasowych w poznańskiem naprzód, potem w Warszawie, nadało większą wartość płodom autorskim, i zmusiło niejako nakładcę księgarza, do podniesienia płacy za rękopisma do téj saméj wysokości w jakiéj redakcye płaciły za artykuły.

Wspólne usiłowanie autora i księgarza doprowadziło do dzisiejszych rezultatów. Pierwszy usiłował zainteresować największą liczbę czytających, a nawet stworzyć sobie czytelników; drugi wszędzie rozrzucał własne nakłady, ogłaszał w pismach, i stał się najczynniejszym ajentem w rozszerzeniu słowa. Dawniéj, książka nosząca na sobie tylko koszt druku i papieru, stoma exemplarzami wracała nakład — reszta, czyli czterysta przy

nosiło czysty zysk kapiący przez lata.... który jednakże najczęściéj niedochodził autora. Dziś krom nakładu na druk i papier ozdobniejszy i lepszy, przybywa honorarium. Wydawca więc zmuszony jest bić najmniéj potrójną liczbę exemplarzy, i czynnie popierać rozprzedaż, aby nietylko koszta wyłożone z góry mogły się wrócić, ale i zysk prędki— bo z pomnożonym pocztem autorów cisną się coraz nowe nakłady i rodzą wydawnicze projekta, a współzawodnictwo kolegów do śmielszych przedsiębiorstw pobudza.

Znalazły się głosy łające księgarzom naszym, że wyzyskiwują autorów, że sami zbierają majątki, a piszący zawsze chodzą w ubóstwie; że oni przemysłowość wprowadzili do naszéj literatury, i innych jeszcze zarzutów coniemiara. Nieprzeczę, nadużycia być mogą jak zwykle pomiędzy ludźmi; wszelako zastanowiwszy się nad znaczeniem księgarza', tego pośrednika między autorem a publicznością, nienależy go zbijać z terminu, okrywać wzgardą jak pierwszego lepszego lichwiarza lub wydrwigrosza, ale owszem podnosić go i wpływać nań, aby miał sobie za obowiązek i zaszczyt, nie samemi komanditowemi szpargałami składanemi przez zostających na jego żołdzie pismaków, handel swój prowadzić, ale przeciwnie, brać w literaturze udział znawcy, który umie i odkryć i zachęcić talent, niekiedy myśl poddać szczęśliwą, a niekiedy i przyjść z materyalną pomocą, gdy brak jéj pogrąża w rozpacz wydziedziczonego z dóbr ziemskich wychowańca muzy...

Na kramarstwo księgarskie staréj daty, kisnące bez użytecznie, trafikujące najniedorzeczniejszemi ramotami senników, kabał, kucharek, arkanów lekarskich i tympodobnych bredni zawsze pokupnych dopokąd ludzkiego głupstwa — na tę aptekę ciemnoty, zawsze godziwa rzecz powstawać; bo to niema żadnego związku z piśmiennictwem narodu, owszem, zawadza mu i szkodzi,

jak chwasty i łopuchy kwiatom. Tacy tłumaczą się tem że i na te artykuły jest pokup, może największy. Nieprzeczę, lecz gdy podobne artykuły wchodzą w kategoryę czysto handlową — a ja mówię o stosunku księgarza z literaturą narodu, i podnoszę go do jéj wysokości, przeto księgarski zawód w stanowisku najniższem niemoże wzbudzać wielkiego współczucia, chyba o tyle, że jest takim środkiem zarobkowania jak wszelki inny handel.

Przypuściwszy żebyśmy dziś wrócili do tego rodzaju księgarstwa jak zwyż opisane, w cóżby się obrócił cały ruch piśmienny, jaki byłby los piszących? — Każdy łatwo sobie wyobrazi wszystkie smutne następstwa dla ruchu piśmiennego, a niemniéj i dla autorów, którzy alboby szukali innego środka utrzymania się (co niezawsze byłoby ze stratą dla literatury) albo też musieliby kłopotać się nietylko wydrukowaniem, ale i rozprzedażą swych dzieł.

Dla tegom wytknął te przypadki, ażeby pokazać w jakiem położeniu znajdowały się nieraz najznakomitsze u nas głowy i talenta, pozbawione z jednéj strony środków niepodległego bytu, a z drugiéj nieznajdujące stósownego wynagrodzenia pracy swéj, aby takowa zapewniła im utrzymanie.

Kto wie jak wysoką wartość przywięzuje pisarz i artysta do niezawisłości osobistéj, która mu daje swobodę wewnętrzną, ten pojmie, że stosunek jego z księgarzem opierający się głównie na zamianie owocu pracy za pieniądz, jest najznośniejszym stosunkiem ze wszystkich przez jakie przechodził rodzaj autorów zacząwszy od Homera, śpiewającego u wrót za jałmużnę lub kawał chleba, aż do ostatniego z nadwornych rymotworców piszącego odę na cześć suczki faworytki ażeby zwrócić oko pańskie na stan swéj smutnéj garderoby. . .

Może mi kto bardzo słuszną zrobić uwagę, że dawniejszy stan autorów, chociaż był nieprzyjazny swo-

bodzie ducha, przez zawisłość wszelkiego rodzaju wszelako największe arcydzieła powstały w tych niedobrych starych czasach, między innemi w Grecyi i Rzymie lecz tu należy pamiętać że w Grecyi stosunek poetów mowców lub filozofów był bezpośredni do ludu, który zasypywał ich wieńcami lub wotował nagrody i pomniki, w Rzymie zaś autor całkiem stał pod protekcyą możnych mecenasów, którzy, sami zaentuziazmowani dla sztuk pięknych zostawili mu wszelką wolność byle czasami rzucił szczyptę kadzidła, tchnącego raczéj wonią wdzięczności, niż dymkiem pochlebstwa. O średnich wiekach niema co mówić; zawód autorski wyłącznie wtedy należał do duchowieństwa zatrzymującego przy sobie wyższą gałęź jak filozofię, wymowę, historyę— światowemu śpiewakowi zaledwie została swoboda klecić ulotne piosenki. Dla tego też pomiędzy duchowieństwem posiadającem wyłączną władzę nad duszami, a feudalnością ciemną i szablistą, niema prawie miejsca na osobną klasę niezawisłych literatów.

Z wynalezieniem druku po raz pierwszy zaczyna się odrysowywać figura literata, w charakterze osobnéj profesyi. Jeniusz odżywionéj starożytności wstępuje w głowy uczonych i poetów, i rodzi w nich wyobrażenie że są współczesnymi wielkich mężów Grecyi i Rzymu. Przez to zbratanie się z Homerem, Arystotelesem, Platonem, Wirgilem, Horacym i literat czuje się podniesionym w spółeczeństwie.

Rzecz godna osobliwéj uwagi że u nas zaraz na wstępie 16 wieku, widzimy dwóch najprzedniejszych, bo najpierwszych po polsku piszących literatów występujących niezawiśle. Duchem reformy owiany Rej, nie tęgi przytem grek i łacinnik, stara się wnikać w obecność na którą patrzy, rozbiera stan społeczeństwa, ogląda zbliska, portretuje, słowem robi to, co się dziś robi. . .

Zjawisko niesłychane, zwłaszcza w epoce, kiedy wszyscy

czciciele klasycyzmu, oczy mieli tylko dla Greków i Rzymian, których nierozumieli, kiedy czytano wiele, pisano co niemiara, a widziano mało, myślano jeszcze mniéj...

Jan z Czarnolasu szlachcic ziemianin, zażyły z literatami Włoch i Francyi, czciciel i wcale nieślepy naśladowca starożytności pogańskiéj, postać to zupełnie nowożytna niepodległa, lecz jakby przechowująca tradycyą średniowieczną, od kościoła bierze tytuł i dochody probostwa poznańskiego.

Po nich w następnych dwóch wiekach duchowieństwo najwięcéj tworzy ciało literackie. Świeccy pisarze wiszą po dworach— w ogóle literatura bywa tylko dodatkiem do innego powołania, lub też zabawką rymotwórczą.

Wpływ piszących na otaczające ich społeczeństwo tworzy się dopiero z końcem ośmnastego wieku — literat zaczyna być sprawcą ruchu w umysłach, kieruje opinią, a opinia sprawami publicznemi. Rząd dusz zaczyna zupełnie pod ich panowanie przechodzić... Ustawa konstytucyjna przez kogóż przygotowaną została, jezeli nie przez Krasickiego, Zabłockiego, Węgierskiego? Oni to dla niéj wyrównali ścieżki w opinii ogółu, z którym zaczęli się wprost znosić. Rzeczywistości już niechcieli poświęcić dla wszystkich tajemnic sztuki klasycznéj, chociaż formy zatrzymali jeszcze, bo w innej niezwróciliby na siebie uwagi.

Z tego powodu romantyzm nasz nic nierozbił, tylko zużytą formę, duch bowiem od pół wieku z górą siedział w niéj inny.

Literat przez zbliżenie się do społeczeństwa, przez oddanie się na jego usługi, wyzwolił się zupełnie od uległości, nie moralnemu prawu, bo to zawsze obowiązuje, ale od moralnych przymusów i ograniczeń. Wpływy korporacyjne nieciążą na nim, równie jak opieka możnych i dworów — ztąd i położenie jego materyalne

jak powiedziałem na początku, zmieniło się zupełnie Będąc zawisłym od publiczności, od niéj przyjmuje nagrodę za swoją pracę. Co dawniéj możny pan robił sam jeden, to dziś składkowym sposobem robią tysiące.

Lecz zachodzi pytanie, azali ten nowy opiekun może być sędzią tworów sztuki tak wytwornym, jak niegdyś Perykles, Mecenas, Leon X, Medyceusze, Ludwik XIV, Stanisław August, Czartoryscy i t. d. Pokazuje się że jest nim w praktyce; chociaż jak wiemy, publiczność składa się z najróżnorodniejszych elementów; mięszanina złego i dobrego, rozumu i głupstwa, zdrowego widzenia i przesądu, jednakowoż w danéj chwili niesprzeciwia się sobie, bo jedno drugiem się wypełnia, i rozsądne zdanie zostaje prawie zawsze na wierzchu. Publiczność bezwątpienia bywa bardzo trafnym sędzią tworów umysłowych, znawcą oględnym i powszechnym Wszystkie umiejętności i sztuki są przystępne jéj pojęciu; miewa niekiedy swoich ulubieńców, swoje wyłączności, ale niczem niegardzi, niczego niedepce. Można zarzucić iż liczba znawców jest bardzo małą, że większość ciemna nierozumie tych pytań jakie się obijają o jéj uszy — lecz na to powinniśmy uważać, że małe kółko znawców coraz rozszerza się przez oświatę wsiąkającą w czytelników ogół — z resztą za wyrokiem i zdaniem kompetentnego koła, większość idzie zazwyczaj na ślepo. Jest to w naturze ludzkiéj, że chociaż lubi udawać niepodległość zdania, zawsze przecież daje się prowadzić, i w każdym razie najchętniéj poddaje się powadze znawców i ludzi specyalnych. Każdy woli wierzyć, jak badać; to bowiem dogadza i naszemu rozsądkowi i lenistwu ducha. Jeżeli znawcy przyznali że pan A. wielki historyk, p. B. nieporównany geolog, p. C. astronom, zdanie to wyrzeczone przez kilku zgodnych między sobą sędziów, obiega z ust do ust po całym kraju. Ten głos znawców jak i echo tego głosu jest niczem innem

tylko publicznością, a gwar ztąd powstający nazywa się — sławą.

Z nowym tym panem, jak powiada Demogeat — można robić co się podoba: chłostać go, drwić z niego, a byleś to robił z dowcipem, pobudzisz go nawet do śmiechu. Niebój się, wytykaj bez litości jego występki, zdrożności, głupstwo przebaczy ci, jeżeli się przekona że to robisz *pro publico bono*. Wprawdzie niebrak i jemu na zausznikach i płaskich pochlebcach obałamucających go, zwłaszcza wtedy kiedy publiczność nazywają *ludem*, *kochanym naszym ludkiem*, chociaż właściwy *ludek* nieczyta, ani kupuje książek. Przydomek ten dostaje się jednak najróżnorodniejszéj publice, nie w innym celu tylko aby zrobić poróżnienie między klasą cywilizowaną a prostotą, a raczéj żeby oparłszy się na ciemnocie wystraszać sobie jakąś powagę w klasach oświeconych, powagę, któréj trudnoby zdobyć niemając po temu odpowiednich zdolności. Zawsze jest to rodzaj pochlebstwa aby zyskać tak zwaną popularność. Adwokatowie maluczkich mają jeszcze tę wadę, że rzadko przebywając z maluczkimi nieznają ich wcale, a co słowo używają ogólnika: *ludek* który dziś to ma bez mała znaczenie, co wyraz *ojczyzna* najgęściéj używany w chwilach, kiedy o nią największe frymarki robiono.

Bywają przypadki że uskarbioną taką, lub szlachetniejszą popularnością opinia publiczna, wynosi na szczyt społeczeństwa ludzi pióra, i ci wtenczas zajęci obowiązkiem urzędu, biorą najczęściej rozbrat z Muzami. Literatura wszakże nie traci na tym ubytku; nowi zapaśnicy wstępują w luki szeregów pisarskich, i pędzeni ambicyą, utrzymują ten ruch, który ich wynosi.

Są to wszakże wyjątkowe przypadki, innego bowiem rodzaju potrzebniejszych i niebezpieczniejszych względów oczekuje od publiczności Autor w naszym wieku. Względem tym jest chleb powszedni, gdyż jeszcze o

zbogaceniu się niemoże być mowy. Nagroda Autorów, jak wiadomo, całkiem pod inną formą spełnia się dzisiaj, niż w przeszłych wiekach.

Nietajny nikomu charakter naszéj epoki objawiający się najwybitniej w ruchu przemysłowym. Wszędzie tylko cele ekonomiczne, przemysłowe, handlowe krzyżują się na drodze życia, nic dziwnego, że i na drodze literatury ten cel się pojawił. Przyznajemy, jako rzecz tak wysokiego powołania profanuje się niskością celu, że poświęcenie się powinno być pobudką, a dobry owoc nagrodą. Tymczasem w dzisiejszym stanie spółeczeństwa taki obrót to wzięło, że Autor z najlepszemi pobudkami, z najbezinteresowniejszym celem, otrzymuje za swoje prace uczciwy dochód. Nie on siebie i swój płód ale drudzy taxują go i poszukują. Złego w tém nic niema — talent pisania jest taką własnością jak każda inna własność, a książka wyrobem mogącym się sprzedawać i kupować. Dla Autora prawdziwy to zaszczyt nie zależyć od nikogo krom od siebie, wzbogacić się pracą własną, mieć głos publiczny za sobą, i nieznajdować się w przykrém położeniu między sumieniem, a interesem — zwłaszcza że publiczności lepiej szczerą prawdę pisać, niż sypać kadzidła.

Ta przemysłowa organizacya literatury odpowiada nawet dzisiejszemu usposobieniu spółeczeństwa, wołającemu co chwila o świeży pokarm umysłowy — Autorowie piszą w trójnasób tyle co dawniéj aby i żądania zaspokoić, i większą zebrać nagrodę. A chociaż wiemy, że obfitość płodów szkodzi ich jakości, wszelako zawsze trzeba coś lepszego produkować, aby zyskać pokup na dzieło. — Co więcéj kiedy czytająca publiczność zaczyna oziębłe przyjmować utwory podtrzymywane początkowem powodzeniem jakiéj powieści lub poematu— daje tem samem ostrzeżenie Autorowi, że ta kopalnia już wyczerpana, że siebie niepowinien kopiować, tylko

gdzie indziej szukać świeżego żywiołu. — Tym sposobem utrzymuje się ruch, kiedy coraz nowych smaków dobierać potrzeba.

Oto jedna strona odsłaniająca położenie literata w składzie towarzyskim — strona wcale świetna, gdyby niepociągała za sobą wiele niedogodności przynoszących uszczerbek literaturze.

Co najbardziej przeraża — to owa nieskończona liczba sypiących się książek. Umysł, pojęcie, wyobrażnia, uczucie, niesą przecież młocarnią, lub parowym tartakiem, ażeby mogły bez końca i miary produkować, zwłaszcza że utwory literackie ważą się a nie mierzą. Wyzyskiwać wrodzony talent nad miarę, jedno jest, co go osłabiać. Dobra myśl tknie cię w głębi — tworzysz — podobasz się; ale nie idzie zatem żebyś na tym koniu wciąż jeździł, i to cwałem, dla tego, że towar pokupny. — Pośpiech w robocie, korzyści z pośpiesznéj produkcyi, powab rzucania się w różne przedsiębiorstwa wydawnicze — wszystko to przyczynia się do zużycia sił umysłowych pisarza; geniusz zpada do miary talentu, talent rozbryzguje się w nędzne ramotki.

Powie kto: odwołuję się do publiczności, ona najlepszym sędzią, wszak rozkupuje moje książki. — Zapewne, nagroda powinna być miarą zasługi i wartości. — Lecz pamiętajmy i na to, że nie te są najlepsze książki na które pokup największy. Niedostatek więc lub chęć zysku spowoduje autora że nie zechce już pisać dzieł gruntownych i poważnych zazwyczaj czytanych tylko przez małą liczbę osób, dzieł, z których całe epoki pożyczają ożywczego ducha i światła. — Cóż w tem złego? — odpowie stronnik pism popularnych — za to massy będzie oświecał; a czy będziem mieli mniéj kilka grubych tomów skazanych na zaleganie pułek bibliotecznych, to zyska na tem massa narodu przez poprawę moralną i oświatę. — Słuszna uwaga, ale czy roz-

szerząjąc nazbyt koryto rzeki, niewysuszymy źródła? Czy jest pewność że massy mają wyłączny pociąg do kupowania książek najmoralniejszych i najwięcéj oświecających? Jeżeli to pewnik, po cóż je moralizować i oświecać, kiedy już są tak moralne i oświecone? — Przeciwnie sądzę; autor bowiem odstępując od swego wysokiego posłannictwa, będzie widział w dziełach swoich tylko towar do zbycia, będzie stosował się do smaku kupujących a nie do potrzeb i niedostatku większości. Niemoralność, jeżeli tylko zyski dobre przyniesie, niewstrzyma go, chyba aż prawo położy na nim rękę, a i z prawem jeszcze jest tyle wybiegów! Cynizmy dadzą się osłonić, bezwstydy ubarwić, co tem niebezpieczniejsze, im pod piękniejszemi kwiatami leży wąż ukryty. Nietylko moralność, ale sam duch literatury na tem ucierpi. — Zamiast nadawać kierunek czytelnikom, co nietylko jest przywilejem, ale i obowiązkiem autora, taki rzemieślnik książek będzie nadstawiał ucha, zkąd wieje kaprys mody, aby w tę stronę kierował swój żagiel. Kopiując drugich, kopiując siebie samego, zrujnuje własną oryginalność dla przemijającego powodzenia.

Główna wada w dzisiejszem autorstwie jest ta, że się pisze bardzo dużo, a bardzo mało myśli; że myśl, to jedyne źródło tworzenia, nie umacnia się życiem wewnętrznem. — Porównajmy dzisiejszych pisazy z dawnemi mistrzami. Jaka u tamtych skąpa płodność! Najwięksi, ledwo szczupłe książeczki przekazali potomności; ale w tych szczupłych kartach zamyka się cały świat myśli i uczuć, niby plaster miodu na który się składało tysiące a tysiące najrozmaitszych kwiatów....

— Gdybym pracował lata na arcydzieło w jednym tomie — odpowie nie jeden — musiałbym niezawodnie umrzeć z głodu przed czasem — muszę więc płodzić i gęsto i długo. — Ile jest w tem usprawiedliwienia niepotrzebuję dowodzić — ale natomiast nasuwa się inna

uwaga, a razem przestroga dla młodzieży obierającéj bez potrzeby zawód piśmienny. Najwięksi mistrze pióra żyli wprzód nim pisali, dzisiejsi mało żyjąc, od razu robią się autorami i wymagają od saméj wyobraźni tego funduszu, jakiego nieumieli zebrać w ciągu życia, na drodze doświadczenia; albo też w grube tomy pakują martwą erudycyą wyłataną ze stosów książek. Wszystko to jest jak widzimy chybionem powołaniem — bo jaki taki niedrażniąc wyobraźni, mógłby zostać bardzo zręcznym rzemieślnikiem, kupcem, urzędnikiem, gospodarzem — inni znowu zamiast kompilować stare szpargały, czyli znosić cegiełki do cegiełek aby z nich nic nie złożył nie wolałżeby obrać zawód rachmistrza, buchaltera, zawiadowcę fabryki?.... Przecież nie mówię z chętki marnego zrzędzenia, ale z przyglądania się temu co jest, przychodzą te przestrogi. Czyż nie częste mamy przykłady na tych młodzieńcach, co nie dokończywszy nawet gimnazyum, z kopyta zostają autorami.

— Chcesz panie świat uczyć i budować — a gdzież twój zakładowy kapitał? gdzie doświadczenie życia?—

— Mniejsza o życie i o kapitał — pisząc będę żył i uczył się. — Przecież jakiś mądry człowiek powiedział: Kto chce nabyć jakiéj umiejętności, powinien o niéj książkę napisać.

— Nie przeczę, ale tylko dla swego użytku — tymczasem wspaniały autor ofiaruje ją zawsze *pro publico bono.*

Zmieniły się czasy! — dawniéj usiłowano żyć i uczyć się, a potem pisać — dziś odwrotnie i dla tego położenie pisarza z powołaniem i wyższym talentem, stało się podobne do wonnego kwiatu przygłuszonego wielkolišcistemi chwastami.

Lucyan Siemieński.

CHRZEŚCIANIE TURECCY W OBEC KONFERENCYJ.

Konferencye paryskie otwarte w maju nie skończyły się jeszcze. Od dwóch miesięcy opinia europejska wygląda rezultatu z posiedzeń najwyższego politycznego trybunału, i usiłuje przedrzeć zasłonę tajemniczą która zakrywa odbywające się rozprawy. Rezultatu wszakże nie ma jeszcze, a nawet jak słychać, Europa w cierpliwość uzbroić się powinna, gdyż konferencye mają się odroczyć z końcem lipca i dopiero w październiku na nowo przystąpić do dzieła.

Już sama ta zwłoka dowodzi na ile trudności napotyka dzieło, którego dokonaniem zajmują się konferencye. W przeszłym miesiącu na tem miejscu wykazanem zostało, jak dalece stanowiska obecne państw europejskich względem siebie, stają na przeszkodzie do przeprowadzenia zgodnie, a nawet jednomyślnie, bo solidarnie, zamierzonéj organizacyi Księstw Naddunajskich. Zgoda jest konieczną, a zgody nie masz i być jéj nie

może. Każden najmniejszy punkt i najważniejszy szczegół, począwszy od sztandara do wyboru hospodarów, jest przedmiotem sporu. Wszędzie trzeba ustąpienia z jednej strony, zasłonienia miłości własnéj z drugiej. Trudno zaprawdę zaniechać unii, nie połączyć Księstw, a przytem nieupokorzyć polityki francuzkiéj; trudno Anglii obstawać za rozdziałem Księstw, bez zważania że podczas pierwszych konferencyj ona głównie popierała unię; trudno Austryi występować energicznie przeciw Francyi i Rosyi bez narażenia na szwank swéj polityki; trudno bronić Turcyi i jej praw jako państwa, w obec wypadków codziennych które świadczą tak wymownie o słabości i nieudolności w utrzymaniu tego miejsca na kongresie europejskim, które jéj w skutek ogłoszenia *hattihumajonu* przyznał traktat paryski.

Wypadki te bądź co bądź muszą wpływać na konferencye. Prawda że sprawa organizacyi Księstw Naddunajskich odłączoną została od sprawy Chrześcian tureckich. Lecz sprawa Księstw należy do kwestyi Wschodniéj, a czemże jest innem sprawa Chrześcian? Nie mieściż się w niéj właśnie cała przyszłość nie tylko Turcyi lecz Wschodu?.... Z resztą owe odgraniczenia różnych spraw, jako to sprawy Księstw, sprawy Czarnogórskiéj od sprawy chrześcian tureckich, mogą mieć pewne znaczenie w dyplomacyi, ale mogąż one być zrozumiane i ocenione przez ludności wschodnie? Czy Chrześcianie na Wschodzie pojąć mogą z łatwością, że konferencya złożona z reprezentantów wielkich europejskich mocarstw, obradująca właśnie w téj chwili w Paryżu nad Chrześcianami w Księstwach Naddunajskich, i mająca najwyższą polityczną władzę, a zatem losy ludności w swym ręku, nie może zajmować się Chrześcianami w Czarnogórze, w Bośnii lub w Krecie, a to dla tego, że to są *inne* kwestye?... Jakże przypuścić mogą że są *różne* kwestye tam, gdzie zawsze chodzi tylko

o ich prawa, o które się zawsze od téj saméj Turcyi dopominają...

I w rzeczy saméj cała różnica tych praw zależy tylko na stosunku w jakim do Turcyi zostają. Są ludności jak Czarnogórska, która się za niepodległą uważa, a do których Turcya rości sobie prawo zwierzchnicze, na żadnych nie oparte traktatach. Są inne jak Mołdawia i Wołoszczyzna, zostające do Porty w stosunku lenniczym, z prawami w kapitularzach odwiecznych zawartymi. Są nareszcie prowincye gdzie Sułtan jest panującym a mieszkańcy poddanemi, dla tych miało być równouprawnienie z muzułmanami *hattihumajonem* z 18 lutego 1856 r. zaręczone. Jakże się zachowuje Turcya względem tych trzech kategoryj? czy szanuje prawa jakie się każdéj należą?... Niepodległych chce przerobić w łenników, nad lennikami chce rozciągnąć prawa panującego, a poddanych zamiast równouprawnić tak ciemięży pomimo *hattihumajonu*, że ich niejako zmusza do zbrojnego powstania. I cóż dziwnego że u wszystkich Chrześcian tureckich widać tę samą żądzę wydobycia się z pod jarzma Mahometa! Cóż dziwnego, że Czarnogórcy tną w pień wojska tureckie na polach Grachowy broniąc swéj niepodległości; że w Księstwach Naddunajskich ludności wzdychają za unią, za pomocą któréj ową lenniczość z czasem w niepodległość zamienić spodziewają się; że w Krecie, w Bośnii, w Hercogowinie, Chrześcianie poddani tureccy z bronią w ręku starają się zdobyć chociaż takie stanowisko, jakiego używa Mołdawia i Wołoszczyzna! A wszyscy bez różnicy udają się do europejskich konsulów, wołają o pomoc, i ani na myśl im nie przyjdzie, żeby mogła być jaka różnica między ich sprawą a sprawą nad którą obradują konferencye.

Turcy nie pojmują również tych dyplomatycznych odcieni. Chrześcianie jak byli tak są dla nich giaurami.

Francya chce unii księstw, Anglia jéj dziś niechce i popiera Turcyą, to dobrze dla dziennikarzy. Fanatyzm muzułmański o to nie pyta. W Chrześcianinie widzi on wroga i nic nie więcéj. To też w Belgradzie żołnierze Nizamu, regularnego tureckiego wojska, znieważają angielskiego konsula i jego pawilon, a Dżeddah rzeź arabska nieoszczędza ani francuzkiego ani angielskiego konsula; w Jerozolimie żołnierz muzułmański rąbie chrześciańskie dzieci nie pytając do jakiego należą narodu. I biorąc rzeczy po prostu, nie można ani jednym ani drugim odmówić loiki: wszędzie jest walka Chrystyanizmu z Islamizmem, krzyża z półksiężycem, podbitych ze zdobywcą.

Tu a nie gdzie indziéj jest kwestya wschodnia. Zakończeniem tylko sprawy Chrześcian może być rozwiązaną. Rozwiązania téj sprawy przez Wschód nie chciała nigdy Europa. Mogła się rozwiązać kwestya Wschodnia przy powstaniu Greckiem, ale mu trzeba było pomagać a nie budować małe królestwo Ottona. Mogła się także rozwiązać przez Mehmeta Ali, ale nie trzeba było zatrzymać wojska Ibrahima Paszy i układać *tanzimatu*. Potem już kwestyę wschodnią Europa tylko rozwiązać mogła. Chciała to uczynić Rosya, ale na to Zachód pozwolić nie chciał, i nastąpiła wojna Wschodnia. Równowaga europejska nie pozwala interwencyi jednego mocarstwa na Wschodzie; wymaga solidarności i otoż konferencye mają rozwiązać kwestyę Wschodnią.

Na nic więc nie przyda się rozdzielać sprawy na Wschodzie, są one ściśle z sobą związane i spływają wszystkie w jednę ogromną sprawę, w sprawę Chrześcian tureckich. Organizacya Księstw Naddunajskich, nie rozwiąże jeszcze kwestyi Wschodniéj. Nie ukończy jej także rozgraniczenie Czarnogóry, ani nawet uznanie niepodległości księcia Daniła, lub poddanie go pod zwierzchnictwo tureckie. Krew się dalej lać będzie na

Wschodzie, a Europa nie odetchnie w pokoju. Bo kwestya Wschodnia stała się kwestyą europejską praktycznie, od chwili jak Turcya teorytycznie uznaną została za państwo europejskie.

A przekonaną była o tem pierwsza konferencya paryska, skoro uznała i zapisała w traktacie ważność *hattıhumajonu*. Nie zapisała tych wyrazów, przypuścić trzeba Europa w przewidzeniu, że owa konieczna w Turcyi reforma pozostanie na papierze, i nigdy w życie nie wejdzie. Mogła się omylić: *errare humanum est.* — Ale dzisiaj, wypadki równie okropne jak groźne, otworzyćby oczy powinny najzapamiętalszym tureckim stronnikom. *Hattihumajon* zastósować się nie da. Koran z cywilizacyą chrześciańską się nie zgodzi. Jedno z dwojga ustąpić musi. Turcya jako państwo europejskie jest złudzeniem politycznem. W polityce złudzenia są niebezpieczne, kończą się zwyczajnie ogromnym krwi przelewem. Jeżeli nie dosyć dla przekonania Europy krwi wytoczonéj, można być pewnym, że Chrześcianie na Wschodzie dostarczą jéj więcéj.

Nie można atoli i nie godzi się nawet sądzić, aby konferencye na widok tych wypadków obojętnemi być miały. Nie można przypuszczać aby zgromadzenie reprezentantów mocarstw europejskich, miało się wyzuć z cechy chrześciańskiéj dla tego że przypuściło do swego grona jednego reprezentanta w fezie. Być może iż wymagania polityczne żądają koniecznie po konferencyach aby się przedewszystkiem jednym trudniły przedmiotem i ukończyły rozpoczętą sprawę organizacyi Księstw Naddunajskich, bez wdawania się w to, co się dzieje w innych chrześciańskich prowincyach do Turcyi należących; ale sprawa *hattihumajonu* musi przyjść na stół i prędzéj czy późniéj być ostatecznie rozstrzygniętą. Biedni Chrześcianie Wschodni, jeżeli dyplomacya nie zechce przerzucić kolei, i pierwéj rozprawiać będzie o że-

gludze na Dunaju, niż nad położeniem skutecznej tamy rozlewom krwi, któremi z jednéj strony fanatyzm muzułmański, z drugiéj rozpacz uciśnionych ludności zagraża. Być może iż w opatrznych wyrokach powiedzianem jest, aby się kwestya Wschodnia na ostrzu miecza rozstrzygła. Tam bowiem gdzie wszyscy razem działać mają, jak w systemacie solidarności, zwłoka jest koniecznością. W każdym jednak razie spodziewać się trzeba, że pomimo ogłoszenia i zaręczenia nietykalności i niepodległości Turcyi, Europa nie doczeka się téj zgrozy, aby wojska chrześciańskie szły w pomoc Turcyi przeciw swym braciom w Chrystusie, dla tego, że kiedyś pod przemocą pohańca ulegli i przez wieki w tem jarzmie jęczeli. Wszakże choćby najokropniejsze rzezie, na które się zanosi, byłyby mniéj oburzające, od takowéj świętokradzkiéj w imie Mahometa przez Chrześcian odbytéj wojny.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lipcu.

— Panie konsyliarzu, a więc mi radzisz jechać do wód zagranicznych?

— Tak – zapewne... jeżeli Pani masz szczerą ochotę...

— Ochotę! o mój Boże! jabym kamieniem nie ruszyła się z domu, gdyby nie te kurcze, nie te osłabienia, nie te nieszczęśliwe nerwy... Czy sądzisz drogi konsyliarzu, że Karlsbad by mi pomógł?...

— Niewątpię, że może być skuteczny.... aczkolwiek...

— Na tyle skomplikowanych słabości gotowabym i nad Ren pojechać, do Wiesbaden, do Ems — gdzie radzisz?

— Wiesbaden, także niezaszkodzi, chociaż...

— Już widzę co chcesz powiedzieć, że bez Ostendy obejść się nie mogę...?

— W rzeczy saméj, morskie kąpiele wzmacniają.

— To by się przeciągło do jesieni; czyby nie można skorzystać z winogradowéj kuracyi... mój kijowski lekarz cuda opowiadał o nadreńskiem powietrzu...

— Rób Pani co tylko sądzisz że ci zdrowie powróci.

— Ach konsyliarzu! człowiek obowiązkami skrępowany, musi nieraz popełnić samobójstwo... mnie zima nasza zabija... mówię ci to pod sekretem, ażeby mąż mój nie słyszał... mnie zima zabija, a jednak trzeba wracać!...

— Niepozwalam Mościa Dobrodziejko! woła głośno konsyliarz — dla zdrowia trzeba robić ofiarę; — Pani zimę przepędzisz we Włoszech...

— Mężu! czy słyszysz jaki wyrok zapadł na mnie? Skazana jestem zimować we Włoszech... dzieci moje! Gdyby nie zacna osoba zostająca przy nich, na którą mogę się spuścić jak na siebie samą, oparłabym się nawet i tobie konsyliarzu...

— Kiedy konsyliarz tak radzi, cóż robić moja żono! trzeba się stósować do rady.... Ty duszko zostaniesz sobie czy w Nicei, czy w Palermo — a ja muszę na gwałt powracać, bo to teraz u nas nie mały kłopot z tem usamowolnieniem chłopów... kto wie, czy potem będzie za co podróżować i chorować...

Rozmowa ta prowadzona w Hotelu Drezdeńskim dochodziła mię przezedrzwi sąsiedniego pokoju, i zaledwo skończyła się, doszła mię inna od drugiéj strony.

— Dla Pani niema innéj rady tylko do Szczawnicy na cztery tygodnie, a potem do Krynicy na drugie cztery...

— Ależ Panie Doktorze, radzisz mi niepodobne rzeczy... W Szczawnicy, wszyscy powiadają i sam właściciel ogłasza, że szpilki niema gdzie wetknąć, w Krynicy toż samo.... gdzież się pomieszczę z dzieckiem, służącą, lokaiem?...

— Darmo! tych wód nic w świecie nie zastąpi. — Dzielność ich uznana, cuda robi o jakich się nigdy nie marzyło nikomu...

— Wierzę pańskiemu słowu jednakowoż w niewygodach i niedostatku jakie mię tam czekają, wprzód umrzeć mogę, nim doznam cudu...

— Nic Pani nie będzie — samo powietrze ojczystych naszych gór powiewem swoim uzdrawia i goi...

— Więc aby używać tego powietrza, wypadnie mi koczować pod gołem niebem?

— Próżna obawa! przecież można coś zawsze liczyć na doświadczoną gościnność rodaków, którzy się podzielą z panią najmniejszym kącikiem...

— Nieśmiałabym nikomu narzucać się z moim kaszlem... zresztą ja potrzebuję ciszy i jakiéj takiej wygody... Prawdziwie jestem w rozpaczy....

— Trzeba się uzbroić w energię... Jedź tylko Pani, a przekonasz się, że djabeł nie taki straszny jak go malują.... Niepierwszy to raz słyszę podobne zarzuty, a przecież tysiące osób wraca ztamtąd i błogosławi ojczyste zdroje...

Doktor pożegnał pacyenta — a w pobocznym pokoju rozległo się ciężkie westchnienie, po którem nastąpił długi paroxyzm suchego kaszlu...

Te dwie rozmowy przypadkiem podsłuchane, najlepiéj mogą posłużyć do charakterystyki przejezdnych osób zapełniających krakowskie hotele — Wszyscy ci goście płci obojéj skarżą się na coś, i cierpią na urojone i nieurojone dolegliwości, ale jedni cierpią na żądzę poszastania się za granicą, drudzy szukają leków na różne niemoce. — Dla pierwszych uprzéjmość lekarzy nie ma granic, bo prawie odgaduje ich myśli — dla drugich, nieszczęślliwych pacyentów — zapisywane bywa, bez wyjątku, heroiczne lekarstwo: Szczawnica lub Krynica!

Gdyby Asmodeusz popodnosił dachy hotelów krakowskich, ujrzelibyśmy tam największe zamieszanie i mnóstwo scen traiczno-komicznych sprawionych tą magiczną receptą: *Szczawnica i Krynica.*

Z jednej strony uśmiechają się malownicze góry, które litografują i opisują poetyczni entuzyaści tak poważnie — z drugiej przestrasza długa droga, szalone ceny furmanów, a nadewszystko smutna perspektywa, że zajechawszy nakoniec do Szczawnicy za takie pieniądze o jakich możnaby nad Ren zajechać, oczekuje ta sama niespodzianka jakiej niejeden doświadczył, gdy w noc i słotę zajechał pod karczmę do któréj mu niechcą otworzyć, dla tego, że niema miejsca ani na konie ani na podróżnych. — Cóż tu robić w takim przypadku? kto się nie boi o złamanie szyi, jedzie daléj — kto się zaś boi, szuka najbliższéj chałupy, żeby dnia doczekać. . . . To nagłe przejście ze stanu cywilizacyi

do stanu natury, nie jest bez powabu — na jedną noc; może nawet tworzyć wcale humorystyczny epizod w opisie wrażeń z podróży — ale gdyby przyszło rozciągnąć te kilka godzin stanu wyjątkowego, do 720 lub 1000 godzin przeznaczonych na trwanie kuracyi u wód karpackich, — natenczas trzeba prawdziwie heroicznéj odwagi, albo poetycznego entuzyazmu, aby się skazywać na dobrowolną nędzę, i niewygody życia. Mogą być różne sposoby leczenia; — kto wie, czy użycie niewygód, prawdziwie niewygodnych, nie jest nowego wynalazku arkanum?

Żart na bok, chociaż to na żart wygląda, żeby sztucznemi środkami wzbudzić i w lekarzach i w chorych zapał do wód ojczystych, — a nic niezrobić nie już dla wygody, ale dla przytułku śpieszących pacientów z najdalszych prowincyj Litwy i Ukrainy!

Że się te zakłady kąpielne niepodnosiły póki niezrobiono im wziętości — rzecz bardzo dająca się usprawiedliwić — lecz że się dziś niepodnoszą, a raczej niepodnoszą się w proporcyonalnym stosunku do swojej sławy — wychodzi na jedno, co się bawić cudzym kosztem....

U nas zazwyczaj głośne bywają krzyki na brak ruchu, życia, zarobku, przemysłu itd... Niechże się otworzy pole zarobku — nieznajdziesz, ktoby umiał skorzystać....

Czyżby w Szczawnicy lub Krynicy nie można zyskownie obrócić kapitałem budując obszerne gospody na paręset osób, zaprowadzając restauracye, kawiarnie, cukiernie, itp. dogodności. — Któż tego broni? Owszem właściciele dopomogliby nawet takim przedsiębiorcom, gdyby się przedsiębiorcy znaleźli.

Tymczasem gdy o nich niesłychać, a wszystko zostaje po dawnemu, toż i po dawnemu goście się odstręczą, drogi zarosną, i o tych górach krążyć będzie podanie: że tam zdrowie jak miało tak ma swoją stolicę, ale nędza i głód zacięcie bronią przystępu, że ani sposób zbliżyć się do onego Bóstwa...

Niedziwcie się czytelnicy, żem tak się rozpisał o karpackich zdrojach — ale to jedna z kwestyj najżywotniejszych, która przez ten miesiąc wstrząsała Krakowem — a raczéj hotelami krakowskiemi. Sama bowiem

ludność stale zamieszkująca gród stary niemyśli o żadnych wodach i karpackich podróżach. Dla niej wytrysły nowe ogródki, gdzie znowu wytryska piwo tęczyńskie, będące także w pewnym względzie ojczystym zdrojem, o ile z tym żywiołem zostaje w powinowactwie.

Ogródki! Piwo! Aranjuez naszych dni lipcowych — komu niewystarcza, a są i tacy kapryśnicy, niech idzie na Cyrk konny Szlezaka, lub na ciemną kopię Pepity, a jak ona hiszpankę — Camarę...

Poznań w lipcu.

Miesiąc lipiec rozpoczął się w Poznaniu od téj uroczystości, która błogie zostawiła wspomnienie wszystkim którzy jéj obecnymi byli. W dniu tym jak już o tém wspomniał korespondent poznański *Czasu* odbył się pierwszy popis z trzechkwartalnego biegu nauk w zakładzie PP. Urszulanek, który niezwykłym i zadziwiającym postępem uczennic przewyższył oczekiwanie nawet tych, którzy spodziewali się i życzyli najpomyślniejszego w tym zakładzie powodzenia. Tak szczęśliwie osiągnięty skutek świątobliwéj gorliwości i umiejętnych trudów Przełożonéj i osób do składu nauczycielskiego téj szkoły należących, sama postać całéj téj szkoły, umocniła mnie w mojem dawném przekonaniu o zakładach tego rodzaju i nastręczyła kilka uwag i spostrzeżeń, któremi się podzielić z sobą dozwolicie.

Wyższość, konieczność nawet wychowania publicznego dla młodzieży płci mężkiéj, w dzisiejszym zwłaszcza składzie towarzystwa jest prawdą niezaprzeczoną i powszechnie uznaną. Wychowanie domowe w wieku z dzieciństwa do młodości przechodzącym, za nadto jawne przedstawia niedogodności, abym je wyliczać potrzebował. W szkołach, w zakładach publicznych młody uczeń pozbywa się wielu z tych wad, które w mężczyznach najbardziej są rażące, nabywa tych przymiotów które mu są najpotrzebniejsze. Żądza nauki, upodobanie w pracy rozwija się w nim szczególniéj przy pomocy współzawodnictwa; chęć godziwa odznaczenia się, szlachetna

usilność przewyższenia innych w młodzieńcu nie staje się wadą, bo on przeznaczony w życiu dalszém do działania wśród obszernego zakresu, bo on ma obowiązek stać się nie tylko rodzinie swojéj, ale i krajowi użytecznym.

Jego miłość własna acz się rozwija, nie łatwo przechodzi w zarozumiałość znajdując ciągły opór, przeszkody, przeciwności, które powoli ją ucierają i hamują w zbytecznym wzroście. Zetknięcie się z towarzyszami różnego wychowania, stanu i obyczajów, jeżeli z jednéj strony przedstawia niebezpieczeństwo, z drugiéj staje się korzystném. Człowiek nie jest przeznaczony żyć tylko z tymi, którzy pod względem położenia społecznego i wykształcenia są mu równi i z którymi zawsze chciałby przestawać; nauka życia w tenczas się staje zupełną, gdy go naucza żyć z wszystkimi i żyć bez zarażania się złemi przykładami, wywierając dobry wpływ na drugich i przyjmując go. Młodzieniec wychowany w jednéj tylko atmosferze nabywa zwykle ciasnych wyobrażeń, staje się niedołęgą, nieukiem w praktyczném i społeczném życiu. Mężczyzna w dalszym ciągu lat w jakikolwiek zawód wstępuje, czy ziemianina, czy wojskowego, czy urzędnika, nie wybiera sobie swoich sąsiadów, towarzyszów broni, przełożonych lub podwładnych w urzędowaniu, a przecież od ścisłych stosunków z nimi uchylić się nie może i musi umieć z nimi przestawać. Szkoła więc publiczna nie przynosi mu tylko zasoby naukowe, umysłowe wykształcenie, ale i naukę życia. Wśród publicznego wychowania młodzieniec nabiera samodzielności i umysłu i charakteru, rozwija się swobodnie i staje się takim, na jakiego wrodzone zdolności wyrobić mu się dozwalają. W szkole zawięzują się zawczasu stosunki, które go do obywatelskiego życia usposabiają, a chociaż one nie zawsze są trwałemi, przecież do tego służą iż młody człowiek przyszłym współobywatelom już obcym nie jest, ani oni obcymi mu nie są. Wiem co szkołom, co zakładom naukowym zwykle i w znacznéj części zarzucają sprawiedliwie; oto, że w nich najgodniejsza pieczołowitości strona wychowania, wykształcenie religijne i moralne wydoskonalenie najczęściéj zaniedbywane bywa. Wina w tém jest, nie natury wychowania publicznego, ale kierunku jaki szkoły

i zakłady w naszych a szczególniéj niezbyt dawno ubiegłych czasach najpowszechniéj obierały. Tak jest, uczono w nich młodzież ale nie wychowywano; zwrócona była baczność na umysł, mniéj dbano o serce i o duszę. Ten błąd i niedostatek w szkołach publicznych uczuli rodzice, uczuli ludzie dbali o moralność przyszłych pokoleń. Wznoszą się teraz w wielu krajach naukowe zakłady, w których gorliwość o wychowanie moralne idzie w parze ze staraniem o wykształcenie umysłowe. Tak więc młodzieniec z pierwiastkowego domowego wychowania przejść koniecznie w właściwym czasie powinien do publicznego ażeby módz się wykształcić i stać się krajowi i sobie użytecznym, a to bez względu jakiego jest urodzenia, stanu i powołania. Mąż, to drzewo które, choćby szlachetniejszego i rzadkiego rodzaju, jeżeli zasadzone drobną gałązką w donicy, potrzebuje z początku starań i pielęgnowania, późniéj tylko na wolném powietrzu, pod gołem niebem, wśród obszernego miejsca może się stać silnem i rosłem.

Przeciwnie rzecz się ma z kobietą. Kobieta to kwiat, który ciągłéj pieczołowitości i opieki wymaga. Jeżeli wychowanie publiczne dla młodzieńców jest konieczném dla dziewic mniéj jest właściwe. Dla nich dom rodzicielski jest najlepszą szkołą, straż matki, najpewniejszą strażą; w nich rysy charakteru odznaczające ich płeć wcześniéj się rozwijają i wybitnemi się stają jako młodzieży płci mężkiéj; wad i przymiotów kobietom właściwych już w najmłodszym ich wieku dostrzeżesz. Mała dziewczynka już jest więcéj kobietą, aniżeli chłopiec mężczyzną. Otóż te wady najpowszechniejsze u kobiet, próżność, ciekawość, zazdrość, plotkarstwo, płochość, rozwijają się szybko i bujnie u dziewic przy styczności z wielką liczbą towarzyszek. Kobieta jest rośliną ciągnącą więcéj żywiołów życia z powietrza jak z ziemi, większéj też uwagi przyłożyć trzeba w jaką ją atmosferę przenieść można. Wiem ja że dla rodziców niezamożnych a dbałych o wykształcenie umysłowe swych córek, zakłady naukowe dla płci żeńskiéj nastręczają im dobroczynnego ułatwienia, lecz niedogodności od nich nieoddzielne łatwo każde baczniejsze oko postrzeże. Uważałem że młode osoby wychowane w takowych zakładach, albo zbyt wielkie przywiązują znacze-

nie do wszystkiego co pozorem wykształcenia ludzi i na tem poprzestają, albo jeżeli wyższemi uposażone są zdolnościami, nabywają śmiałości, zarozumiałości i z nauką jaką się zbogaciły, łączą do potężnych rozmiarów doprowadzoną miłość własną Zkąd to pochodzi? Oto z braku ciągłéj i bacznéj straży nad temi młodemi duszami, oto z poszukiwania więcéj pozorów jak rzeczy. W zakładach publicznych żeńskich więcéj dbają o talenta, o powierzchowność, o wiadomości jak o naukę i prawdziwe wykształcenie— to jest, więcéj o to wszystko z czem wystąpić na examinach publicznych, w czem i w domach rodzicielskich popisywać się można jak o to, czego umysł i dusza nabywszy w nieśmiałéj i skromnéj dziewicy nie łatwo objawia. Nie idzie zatem abym wszystkie żeńskie zakłady naukowe potępiał, lecz jeżeli takowe mają być użyteczne, mają wykształcić religijnie, moralnie na dobre żony, matki, obywatelki, niech zostają pod czujną, bogobojną, świątobliwą strażą. Niech ich przewodniczki wyzuwszy się z wszelkiéj próżności światowéj, od świata się oderwawszy, mają możność stania się prawdziwemi matkami powierzonéj im młodzieży, słowem niech to będą zakłady w zgromadzeniach zakonnych wychowaniu dziewic poświęconych. W takich to zakładach po klasztorach wychowywały się matki naszych praojców i wtenczas kwitła pobożność, cnota i chwała narodowa. Zapewne w owym czasie umysłowe wykształcenie u płci żeńskiéj było ograniczone, lecz czyż dziś dbałość o nie nieda się z pracą nad wydoskonaleniem moralném połączyć. W Polsce za czasów Sasów i Stanisława Augusta zaczęły się dopiero pensyonaty żeńskie otwierać, i to tylko w stolicy; prowadzone one były przez tak nazwane *madamy*. Otóż kiedy synowie matek wychowywanych w klasztorach umieli być i wojownikami i obywatelami, kiedy z nich wyrastali zwycięzcy pod Chocimem i Wiedniem, synowie matek wykształconych przez *madamy* stali się Targowiczanami i posłami sejmu Grodzińskiego. Wiedząc ile pierwiastkowe, domowe, macierzyńskie starania wpływają na młodociane umysły, zaprzeczyć nie można, że błędne wychowanie kobiet w przeszłem stuleciu znacznie się przyczyniło do następnego upadku moralnego.

Wiem ja że w owych zakładach naukowych zakonnych wszystko zależy od istotnéj wartości od stopnia ukształcenia i uzdolnienia Przełożonéj i jéj towarzyszek. Potrzeba aby ta, któréj się powierza przyszłe pokolenie żon i matek, mimo świątobliwości swego powołania, mimo rozdziału z światem nie wyzuła się z pojęcia i świata i praktycznego życia, aby więc i dla Boga i dla obowiązków światowego zawodu te młode kształciła dusze. Był czas nie daleki od nas, w którym za kratami klasztornemi zamykała się tylko boleść, rozpacz, lub pobożność ale zwykle z ubóstwem umysłowem połączona, dziś przy żywszym religijnym prądzie, przy wyrabiającéj się między młodemi rodaczkami naszemi zdolności do poświęcenia, gdy i znaczniejszych domów polskich córy, wykształcone, dobrze uczone, mogące być świata ozdobą, świata się zrzekają, dziś mówię, nie zabraknie na siostrach zakonnych zdolnych nauczać w zakładach naukowych, zdolnych im przewodniczyć.

Utwierdził nas w téj pocieszającéj nadziei popis wyżéj wspomniany w zakładzie PP. Urszulanek poznańskich odbyty. Każdy mógł się na nim przekonać, że żadna część wykształcenia naukowego zaniedbaną w nim nie jest, a nie jedna do nadspodziewanie znakomitego stopnia rozwinięcia doprowadzona; że tak nazwane talenta, do których rodzice zwykle zbyt wiele znaczenia przywięzują, jako to muzyka, śpiew, rysunek, starannie są uprawiane. Dodajmy że na tym popisie baczne i niewprawne oko mogło się o stanie moralnéj dusz co uprawy przekonać. Na tych młodocianych twarzach jaśniejących zdrowiem, wesołością i swobodą objawiała się wewnętrzna pogoda, niezakłócona zbytnie rozwiniętą miłością własną i wadami tak często w płci żeńskiéj we wczesnym nawet wieku napotykanemi. Te młode dusze, z skromnością i prostotą stanęły tam otworem przed Arcypasterzem Dyecezyi, przed zwierzchnią władzą naukową w kraju, przed rodzicami, przed obecnemi świadkami i na korzyść zakładu najprzychylniejsze wywołały wrażenie. Spodziewać się więc należy, że zakład ten coraz się pomyślniejszém powodzeniem cieszyć i coraz rozszerzać się będzie; nie mniéj że późniéj nieco urządzona i dziś otwierająca się szkoła w Poznaniu pod strażą Sióstr Serca Jezusowego (Dames du sacré coeur)

równie znakomite zasługi wychowaniu płci żeńskiéj oddą, godzi się zaś życzyć, aby podobne zakłady na ziemi polskiéj coraz się więcéj upowszechniały i mnożyły dla zapewnienia krajowi bogobojnego i wykształconego przyszłego pokolenia Polek.

Ogłoszenie konkursu wypracowane przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie potwierdzone w redakcyi przez Augusta hrabiego Cieszkowskiego, który powziął myśl tego konkursu i nagrodę wyznaczył, umieściliście już w waszym dzienniku. Jak widziemy program ten z wielką starannością obmyślony i wypracowany, mieści dostateczną liczbę skazówek dla pisarza chcącego się zająć tą ważną a trudną i mozolną pracą. Mozolną ona będzie, jeżeli ma odpowiedzieć dostatecznie wszelkim warunkom przez konkursowy programmat wymaganym lub życzonym. Ważną zaś się stanie raczéj pod względem historycznym jak praktycznym. Na rozwiązanie bowiem zadania dziś wszystkie umysły w krajach polskich zajmującego, żadnego nie wywrze wpływu przychodząc za późno. Dawniéj już wypowiedziałem w waszém piśmie moje przekonanie co do stósowności wyboru tego przedmiotu do konkursu w chwili obecnéj, dziś w niem jeszcze bardziéj utwierdzony zostałem, widząc jak w krajach polskich pod panowaniem rosyjskiem zostających sprawa włościańska rozwija się i spieszne czyni postępy. Nim konkursowa rozprawa o stanie włościan w dawnéj Polsce wypracowaną, osądzoną, wynagrodzoną i ogłoszoną zostanie już zapewne i w Królestwie Polskiem władza rządząca główne zasady urządzenia stosunków włościańskich położy, jeden z systematów na plac występujących wybierze i zadanie stanowczo rozstrzygnie. Jak wiadomo, trzy główne systemata są głoszone i popierane, oczynszowania, wieczystych dzierżaw i uwłaszczenia za pomocą wykupu. Zacne obywatelskie uczucie natchnęło szanownemu nagrododawcy i myśl ogłoszenia konkursu i wybór przedmiotu. Otóż, gdyby był rozbiór tych trzech systematów poddał pod gruntowne badania piszących, ofiara jego mogłaby była stać się użyteczną sprawie dziś się w kraju toczącéj; ale trzeba było na to konkurs spiesznie ogłosić i czas mu jak najkrótszy naznaczyć. Nie wątpię że wielka liczba współzawodników byłaby wystąpiła, nie w celu

osiągnienia zaszczytu nagrody, ale przez chęć przyłożenia się do zgruntowania i rozpoznania zupełnego zadania takiéj ważności i znaczenia. Stało się — będziem mieli historyą stanu dawnych włościan gdy już o losie dzisiejszych i przyszłych wyrzeczoném zostanie. Pierwsze więc twierdzenie programmatu, że historya stosunków włościańskich polskich dziś szczególniéj jest pożądaną u nas, gdyż w obecném położeniu nikt się jasno rozpatrzyć nie zdoła, kto się dokładnie z przeszłością nie zapozna, zdaje mi się obejmować w drugiéj swéj części niezaprzeczoną prawdę, kiedy w pierwszéj mieści smutne złudzenie. Już zapóźno rozpatrywać się w przeszłości, kiedy się kto dawniéj nią nie przejął, już dziś nie zdoła się ku niéj zwrócić uwagi i wejrzeń tych, którzy je tylko w obecności utkwili.

Co do układu samego programmatu, oceniając jego staranne obrobienie, parę przedstawiających się drobnych uwag nad nim przytoczę: „Co do historyi stanu włościańskiego należy ją doprowadzić aż do ostatniego podziału Polski“ mówi program lecz w tych słowach nie dość jasno tłómaczy, czyli autor żądanéj rozprawy ma w niéj objąć zmiany zaszłe i w prawodawstwie téj ludności wiejskiéj dotyczącém i w losie tych włościan, którzy po pierwszym i drugim podziale prześli pod panowanie trzech mocarstw ościennych.

Jeżeli ta jest myśl programatu, obraz zupełnym nie będzie gdy go się tylko do ostatniego rozbioru doprowadzi. Należało więc może ograniczając się w obrębie prawodawstwa i historyi włościańskiéj w dawnéj Polsce wyrazić, iż się żąda jedynie dziejów stanu włościan, którzy pod rządem polskim aż do ostatniego podziału zostawali. Następnie program zaleca aby pisarz konkursowy szczególnie troskliwemu badaniu poddał wpływ chrześciaństwa na stosunki włościańskie, panowanie Kazimierza Wielkiego, przeobrażenia zaszłe w następstwie rządów Ludwika, wpływ reformacyi i nowszych wyobrażeń. Albo żadnéj epoki wskazywać baczniejszéj uwadze autora nie należało, zostawując zupełnie wolne pole jego badaniom i przenikliwości, albo pominąć nie wypadało bardzo ważnéj w historyi ludu i rolnictwa w Polsce epoki wprowadzenia prawa magdeburskiego.

Nadto godziło się życzyć aby program był pewien nacisk położył na prawodawstwo z czasów Olbrachta, które stan włościański wyzuło z praw do tego czasu posiadanych i w istocie najprzeważniéj wpłynęło na dalsze jego losy. Nakoniec dodajmy i tę uwagę, że program w wymienieniu rozmaitego rozdziału dóbr ziemskich przemienił porządek dotąd przez wszystkich pisarzy polskich używany i żąda zastanowienia się najprzód nad dobrami szlacheckiemi, potem nad królewskiemi nakoniec nad duchownemi. Porządek dotąd w zwyczaju utrzymywany i stawiający w pierwszym rzędzie królewszczyzny potem dobra duchowne, nakoniec szlacheckie, zdaje się najwłaściwszym i najlogiczniejszym pod względem hierarhicznym, chronologicznym i historycznym gdy mowa o dawnéj Polsce. Program zaś sam tylko wzgląd numeryczny miał na uwadze, który w pierwiastkowych czasach narodów także by za dawniejszym porządkiem przemawiał.

Poszyt czwarty Przeglądu Poznańskiego ukaże się dziś, jutro. Jako artykuły wstępne mieścić będzie ważną rozprawę Felixa Bentkowskiego o orderach i znakach honorowych w Polsce wypracowaną z polecenia komissyi spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego. Dołączony do niéj jest w przypisku życiorys autora jako zasłużonego pisarza i profesora uniwersytetu. Drugim z porządku artykułem jest tłómaczenie z francuzkiego podróży Juliana Ursyna Niemcewicza wraz z Kościuszką w roku 1796 z Petersburga do Szwecyi odbytéj, w drodze do Ameryki. Rękopismu téj podróży dostarczyła redakcyi Biblioteka Rogalińska. Tłómaczenie to w osobnych odbiciach wyjdzie także na widok publiczny. Oprócz kilku recenzyj i kroniki religijnéj obejmuje ten poszyt obszerną rubrykę spraw publicznych a w niéj sprawozdanie starannie obrobione z walnego zebrania Towarzystwa Kredytowego Poznańskiego. Z poezyi mieści wyborną satyrę przeciw grze i karciarzom Konstantego Gaszyńskiego, którą Towarzystwo Przyjaciół Nauk nagrodą konkursową uwieńczyło. Pierwszy tom „ dzieł Joachima Lelewela wyszedł z druku nakładem Żupańskiego. Opatrzony jest starannie wyrobionemi mappami z których jedna ozdobiona jest herbami rodów, które

panowały w Polsce i wszystkich dawnych województw. O tym tomie i o następnych warto będzie poźniéj obszerniéj pomówić.

Wiedeń w lipcu.

Gdybym musiał zdać wam sprawę z życia tutejszego w tem mieście, byłbym niezawodnie w niemałym kłopocie, albo musiałbym po prostu zamknąć się w milczeniu. Tak wyludnionym i głuchym, jak tego lata, Wiedeń zdaje się że nie był oddawna. A wszakże w pobliskich okolicach jak twierdzą tameczne głosy, ludność przybyszowa o połowę przynajmniéj mniejsza niż w przeszłym roku. Pogodzić te sprzeczne na pozór twierdzenia łatwo. Mieszkających w Wiedniu po przyległych wioskach, jest bezwątpienia mniéj jak dawniéj; lecz ci co siedzą w mieście, pokazują się również daleko mniéj na ulicach i miejscach publicznych, już dla upału, już przez wzgląd na wydatki. Oszczędność przebija się wszędzie i we wszystkiem. Uskarżania się na drogość i na niedostatek pieniędzy, stały się prawie ogólnemi. Są to w znacznéj części dalsze następstwa szału, w którym żył Wiedeń w téj porze roku, przed dwoma laty. Wtedy zda się nie jednemu że dość pójść na giełdę żeby zostać panem. I niejeden złapał tyle że mógł lato wesoło spędzić *recumbans sub tegmine fagi*. Szczęśliwsi kąpali się w dalszych w granicznych, lub krajowych wodach, lub wędrowali na różnego rodzaju wycieczki. Były pieniądze, albo wiara przynajmniéj w łatwość ich nabycia, był dobry humor, i wesołe życie. Dziś zupełnie co innego. Znikły złudzenia, zjadły się łatwo zebrane zasoby; za nimi poszły długi, lub skromna choć późna przezorność. Jednem słowem „trzeba się oszczędzać“ stało się hasłem bezwyjątkowem. I nareszcie jakby za ukaranie ostatnie, za owe stare grzechy, Pan Bóg zesłał upały niesłychane. Były dni, w których bez przesady, gołą nogą na bruk wyjść byłoby rzeczą niepodobną.

Zresztą postać Wiednia może tego lata, i dla tego spokojniejsza, że wiele miejsc publicznych gdzie ludności ruch widzieć było można, albo upadło, albo się

do dni świątecznych, w przyjęciach ograniczyło. W *Volks garten* muzyka Straussa ściąga dwa razy na tydzień nielicznych i prawie zawsze tych samych słuchaczów. Czasami publiczność ta zdaje się być tłumniejszą, miarkując po płci pięknéj. Lecz przypatrując się zbliska dostrzedz można, że zaproszone a może i najęte przez gospodarza, tego rodzaju wabidła, nieodpowiadają celowi. W przyległym *Paradies-garten* w dni tylko świąteczne, widzieć można pewien ścisk prawdziwéj miejskiéj ludności. W innych dniach stoją stoliki i krzesła próżne i muzyka wygrywa smutne i chrapliwe melodye dla wróblów. Na *Wasserglacis*, gdzie dawniéj odbywały się liczne kolorowych lamp popisy, panuje w teraźniejszych wieczorach głucha cisza, przy bladawem świetle rewerberów. Po innych ogrodach zabaw mało, i jeżli się nie mylę, w żadnym z nich jeszcze dotąd nie obchodzono najweselszego ze wszystkich świąt, święta Stéj Anny.

Po za miastem przebija się niemniéj wyraźnie to samo ogólne, smutne, lub ponure usposobienie. W *Hitzing* czwartki i niedziele mają u Dommayera zaledwo cień dawniejszy swéj wesołości. W ogrodzie Schönbrunnskim, sama przechadzka piesza; powozów z liberyą przy wejściu prawie nie widać. W Baden dwa dotąd były wielkie zebrania; jedno w Parku, drugie w Sali kąpiel przy Bergstrasse. Pierwsze odbyło się jak zwykle z muzyką, przy oświetleniu olejnem: na drugiem tańczono przy świetle gazu. W obec wiele pyłu, zaduch nieznośny, ubiory dziwne, lub dziwaczne, i twarzy pięknych brak zupełny. W przeszłym roku i pod tym ostatnim względem, Baden wyglądało lepiej. Zyskało wszakże pod innym względem, pod względem własnego upiększenia. Park wygląda przyzwoiciej. Rozszerzenie go pod górę, otworzyło na wszystkie strony, nowy i piękny widok. Swiątynia Eskulapa, świeża; lecz za mała i bez stylu. Zdaleka wydaje się być budką żołnierską. Altana na przyległéj górze, znowu pod nazwiskiem *Altany Saphira*, przybrała lepszą postać. Odnowiono napisy, oczyszczono ściany, pomalowano ławki, i postawiono na straży starego żołnierza, który służył przez dwadzieścia kilka lat u sławnego Krezusa Barona *Dietrich*, i u jego córki księżnej Sułkowskiej; a potem

odprawionym został przez opiekuna młodego księcia Sułkowskiego bez chleba. Ojciec tego chłopca, jest, jak wiadomo w Ameryce. Choroba posuwająca Saphira śpiesznym krokiem do grobu, jest głównym przedmiotem rozmów, i daje towarzystwu badeńskiemu minę jeszcze posępniejszą.

W Brühl przy Mödling życie idzie trybem zupełnie wiejskim. Przechadzka jest jedyną rozrywką. W tych dniach był wszakże na górze Lichtenstein, bal prawie wiedeński. Tańczono do wschodu słońca.

Opera wiedeńska rozpocznie się dopiero we wrześniu. Roboty idą powoli. Powiadają, że loże i krzesła, odnowionemi zostaną. Nowy balet pozostanie za kulisami, gdyż Panna Legrain wyjeżdża z końcem przyszłego miesiąca do Paryża.

Berlin w lipcu.

Odezwać się w towarzystwie o powietrzu i pogodzie jest to podawać się w podejrzenie, że się nie ma o czém inném mówić, czyli że się próżno ma w głowie. A ja, nieszczęśliwy kronikarz berliński, zabieram się już do trzeciego listu, aby prawić czytającéj publiczności, jaki wpływ na umysł, życie i stosunki towarzyskie mieszkańców Berlina, wywierają klimat i zmiany powietrza. Mamci ja wprawdzie czém zasłonić się przed powyższym sądem, pisząc o zmyśle czucia, który, będąc głównym pośrednikiem związku człowieka z otaczającą go naturą, zmusza mię do mowienia o powietrzu. Ale i bez względu na to, nie pojmuję wcale, dlaczegoby właśnie mówić o powietrzu zasługiwało na sąd powyższy? Bo w rozmowach towarzyskich powtarza się ustawicznie mnóstwo konwencyonalnych słów, frazesów i uwag tak czczych i niedorzecznych, że obok nich wzmianka o powietrzu, zawsze prawdziwa, bo przez czucie chwilowego stanu jego objawiona, wygląda jak zdanie rozumne. Niemasz nadto człowieka jakiegobądź stanu, zatrudnienia i wykształcenia, któryby nie myślał i nie mówił codziennie o powietrzu, które go wszędzie i ciągle otacza, wszędzie i ciągle działa na jego czu-

cie, wpływa na usposobienie, pracę, zajęcie, zabawy, jest warunkiem jego zdrowia i życia, niezbędniejszym niż jadło i napój, bo bez tych może żyć dni kilka, bez tamtego nie mógłby żyć i jednej chwili.

Cóż więc naturalniejszego nad to, że czucie na stan powietrza objawia się tak często w słowach prywatnéj i towarzyskiej rozmowy? Czyż zmian jego nie zapisują codziennie wszystkie większe europejskie dzienniki? Czyż niemasz o niém mowy we wszystkich opisach podróży? Czyż nie było niedawno temu obszernych o niem rozpraw w prasie i parlamencie angielskiém z powodu wyziewów Tamizy? Czyż nie zajmują się niém akademie i towarzystwa naukowe? Czyż nie urządzono w starym i nowym świecie komunikujących ciągle z sobą stacyj meteorologicznych do robienia nad niem nieprzerwanych obserwacyj?

Przywiedzione więc na początku zdanie, chociaż powszechnie powtarzane, nie ma sensu. Nie rozmowa o powietrzu sama przez się jest nudną, lecz sposób w jaki się o niem mówi. Tak się rzecz ma z każdym innym przedmiotem rozmowy, z tą różnicą, że o powietrzu ludzie zwykle najmniéj wiedzą co mówić, a w nieświadomości téj wstydzą się powtarzać zwyczajnych ogólników. Oto właściwa przyczyna pomienionego frazesu, którym próżność osobista lub towarzyska oddala od siebie świadectwo własnego ubóstwa, zwalając je na pierwszą lepszą ofiarę, która miała nieszczęście wspomnieć pobieżnie o jednym z najgłówniejszych warunków życia ludzkiego.

Po takiej obronie wszystkich głuptasów, poważających się wbrew zwyczajowi dowcipnych kół towarzyskich rozmawiać o powietrzu, śmiało już zapisuję, że z miesiącem czerwcem skończyła się pora, nie powiem pięknego, lecz stałego powietrza w Berlinie. Pięknych dni nie mało zapewne jeszcze będzie w ciągu tego lata ale całych tygodni jednostajnéj i przyjemnej pogody nie spodziewać się jak w jesieni. W pierwszéj połowie bieżącego miesiąca nie było jednego dnia podobnego drugiemu, nie było jednego całego dnia bez odmiany. Deszcz prawie codzień; różnica ciepła w rannych i wieczornych a południowych godzinach sześć do ośmiu stopni; wiatr ze wszystkich kątów.

Bo w Berlinie wiatr nigdy z jednej strony nie wieje, lecz zawsze z kilku stron naraz. Przyczyną tego zajmującego fenomenu jest najprzód kierunek ulic, które wyprowadzone są w większéj części miasta jakby naumyślnie z ścisłością prawie matematyczną w liniach, czterech głównych stron świata; powtóre; regularne w skutku tego kierunku przecinanie się ich w prostym kącie. Wiatry zaś, które tu najczęściej panują są wschodni i zachodni, potem północny, rzadziej południowy. Każdy więc z nich ma w biegu długich, prostych, przestwornych ulic jakby przyrodzone swoje koryto. Gdy zatem strumień jednego z nich, np. północnego, wpadnie w takowe, pędzi w niem z całą swobodą i siłą, dopóki się nie złamie o rogi jednėj lub drugiej przecznicy. Skręca się wtedy w nią na prawo lub na lewo, i stósownie do tego dmie w tém nowém korycie już nie jako wiatr północny, lecz jako wschodni lub zachodni. Uzurpowanego kierunku tego trudno mu jednak długo utrzymać, bo na rogach najbliższéj przecznicy musi stoczyć bój z inną kolumną wiatru, walącą się z północy. Ta jeżeli siłą swoją nie uniesie go od razu z sobą, powstaje wir i odmęt nakształt trąby powietrznėj. Sławne są też te rogi ulic berlińskich. To uprzywilejowane stanowiska zamieci, kurzawy, przeciągów powietrza; to wiecznotrwałe siedliska zaziębień, katarów, reumatyzmów; to wyszukane miejsca przygód spacerowych, łamania parasoli, zrywania z głów męskich kapeluszy, podnoszenia sukień kobiecych itd.

Gdzie tyle zmian powietrza, tam i czucie na nie większe. To też nie masz zapewne ludzi dotkliwszych na każdy przeciąg powietrza, jak berlińczycy. Gdziekolwiek się znajdują, na dworze lub w domu, w ogrodach lub lokalach publicznych, w kościele lub teatrze, wszędzie głównie o to chodzi, aby się tak umieścić, żeby nie było przeciągu powietrza. Od niego tak się strzegą, jak od morowéj zarazy. Mają balkony u domów w mieście, kolonady i balustrady u willi, lecz tych nie używają do siedzenia, tylko zastawiają je drzewkami i kwiatami, a jeżeli używają, to tak je otoczą parawanami lub innemi zasłonami, że przeciągu powietrza wprawdzie nie mają, ale nie mają także jego przewiewu, a wyglądają na świat, jak z loży teatrowéj na scenę. Tak

samo postępują, zasiadając w altankach czyli „laubach“. Zieloności tak mało, bo lauba jest pospolicie z drzewa lub z płótna, ale ma tę zaletę, że stoi w ogrodzie, albo przynajmniej ma widok na ogród, widok prześliczny bo lauba ze wszystkich stron zamknięta, a drzwi służą razem za wejście i okno.

Lokale publiczne, których bramy, drzwi i okna nie byłyby należycie opatrzone przeciwko przeciągowi powietrza, straciłyby w krótkim czasie większą część odwiedzającéj je publiczności. Broń Boże! jeżeli kiedy przypadkiem drzwi i okna staną otworem naprzeciw siebie, chociażby się to zdarzyło podczas lata, *Es zieht* odezwą się naraz głosy ze wszystkich stron. Zwaryowali Niemcy, pomyślałem nieraz w duchu. Rosyanin zaś pewien powiadał mi, że początkowo wcale nie rozumiał, co ten wykrzyknik niemiecki znaczy; i gdy mu go pierwszy raz tłumaczono, rozgniewany, mniemając że z niego żartują, „głupi naród wraz z wszystkiemi swymi filozofami, odpowiedział wręcz, który ma jeszcze podobne zabobony i przesądy“. Mówił mi, że i póżniej nie mógł się przekonać, aby nagły przeciąg nawet odmiennego powietrza mógł być zdrowiu człowieka szkodliwy, skoro nie jest nią tak nagła zmiana i różnica temperatury w łażniach ruskich. Prawda, że i łażnia ruska dreszczem przejmuje skórę niemiecką; używa się też tylko jako środek lekarski, i to taki, z którym się trzeba niezmiernie ostrożnie obchodzić. Są Niemcy, którzyby nawet dla uratowania życia do tego środku się nie uciekli.

Większe jeszcze niż w lokalach publicznych zachodzą skargi na przeciąg powietrza w teatrach i salach koncertowych, bo uczęszczająca do nich wyższa publiczność mniej jeszcze jest zahartowana, i delikatniejsze lub wymyślniejsze ma nerwy. Kto póżno przychodzi na teatr lub na koncert, może być pewien, że od słuchaczy blisko drzwi siedzących, zawianych wpuszczonem przez nie chłodniejszém powietrzem, będzie skrycie a czasem i głośno powitany nienajgrzeczniejszemi wykrzyknikami.

A cóż to dopiero w hotelach i restauracyach, gdyby się kto miał poważyć, otworzyć okno podczas obiadu, nie mówię zimą, lecz latem, dla zbyt wielkiej duszności w sali, *Fenster zu* krzykną na niego chórem, jak-

by paraliżem mieli być rażeni, wszyscy współbiesiadnicy. Byłem razu jednego świadkiem, gdy pewien z rodaków, człowiek jeszcze młody, silnej budowy, czerstwy, rumiany, lubo przestrzeżony odemnie, odemknął w połowie obiadu najbliższe od siebie okno sali. Bliski sąsiad jego, german w pełni wieku, dobrej tuszy, ale trochę otyły i łysy, zapewne urzędnik jaki, który siedząc przez większą połowę dnia w biórze nie miał pojęcia o otwieraniu okien, wstał z miejsca, i nic nie mówiąc zamknął okno, które rodak mój był otworzył. Zrażony nieco tym postępkiem w najlepszéj chwili objadu szanowny rodak przybrał twarz obojętną, ale po krótkiéj chwili, nie mogąc znieść duszności w sali, bo przywykł był żyć więcéj na wolném powietrzu niż pod dachem, podniósł się z miejsca i znowu okno odemknął. Sąsiad je swoim sposobem zamknął. Podrażniony do żywego krzyknie na niego rodak: *Kreuz Donnerwetter, lassen Sie doch das Fenster auf.* „Kreuz Donnerwetter, odpowie niezmięszany sąsiad siadając na stołku z flegmą, *lassen Sie das Fenst.r zu.*“ Powstała wrzawa przy tabldocie. Rodak odwołał się do zgromadzonych gości. Goście odrzekli jednogłośnie, aby okno było zamknięte. Poddawszy się pod ich sąd, rodak musiał przestać na téj uchwale. Ale „widziałem z twarzy, co on w sercu knował, zaczerwienił się od złości“ —; wrzuciłem mu więc szybko na ochłodzenie tę myśl do głowy: że sąsiad postąpił sobie rzeczywiście bardzo godnie, zamykając okno osobiście, mogąc je kazać zamknąć kelnerowi że przez to uchylił od siebie nawet pozór obrazy; że w ogóle obszedł się jako człowiek dobrego umysłu i wychowania. Udobruchał się mój rodak, zjadł do końca obiad z apetytem; przy kawie i cygarze zbliżyliśmy się nawet do sąsiada, który z tego niezmiernie zadowolony, zaczął nam teoretycznie wykładać i przykładami stwierdzać, jakie to szkodliwe skutki na zdrowie człowieka wywierają nagłe zmiany i przeciągi powietrza. Rodak nasz nie otwiera odtąd okien przy obiedzie.

Ale za większe jeszcze niebezpieczeństwo uważają Niemcy: spać przy otwartem oknie. Kto to czyni, tego mają za szaleńca lub zuchwalca, bo naraża się, samochcąc i bez powodu, na kalectwo a częstokroć i na śmierć. Zdarzyło się tu przed parą tygodniami, że pe-

wna kobieta, śpiąc przy otwartem oknie, obudziwszy się rano, zapytała, czy to jeszcze nie dzień? Nieszczęśliwa zaniewidziała w nocy. Przypadki takie powtarzane przez dzienniki, działają tak silnie na lękliwe wyobraźnie, że przedsiębrane ostrożności przy zabieraniu się do spoczynku czy to dniem czy nocą przechodzą częstokroć w śmieszność. Zamykają się nie tylko okna ale i drzwi pokoju, w którym się w dzień spoczywa (bo Niemcy lubią sypiać godzinę jednę dwie i popołudniu); a w pokojach sypialnych, na które się wybierają zwykle ostatnie kąty mieszkania, tak zwane „schlafkabinette“, najmilsze kiedy bez okien, zatykają się nawet dziurki od kluczy u drzwi, aby zapobiedz najmniejszemu przeciągowi powietrza. Wyobraziwszy sobie wreszcie w tych kabinach morfeuszowych łoża z ogromnemi betami, pierzynami, spodkami i poduszkami, w których spoczywający zanurza się po głowę pokrytą szlafmycą, i wypaca się każdej nocy przez kilka godzin, gorzej niż w łaźni ruskiej; łatwo pojmiemy, dlaczego czucie berlińczyków na każdą zmianę temperatury i przeciąg powietrza tak jest drażliwe. Używanie materaców i kołder upowszechniło się dotąd tylko w hotelach, chociaż i tu są piernaty; w domach prywatnych nie łatwo do tego przyjdzie, bo przyzwyczajenia, które się stało drugą naturą, nie zmienią od razu najzbawienniejsze przepisy hygieniczne.

Równą ostrożność zachowuje berlińczyk zimą i latem a raczéj z każdą odmianą powietrza, w ubieraniu się. Toaleta jego nie ma żadnego, ani miejscowego ani narodowego charakteru. Studyów do historyi kostiumów i mód nikt robić nie przybędzie do Aten nad Sprewą. Ostatnie zabytki jakiegoś udzielnego stroju, przyrządzonego zawsze z francuska, należą do czasów Fryderyka W. Dzisiejszy ubiór męski jest mięszaniną francuskiego angielskiego i rosyjskiego: francuskiego latem na ulicy i w salonach przez cały rok, angielskiego wiosną i jesienią, rosyjskiego zimą, zwłaszcza podczas tęgich mrozów. Krój francuzki przeważa. Berlińczyk, mimo niezmiernie zmiennego i różnego klimatu swego, chciałby koniecznie ubierać się wedle klimatu francuzkiego. Anglicy uleczyli go po części z téj słabości i próżności, narzucając mu na chłodniejsze pory roku własny ubiór,

daleko właściwszy i praktyczniejszy. Przyswoiwszy sobie ubiór angielski, berlińczyk, w nowéj téj próżności, chciałby już całkiem zastósować się do klimatu angielskiego. Łéczą go z niej Rosyanie, dowodząc mu bardzo dotkliwie, że przy dwudziestu stopniach zimno zmarznie, jeżeli nie przywdzieje na siebie ubioru rosyjskiego. Nie ma nad czem myśleć, trzeba zrzucić pychę z serca, i w koncercie mód europejskich grać wedle okoliczności na wszystkich strunach arfy Eola. Kobiety, stalszego charakteru, pozostały wierne Francyi. Moda paryska jest w ich stroju panującą.

Są jednak w tèm kosmopolityczném ubieraniu się pewne miejscowe właściwości, które nie wyłamują się wprawdzie z pod wpływu panującéj mody, ale zawisłe od klimatu i drażliwości czucia mieszkańców na zmiany powietrza, a poniekąd i od pewnych wyobrażeń i przesądów towarzyskich, mają zawsze jakąś charakterystyczną udzielność.

Berlińczyk jak we wszystkiém tak i w ubiorze swym powoduje się refleksyą. Jèj i drażliwość czucia na zmiany temperatury ulegać musi. Środkowa droga jest w jego przekonaniu najlepszą. *Medium tenuere beati.* Jak więc zewnętrznego kroju panujących mód nigdy nie przesadza, lecz owszem zawsze go modyfikuje, tak i wewnętrznych istotnych zalet ubioru używa tylko z zastanowieniem. Futro porą zimową jest bardzo praktyczną odzieżą; dla berlińczyka chodzącego po mieście jest za ciężkie i za gorące; zdjąwszy je, wchodząc do chłodnego teatru, publicznego lokalu lub mieszkania, mógłby się zaziębić i nabawić się kataru lub reumatyzmu; rzadko go więc używa, najczęściéj w podróżach. Znana jest anegdota: *Johann, gieb mir mein n Pelz,* to jest, płaszcz sukienny wiatrem podszyty z futrzanym kołnierzem. Liczne handle futer, które istnieją w Berlinie, pobankrutowałyby w jédnem roku, gdyby sprzedaż ograniczała się do samych berlińczyków.

Podobnie się rzecz ma z ubieraniem się podczas lata. Ubiór z lekkich materyj bardzo jest miły; prawda, ale dni piękne i ciepłe w równéj mierze bardzo rzadkie, temperatura zmienna, wieczory bywają chłodne, wiatr, deszcz; możnaby się zaziębić i nabawić kataru lub reumatyzmu; lepiej być ostrożnym i ubierać się

zwyczajnie, a przynajmniej nosić zawsze z sobą od przypadku ciepły paletot na ramieniu.

Zwyczajny więc ubiór berlińczyka przez cały ciąg roku, nawet podczas największych upałów letnich, bywa z wełny W całkowitem latowém ubraniu rzadko kogo spotkać na ulicy z klas średnich i wyższych; będzie to chyba wyrobnik lub cudzoziemiec. Na zwyczaj ten wpływa ustalony mianowicie pomiędzy urzędnikami przesąd, że ubiór taki jest dla nich nieprzyzwoity, nawet po za obrębem urzędu i bióra. A że urzędników liczyć tu można na krocie, więc wpływ ich rozciąga się i na inne wyższe klasy towarzystwa, na profesorów, nauczycieli, literatów, artystów, lekarzy, kupców, fabrykantów, majstrów, nawet na czeladników, z których wszystkich większa część mnięma, że straciłaby coś z swojéj powagi, gdyby się publicznie, na ulicy, na przechadzce, w ogrodzie, w restauracyi, nie mówię już w teatrze, pokazała w latowém ubraniu. Mniejsza o pantalony i kamizelkę, byle przynajmniej surdut, a w ogóle zwierzchnia szata, były sukienne. Widać więc że w tym punkcie, podobnie jak w używaniu betów zwyczaj silniejszy jest od refleksyi. Płci żeńskiej przyznać należy, że i w tym względzie okazuje więcéj niezawisłości, ubierając się wedle dogodności i mody.

Nie będę się dłużéj nad tym przedmiotem rozwodził, bo nawet bursz niemiecki stał się tu filistrem, porzuciwszy dawny swój romantyczny, chociaż trochę dziwaczny kostium, przy długich włosach, otwartych piersiach i wyłożonym od koszuli kołnierzu. Ucywilizował się! Ale wygląda nie wiem do czego podobnym, gdy porą zimową, zamiast płaszcza lub paletotu, włoży na zwyczajny męski ubiór wielką wełnianą kraciastą chustę z frędzlami w trzy rogi złożoną, jak to kobiety czynią i wyobraża sobie, że jest w angielski plaid przystrojony.

Nie będę nic mówić o bawełnie w uszach, o respiratorach, o obwiązywaniu gardła grubemi szalami, o wełnianych kaftanikach, pończochach i innych „inexpressiblach“ na gołem ciele, o kaloszach, bamboszach, futrzanych butach, szlafmycach, szlafrokach, itd. Używają tych rzeczy i gdzieindziej, ale w ilości i w sposobie ich używania napotyka się tu na pewne praktyki i zwyczaje tak osobliwe i do wiary niepodobne a na oko

śmieszne, że mimowolnie zadaje sobie człowiek pytanie: czy sławny profesor hallski Leo nie ma w gruncie racyi, nazywając dzisiejsze pokolenie *„skrofuloeses Geschlecht?“*

Kończę na tém zarys objawów i wpływów zmysłu czucia, wziętych z odnoszenia się tegóż do niektórych żywiołów przyrodzenia. Wypada mi jeszcze rozpatrzyć się w niektórych funkcyach jego w obrębie świata ludzkiego. Z zadania tego będę się starał wywiązać w następnym liście.

Paryż w lipcu.

W tym miesiącu budowlo-mania główną kwaterę swoją przeniosła do ogrodu i pałacu Tuileryjskiego. Łomot maszyn parowych, turkot ładownych wozów, huk młotów, krzyk ludzi, rżenie koni, kurz i wrzawa rozchodzi się na całe miasto z cesarskiego pałacu. Ogród wygląda jak po trzęsieniu ziemi — pałac jak po kozackiej wizycie.

Siedząc wczoraj pośród ogrodowych rozwalin, patrząc na owdowiałe piedestały, powyrywane kwiaty, wydeptaną trawę, wyschłe fontanny i ten gmach popodpierany rusztowaniem jak chore ciało wzięte w chirurgiczne kleszcze — dziwne miałem widzenie. Zdało mi się, że cofnięty o pół wieku, wszedłem tu nazajutrz po jakiej uczcie Dyrektoryatu, Konsulatu lub Cesarstwa. Z huku młotów i taranów wyłoniła mi się śpiżowa zwrotka Carmagnoli *„Vive le son, vive le canon!“* fałszywy pisk studziennego kółka powtórzył pokorne hymny, któremi we dwadzieścia lat później witano Ludwika XVIII, zgrzytanie maszyn przywiodło na pamięć koncerta Ludwika Filipa — iskry lecące z parowego kotła przypomniały fajerwerki i wszelkich kolorów illuminacye, któremi kolejno pałały te drzewa na cześć jakiegoś władcy lub władzy.

„Alles ist schon einmahl da gewesen“ zawołałem z rabinem Gutzkowa, i przywoławszy wyobraźnię do porządku, zacząłem przechodzić myślą dziwne koleje tego pałacu co widział tyle zmian — co z biednéj fabryki

Piotra Essarta, która jeszcze w 1342 roku wyrabiała dachówkę, stał się monarszym zamkiem i pod swym dachem wyniańczył dziesięć królewskich pokoleń. Królestwo, Rzeczpospolita, Cesarstwo, Restauracya — znów Rzeczpospolita i znów Cesarstwo — wszystko tędy przeszło, i Bóg wie co przejdzie jeszcze — bo we Francyi pałac królewski jest tylko Władzy gospodą, w któréj się popasa, ale nie mieszka.

Założony około 1566 roku przez Karola IX; Katarzynę Medicis, Ogród Tuileryjski dla publiczności otwartym został dopiero potężną ręką rewolucyi w 1790 roku. Przedtem, tylko wybrani mogli oglądać opasane pałacowym murem ptaszarnie, stawy, menażerye i szklarnie. Tak tu, jak wówczas u bramy każdej oazy, rozkazano warcie nie puszczać psów i ludu.

Prawda, że Rewolucya nie miała czasu trudnić się ogrodnictwem — że kląby tuileryjskie częściéj krwią niż wodą skrapiała, a ścieszki nie żwirem ale prochem posypywała; że po oblężeniu Konwencyi 13 Vendemiera, po uwieńczeniu Marata 24 kwietnia 1793, po obchodzie święta *de l'Etre-Suprême*, ogrodnicy musieli tu mieć nie mało roboty — ale gdyby nie ta inwazya, Paryżanie do dziś dnia nie umieliby chodzić po królewskim ogrodzie. Żeby go poznać, trzeba było wydeptać kwiaty — żeby go pokochać, trzeba było żyć z tej ziemi. — Zrobiwszy z niej najprzód sejmową salę a potem mamkę, która ich podczas głodu karmiła, po minionéj burzy Paryżanie stroili ją i pieścili jak ulubioną jedynaczkę. Za Konsulatu lud począł się dopominać upiększenia swego ogrodu; na jego żądanie zniesiono doń wszystkie posągi z okolicznych zamków; na jego żądanie, zwalono mur i zastąpiono go kratą; ażeby jemu dogodzić, pierwszy Konsul zostawszy Cesarzem, pod swą szczególną pieczę wziął ogród pałacowy, który wtedy był tylko rozległem polem jarzynnem, czyli *tabulą razą* i dla tego właśnie orle oko pańskie na niém się zatrzymało. Na skinienie, zwieziono drzewa i kwiaty, zasadzono kląby, szpalery, postawiono rząd nowych posągów, i odmłodzony ogród straciwszy pamięć przeszłości mówił tylko o potędze cesarza.

Toż samo stało się z pałacem.

Napoleon Wielki, który nie lubił pamiątek, i świat cały chciał mieć tylko „zgotowaną do pisania kartą“ powziąwszy zamiar wstąpienia na tron, a nie mogąc się zbliżyć do Tuileryów wtedy jeszcze przepaścią od Luxemburga przedzielonych, wziął się na sposób: przezwał królewski pałac pałacem „Rządu Narodowego“ i posłał dwóch architektów, żeby mu tam mieszkanie przygotowali.

Trzymając się instrukcyi, architekci pod pozorem czyszczenia, zatarli wszystkie ślady monarchii i anarchii— zniszczyli tak dobrze ślady królów jak godła i sentencye, którémi rewolucya zapisała pałacowe mury.

Skoro już wszystko było gotowe, skoro w Tuileryach znikły lilie i ślady wolności — skoro nowe kwiaty zakwitły w pałacowym ogrodzie, a Francya czekała pana — nagle otwarły się bramy, zagrzmiały działa, milion ludu wrzasnęło „niech żyje!“ i pierwszy Konsul w odkrytéj karecie, ciągniony sześcioma białemi końmi, otoczony świetnym sztabem wjechał na pałacowy podworzec. Tam siadł na koń, stanął, i kazał nieść przed sobą postrzelane w świetnych bojach chorągwie. Wielka to była chwila, kiedy młody wódz z odkrytą głową i pochyloném czołem patrzał na defilującą chwałę Francyi — kiedy cały zastęp niezwyciężonych gorejący miłością ojczyzny drżał i topniał ze szczęścia, widząc te sztandary co go do zwycięstwa wiodły, a lud pijany zapałem klaskał i szalał z radości. W téj chwili zwycięzca Egiptu był wielki jak piramidy z których czterdzieści wieków patrzało na jego czyny. Chwila ta jest niezawodnie najpiękniejszą z dziejów pałacu Tuileryjskiego.

Po téj paradzie Napoleon śmiało rozgościł się w sypialni Ludwika XVI, a Józefinie oddał pokoje królowéj.

Przez cały rok następny zatoczone przed pałac działa odpowiadały echem zwycięstwom, którémi pierwszy Konsul świat zdumiewał. — Widząc go u szczytu, chwały, nieprzyjaciele uknuli spisek na życie bohatera. — Pewnego wieczora Józefina i publiczność tłumnie zebrana w Operze, naprożno oczekuje Napoleona — wieść o zamachu, o śmierci zaczyna krążyć po sali trwoga i niepokój ogarnia wszystkich... w tem wchodzi pierwszy Konsul nie bledszy jak zazwyczaj, i odpowiada

uśmiechem na namiętne oklaski. Któż się mógł domyśleć, że ten spokojny i uśmiechnięty człowiek przed pięciu minutami uszedł śmierci. Ci co wszystkim podobnym wypadkom naturalnych przyczyn szukają, mówią że wielki człowiek, który miał porządek świata przemienić, zawdzięczał ocalenie życia tylko pijanemu woźnicy, co niezwykłym galopem przewiózł go około maszyny piekielnéj zastawionéj w bramie Karuzelu, i tym sposobem pęknięcie jej uprzedził.

Przyniesienie Napoleona po tym zamachu, na rękach ludu, w nocy, pośród pochodni i wiwatów, to druga piękna scena z dziejów Tuileryjskiego pałacu.

Dni entuzyazmu, zwycięstw i chwały, minęły jak błyskawica; 13 marca 1814 roku już było po cesarstwie. Biała chorągiew powiewała na Tuileryach; w sali tronowéj obradował rząd tymczasowy pod prezydencyą Talleyranda. — Trzydziestego kwietnia przez rzęsiście oświecony ogród wjechał hrabia Prowancyi i zawołał w progu: „O jakże słodko spocząć w pałacu przodków!“

Odpoczywał nie długo. — Wedle słów Talleyranda: „*Louis XVIII n'avait fait que se coucher dans les draps de Napoleon*“. Napoleon powróciwszy zastał więc swoje łóżko posłane. — Trójkolorowa chorągiew jeszcze raz powiała nad pałacem. Sto dni jak raca ze stu gwiazd, wyleciały pod niebo, zaświeciły chwilę i zgasły.... Osmego lipca 1815, Ludwik XVIII znowu położył się w swojem tak często zabieranem łóżku, i zdaje się że tą razą kazał odmienić prześcieradła.

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“ Na czarnem tle przedartem tu i owdzie łuną Rembrandtowskich świateł, ujrzałem kozaków obozujących w koło pałacu otoczonego wieńcem nieprzyjacielskich dział, których rozwarte paszcze na wszystkie strony groziły miastu. Na piedestale posągu *Chwały*, stał posąg *Restauracyi*. Tłum jak wypuszczona banda waryatów, witał Burbona w tem okoleniu, z równie głośnym co niegdyś pierwszego Konsula zapałem. Wielkie damy tańcowały z ludem farandolę pod oknami króla. Matki, siostry, żony Francuzów otworzyły dom i ramiona „*aux amis les ennemis,*“ mężczyźni odwagę, a kobiety wstyd utraciły. Podłość była w powietrzu i spadła na dzielny naród jak morowa zaraza.

Co się potem działo w tym pałacu, to tylko przeciągnęło przed memi oczyma jakby długa processya padająca twarzą przed bałwanem. Tuilerye zasłonione tumanem zaburzeń, spisków, buntów i ludowych manifestacyj, na chwilę znikły mi z oczu; ujrzałem je dopiero, kiedy obite kirem płakały nad skonem Ludwika XVIII. Szesnastego września 1824 roku, wspaniała trumna Arcy-chrześciańskiego króla stała wystawiona w sali tronowéj; wszystkie stany nie wyjmując przekupek i węglarzy, kropiły kolejno święconą wodą zwłoki monarsze. Były to jedyne łzy któremi lud paryzki pożegnał tego króla, którego z tak szaloną witał radością.

Od śmierci Ludwika XVIII papiery królewskie spadają ciągle. Karol X zszedł z tronu zanim Tuilerye obecność jego spostrzegły. Dopiero ostatnie dni jego panowania były dla tych murów, które widziały wielką rewolucyę 89 roku, jakby wspaniałą tamtej rocznicą. Lud przez tydzień przeszło samowładnie panował w Tuileryach i bawił się w *Króla*, zupełnie tak jak w ośmnaście lat późniéj, kiedy wygnał Filipa. — Te sceny świeże, których byłem naocznym świadkiem, najdłużéj i najwyraźniej stały mi w oczach, ale ich opowiadać nie będę, bo te obrazy jeszcze w niczyjéj pamięci nie zatarte. Zamilczę również o wizyach przyszłości, jakie w końcu méj długiej kontemplacyi nad tym gmachem unoszące się widziałem, bo nie jestem Kassandrą ale korespondentem, który tylko wrażeniami z widomego świata dzielić się powinien, a swoje wizye może bez grzechu schować dla siebie.

Porzućmyż tedy ten ogród i ten pałac w ruinach, zanim dalsze jego dzieje opowiemy, wejdźmy na chwilę w podziemia Panteonu, gdzie teraz całą Jerozolimę można widzieć w miniaturze.

Wystawa Jerozolimska mieści się w jednéj sklepionéj sali oświeconéj lampami. Środek jéj zajmuje wielki plan Jerozolimy cztery metry długi a trzy szeroki, wykonany *en relief* na gruncie naśladującym wiernie miejscowe położenie. — Z książką Maurycego Manna w ręku, szedłem krok w krok za chrześciańską legendą, którą uczony nasz przewodnik prowadzał po całym planie, dotykając trzcinką ważniejszych punktów. Porównawszy najświeższą relacyę duchowieństwa francuzkiego z rela-

cyą Autora *Podróży na Wschód*, przekonałem się, że prócz miłego stylu, obrazowości i wysokiego poglądu, książka Manna ma jeszcze jedną, bodaj czy nie największą podróży zaletę, dokładność w opisach, a w obrazowaniu wierność doskonałéj fotografii.

Obok planu miasta stoi zrobiony z drzewa grób Chrystusa, taki jaki istnieje w kaplicy „Anioła". Rozmiary jego zupełnie się zgadzają z podaną miarą w Podróży Wschodniej Manna, toż samo kształt; ponieważ on widział oryginał a ja tylko kopią, właściwiej będzie posłuchać jego opisu:

...„Z kaplicy Anioła mały otwór w który zaledwie wcisnąć się można na kolanach, bo ma cztery stopy wysokości a dwie tylko szerokości, prowadzi do samego wydrążenia w skale gdzie był grób. Otwór w tym samym kierunku co drzwi kaplicy, to jest na wschód. Wnętrze grobu świętego prawie kwadratowe: sześć stop blisko wszerz i wzdłuż, wysokości ośm. Cztery osoby na kolanach mogą się w nim pomieścić. — Po prawéj stronie od wnijścia, stół w ścianie skały wykuty, wysoki na półtrzeciéj stopy, prawie połowę całego grobu zajmuje, bo ma sześć stóp długości a półtrzecia szerokości. — Na tym stole kamiennym złożone było ciało Chrystusa, zwyczajem żydowskim, to jest głową na zachód. Dziś sam grób, ściany i sklepienie powleczone są marmurem, tak że wcale skały nie widać, a wykucia ani by się kto domyślał. — Na ścianach marmurowych grobu wiszą dwa obrazy przedstawiające spełnioną tajemnicę".

Obrazów tych nie ma na kopii grobu w Panteonie, wisi tylko na ścianie nad stołem na którym zwłoki Jezusa złożono, miecz Gotfryda de Bouillon. Piękna ta pamiątka nie musi się znajdować na tem miejscu kiedy Mann nic o niej nie wspomina *). Tutaj znać ją zawiesiła duma narodowa. Cóżkolwiek bądź, oręż oswo-

*) Nie myli się sz. korespondent, miecza tego niema wgrobie Chrystusowym. OO. Ziemi śtéj przechowają go wraz z ostrogami w celi przyległej kaplicy Matki Boskiej zwanéj kaplicą *Ukazania się (Apparitionis)* do katolików wyłącznie należącéj. Miecz Gotfryda używany bywa jedynie dzisiaj do pasowania na rycerzy Grobu św. (P. R.)

bodziciela świętego grobu nie psuje jego surowéj fizyonomii.

Salę okalają długie stoły, na których rozłożono fotografie świętych gmachów, minerały i owady zebrane na Jerozolimskiéj pustyni — kawałki gzymsów odłamanych od starożytnych świątyń i Chrześciańskich przybytków, oraz tamtejszą roślinność. Ostatni ten zbiór zajął nas najwięcéj. Oglądaliśmy tu między innemi, gatunek ciernia z którego uwito koronę Chrystusowi, rodzaj trzciny którą mu dano w rękę, gałązki drzew oliwnych, które podobno były świadkami ukrzyżowania — widzieliśmy całą kollekcyę smutnych kwiatów pustyni, i jéj królową sławną różę Jerychu. Dziwne to ziółko głównie uwagę moją zwróciło. Chciałem się dowiedzieć, ile jest prawdy w tej tak miłéj dla wyobraźni poetów legiendzie — ile rzeczywistości w cudownych własnościach tego kwiatu, którego tak nadużyli prorocy i rymotwórcy. Obawiając się mistyfikacyi, sam go o tajemnice jego badałem. Z tych badań wynikł tenże sam co z każdych badań rezultat, to jest, że na źdźble prawdy imaginacya ludzka buduje zwykle całą Alhambrę kłamstwa; chociaż w cudzie Jerychońskiej róży więcéj jeszcze jest prawdy niż w innych.

Największy fałsz leży w imieniu. Kto nazwał to tajemnicze ziółko różą, nie dowiódł ani botanicznéj ani psychologicznej mądrości: jestto właśnie żywy kontrast pysznej ogrodów królewéj; — roślina bez wdzięku, bez rumieńca, bez powabu, bez kokieteryi i bez kolców — jakaś święta z roskosznej rodziny kwiatów posiadająca właśnie to, czego brak róży: nieśmiertelność.

Wyobraź sobie uschłą stokrotkę, suchą jak popiół i popielatego koloru. Cóż powiesz, zaledwie kropla wody padła na niby umarłą jej główkę, aliści kwiatek zadrżał w mém ręku.. (mówię w mém ręku, bo ogarnięty Wolterowską niewiarą, która od jego trumny z pobocznego lochu na mnie wiała, sam robiłem doświadczenie) kwiat tedy drgnął jak nagle zbudzony człowiek, i w ciągu minuty wszystkie swe listki rozchyliwszy pokazał żyjące pod uschłą oponą serce...

Zawstydzony jak niewierny Tomasz, z poszanowaniem złożyłem w grób kartonowy tę relikwię Flory; Jery-

chońska róża obok trumny Voltaira dała mi nauczkę: Kazała się leczyć z pogańskiego uwielbienia formy.

Wyszedłem w usposobieniu wysoko ascetycznćm — ale zaledwiem porzucił czarne podziemia, arcydzieło rzeźby oświecone blaskiem słońca, wymownie w obronie materyi przemówiło.

Na miejscu gdzie był niegdyś ogród zimowy, który Paryżanie znieśli na dowód, że niema zimy w Paryżu, rzeźbiarz Lechesne wystawił przepyszną grupę zwierząt: „*L'Amour domptant les bêtes fèroces*“. Równie piękny utwór dawno nie wyszedł z pracowni paryzkich, szkic jego podać warto.

Na szczycie kolosalnéj piramidy zwierząt stoi lew. Czterdzieści kłów stalowych błyszczy w rozwartéj jego paszczy, z któréj potężny ryk płynie jak grzmot podziemny z krateru; ale i z fizonomii zwierza widzisz, że ten ryk to nie pożegnanie zachodzącego słońca, zwykłe podzwonne pustyni — ani dziki hymn nocy — to śpiew zakochanego lwa co gotów wyciągnąć szpony ku nożycom Kupidyna, co niechce zabijać, ale tworzyć. — Przed takim lwem żywym, Buffon umarłby ze strachu, a Gerard lub Walorek uklękliby zamiast strzelać.

U stóp lwa leży lwica z którą igra Amor skrzydlaty, ów słaby zwycięzca mocnych. Na odgłos lwiéj pobudki, inne zwierzęta przybiegają, i kupią się koło monarchy. Sam nawet zimny wąż zagrzany ogniem jego pieśni, z pod ziemi wypełza, i opasawszy kołem czworonożną grupę, syczeniem wtoruje miłosnéj serenadzie *).

Trudno oderwać oczy od téj piramidy którą rzeźbiarz tak kunsztownie z namiętnéj miłości zbudował; przybity do ziemi siłą, która jak magnetyczne promienie płynie z oczu i grzywy króla pustyni, poczułem że lew to najboleśniejszy żart jaki natura na upokorzenie człowieka wymyśliła.

---

*) Piękną tę grupę podała w nie złem woale odbiciu *Illustracya* paryzka w N. z 3 lipca. (P. R.)

GAZETKA LITERACKA

Kraków. Książka, najwięcéj mogąca obudzić zajęcia drukuje się w téj chwili w drukarni *Czasu* jest to *Opis podróży do Australii* i pobytu tamże od roku 1852 do 1856 — Autorem opisu jest p. Seweryn Korzeliński, który w tych krajach przebywał lat cztery i poznał je najdokładniéj bo własnem okiem i doświadczeniem życia.— W przedmowie autor opowiada że wstrząśnieniami r. 1848 i 49 wyrzucony za granice ziemi rodzinnéj, znalazł się w Anglii, gdzie żyjąc bez celu, każdy dzień zdawał mu się być wiekiem — przeto postanowił udać się do Australii. „Porozumiałem się w tym względzie z kilku innemi ziomkami i zjechawszy się z nimi w Londynie, zawiązaliśmy towarzystwo pracować mające wspólnie w kopalniach przez 6 miesięcy. Miejsce ambarkowania było Liverpool.— Tam przybywszy z Londynu zastaliśmy inną kompanię Polaków, także z sześciu złożoną, udających się równie jak my do Australii“. W towarzystwie rodaków odbył autor tę podróż którą dziś w chwilach wypoczynku od zatrudnień gospodarskich skreślił podług dzienniczka prowadzonego przez cały ciąg trwania téj wyprawy — Czytając pierwszych kilka kart opowiadania bardzo zajmującego swoją naturalnością śmiało możemy rokować książce téj powodzenie, bo autor zdaje się należyć do tych podróżników co mają dar spostrzegania, i do tych pisarzy co rzecz spostrzeżoną umieją wydać w zwięzłych lecz trafnych rysach.

— W wydawnictwie katolickiem wychodzi dalszy ciąg przekładu *Niewiast* X. Ventury, dokonany przez X. Goliana.

Inne drukarnie zajęte są drukiem kalendarzy na rok następny. — O nowych przedsiębiorstwach nie słychać.— Biblioteka Polska p. Turowskiego wydaje teraz poezye polskie Sebastyana Klonowicza, najkompletniéj zebrane.

Lwów. Wyszło tutaj dziełko w drukarni Zakł. Narodowego imienia Ossolińskich: „Z pamiętników Anny z Rejtenów Gericzowéj“ zmarłéj w Paryżu roku 1857 w 8ce, str. 54.

Wiedeń Nakładem autora Ant. Sozańskiego wydano tutaj Ciekawe szczegóły z literatury i bibliogr fii w 8, str. 44.

Sanok. Drukiem Pollaka ciągle wychodzi *Biblioteka Parafialna* wydawana tak odpowiednio potrzebom wiejskiego ludu p. X. Antoniego Załuskiego. Nowy gruby tom złożony z 7miu zeszytów obejmuje: *Katechizm*, nauki, wiary i obyczajności Chrześciańskiéj dla ludu katolickiego w zastósowanym do pojęcia każdego wykładzie. Z zasadą: że najczystsze i najwyższe światło płynęło i płynąć powinno z kościoła, mamy niewątpliwą pewność że lud nasz tylko tym jednym praktycznym sposobem oświecony i ucywilizowany być może i być powinien. Wszystkie na innych zasadach i teoryach oparte nauki, nigdzie niewydały dobrego owocu, nauka bowiem świecka nieumiała nic innego zrobić, tylko wszczepić żądzę nieograniczoną poprawienia materyalnego bytu, z czego najbliższem następstwem było nieukontentowanie ze stanu w jakim wieśniak zostawał. Doświadczenie drugich powinno być dla nas wskazówką, dla tego szczerze pochwalamy drogę którą X. Załuski obrał dla oświecania ludu, gdy mu podaje i uczy zastósowywać w życiu wieczne prawdy, dające nie same korzyści znikome, ale duszne zbawienie Rzecz bowiem pewna i dowiedziona, iż gdzie lud jest pobożny i moralny, tam i byt dobry z błogosławieństwem Bożem zakwita.

Poznań. Daliśmy zdanie o dziele wydanem w Paryżu p. n. „Alberti Marchionis Brandeburgensis de arte militari“. W niéj powiedzieliśmy, że część najważniejszą rękopismu opuszczono, mogącą dać zajmujący materyał do polskiéj strategii. Na posiedzeniu wydziału nauk historycznych i moralnych Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu d. 17go maja. prezes Towarzystwa tego hr. Działyński oświadczył, że wydanie to jakkolwiek zawsze będzie ozdobą bibloteki, wartość miałoby niesłychanie większą, gdyby było dokładne. Sam posiada ryciny koszów wojskowych robione przez Kielisińskiego i uważa za potrzebne uzupełnić wydanie, w którem tylko wydrukowana jedna czwarta część dzieła o sztuce wojskowéj w Polsce. — Ponieważ zasoby Towarzystwa nie pozwalają podejmować wydawnictwa połączonego z wielkiemi kosztami, przychyla się przeto hr. Działyński do prośby wydziału, i sam oświadcza gotowość uzupełnienia. Będziem więc mieli całkowity drogocenny rękopism, a przy znanéj hojności dla literatury ojczystéj, jesteśmy pewni że co do wierności przedruku i wspaniałości edycyi, nie ustąpi żadnemu. Wdzięczność nasze dla hr. Działyńskiego za zasługi literaturze i językowi polskiemu, historya zapisze.

— Żupański, który tak znamienite oddaje zasługi literaturze, przez wydawnictwo dzieł większéj wartości, wydał teraz pierwszy tom Lelewelowskiego dzieła: *Polska, dzieje i rzeczy jéj*, Wstęp bardzo ciekawy zawiera niejako autobiografią Lelewela p. napisem: Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich, w którym podaje szczegóły tyczące się życia lite-

rąckiego przez ciąg prawie lat piędziesięciu. — Tom pomieniony mieści jeszcze następujące rozdziały: 1) Dziejopisarstwo — 2) Chronologię, 3) Historye, 4) Geografię, 5) Politykę, 6) Kulturę, 7) Abecadłowy rozkład znamienitych ludzi, 8) Rozmaitości.— Są to po większéj części zebrane dawne notaty należące do prac profesorskich.— W tejże drukarni wychodzi praca J. Łukaszewicza: Historya erekcyi kościołów Wielkopolskich, również dzieła Kajetana Koźmiana a w tych po raz pierwszy ukaże się poemat: Stefan Czarniecki.— Wyszła także *Lutnia* przez Henryka Merzbacha zbiór dość szczęśliwie rzuconych liryków — Niemniéj Kazimierz Szulc drukuje swą pracę: O pierwotnych stosunkach i instytucyach naszego ludu. — Wyjdzie tłumaczenie z angielskiego nieznanéj broszury o Dymitrze Samozwańcu p. Jagielskiego. — W drukarni Kamieńskiego wyszedł drugi tom Obrazu panowania Zygmunta III, przez Xdza Siarczyńskiego. — Merzbach zaś wydrukował siódmy tom aktów Tomickiego, a do 8go się zabiera.

Lipsk. Towarzystwo naukowe księcia Jabłonowskiego ogłosiło drukiem uwieńczone nagrodą dzieło Dra Teodora Hirsch p. tyt. Dzieje handlu i przemysłu w mieście Gdańsku za czasów panowania Krzyżaków niemieckich (*Danzigs Handels- und Gewerbsgeschichte unter der Herrschaft der deutchen Ordens, Leipzig bei S. Hirzel 1858*, w 8ce, str. XII. 344 z dodaną winietą pieczęci handlowego kantoru gdańskiego w Kownie w XV wieku). Dzieło to obejmujące epokę od r. 1308 do 1454 z rzadką gruntownością i pracowitością po większéj części z nieznanych dotąd rękopiśmiennych źródeł archiwalnych gdańskich czerpane, rzuca między innemi także światło na ówczesne ciekawe stosunki handlowe z Polską; przeto też obszerniejszą wiadomość o tem zajmującem dziele czytelnikom podać zamierzamy. Autor Dr. Hirsch znany już jest zaszczytnie z wydanéj historyi kościoła P. Maryi w Gdańsku, klasztoru w Oliwie, i gdańskiéj kroniki Kaspra Weinreicha.

Gdańsk. W drukarni Edwina Groeninga wyszedł tu Katalog zbioru monet i medali polskich p. Mathy konsula belgijskiego, których pojedyncza sprzedaż drogą publicznéj licytacyi rozpocznie się w Gdańsku z d. 1 sierpnia 1858 (*Cathalog der polnischen Münzen und Medaillen der Mathyschen Sammlung. Danzig. Druck von E. Groening 1858* w 8ce str. 8. 164 i tabl. litograf). Zbiór ten na którego skompletowanie d. Mathy przeszło 30 lat w Gdańsku poświęcił, liczy 2754 polskich monet i medali, pomiędzy któremi wiele ciekawych i bardzo rzadkich począwszy od czasów Kazimierza Wielkiego aż do rozbioru Polski. Pomiędzy innemi są tu denary ruskie i półgroszki lwowskie Władysława Jagiełły, trojaki lwowskie Zygmunta III. z r. 1598, 1599 i 1600 oraz bite w mennicy łobżenickiéj z r. 1627 1630, olkuskiéj wschowskiéj, bydgoskiéj i t. p. Pomiędzy złotemi monetami celują wiele rzadkich portugałów i dukatów, mianowicie Jana Kazimierza z r. 1656. Monety gdańskie, elblągskie i toruńskie, jak najtroskliwiéj zebrane. oraz polskie Inflant, Kurlandyi i miasta Rygi stanowią osobne oddziały.— Jako osobliwość znajdują się w tym zbiorze dwa plakaty rady miejskiéj gdańskiéj wywołujące fałszowane monety

z przywieszonemi na drucie exemplarzami tychże wywołanych monet. —

Wrocław. W zakładzie fotografii Spiegla wyszła tablica zawierająca wizerunki Mickiewicza, Odyńca, Deotymy, Kraszewskiego i Wójcickiego. Dalsze tablice będą wychodzić w miarę otrzymanych portretów pisarzy polskich.

Warszawa. Zeszyt lipcowy Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły:

„Rękopism Jana Wincentego Bandtkie Stężyńskiego: 1) O urzędzie woźnego. 2) Skład i formacya wojsk polskich, jakie w XVIII wieku istniały. 3) O Tatrach.

„Rozkwit piśmiennictwa polskiego" przez Dominika Szulza.

„Notaty z wycieczek po kraju, z rękopismu ś. p. Władysława Wieczorkowskiego.

„Obrazy Degestanu III.". Powierzchowność ludu, jego obyczaje i zwyczaje, przez Juliana S,..

„Proroctwa Dantego". Z angielskiego Lorda Bajrona przełożył Michał Budzyński.

„Kronika paryska, literacka, naukowa i artystyczna". Pierwszy tom pamiętników Guizota.— Monografia Montaign'a, przez Anglika Saint-John. — Les païens innocens, zbiór powieści Hippolita Babon.—Francuzcy tłumacze Jerozolimy wyzwolonéj: ostatni przekład pana Desserteaux. Les amours purs, powieść hrabiny de la Tour de-Pin.— Obrazy P. Leona Kaplińskiego. — Ristori we włoskiéj Fedrze. — Wiadomości literackie.

„Krótki rys historyi naturalnéj Kamieńca Podolskiego, skreślił Gustaw Belke (ciąg dalszy).

„Adam Mickiewicz i Puszkin" w Odessie przez K. Zielenieckiego.

„Kronika literacka". Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszéj połowie XVIII wieku, prz. autora Ukrainy i Zaporoża. Warszawa 1858. Przez Leopolda Huberta. Pomniki i widoki Wołynia, Podola i Ukrainy.—Kijów w zakładzie litograficznym J. K. Wallnera. — Czas, dodatek miesięczny m. luty 1858 przez Wł. — Projekt do słównika wyrazów obcych, w języku polskim używanych, przez Jenike i Edwarda Suleckiego.

„Rozmaitości. Słówko o bogach litewskich, przez A. Kielewicza.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. Ozon, czyli kwasorod nieelektryzowany przez S. E. — Chemia przez T. B. — Meteorologia przez S. B.

Korrespondencye. Posiedzenia wileńskie archeologicznéj komissyi dnia 11 kwietnia i 10 maja r. b. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od A Kirkora.

Tenże Numer Biblioteki Warszawskiéj w Doniesieniach literackich podaje następujące wiadomości:

Drób' czyli hodowanie ptastwa domowego, napisał podług najnowszych dzieł niemieckich i francuzkich Albin Kohn. Z szescią tablicami kolorowanemi. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1858.

— Dramata Wiliama Shakespear'a, przekład z pierwotworu. Tom 2. Macbeth. Wieczór trzech króli. Król Lear, Krotochwila z pomyłek. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1858.

— Sprawa włościańska. „Wyjątki z nowożytnych polskich ekonomistów, wydał Sz(ambelan) Dw(oru) J. C. K. Mości Seweryn hr. Uruski marszałek szla-

chty gubernii warszawskiéj. (Z godłem):

Synowie kmieccy, niech tracą
swój łan (źreb) ojcowski.
(Sejm piotrkowski z r. 1503 w niebytności króla Alexandra).

Tom 1. Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda. 1858.

— Tom VI pism Adama Mickiewicza już jest pod prasą: obejmuje Iszy tom jego prelekcyj.— Ryciny do ozdobniejszego wydania, przesłane do sztychów za granicę zostały. Alexander Lesser dał ich trzy do Walenroda i Grażyny: z Wallenroda ucztę, i chwilę opowieści z Wajdeloty, ta przebrana w zbroję męża schodzi z zamkowych schodów na podwórzec. Gerson trzy do Pana Tadeusza; przedstawiają ucztę w ruinach zamku; narady szlachty w zaścianku i hejże na Sopliców; grę żyda cymbalisty, któréj się przysłuchują generałowie polscy: Henryk Dąbrowski i Kniaziewicz wiernie portretowani. Brodowski illustrował Farysa, Kostrzewski, balladę Pani Twardowska. Artysta wybrał właśnie tę chwilę, kiedy Twardowski ostatni warunek djabłu kładzie, i pokazując żonę swoją, chce aby z nią rok w związku małżeńskim przeżył. Djabeł ujrzawszy tę babę skręca się do dziurki od klucza, którą jak wiadomo czmychnął.

— Nakładem i w litografii A. Pecq'a wyszedł XII zeszyt dzieła: Królowie polscy. Wizerunki zebrane i rysowane przez Alexandra Lessera. Objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zeszyt zawiera życiorysy królów: Jana Kazimierza, Michala Korybuta i Jana Sobieskiego z fac-similami podpisów. Wizerunki dołączone, wykonaniem jak równie i odbiciem szczególniéj się odznaczają.

— Wilhelm Kolberg inżynier wydał: „Notice sur le projet d'un pont permanent sur la Vistule pres de Varsovie". Projekt ten trwałego mostu pod Warszawą, przedstawia w załączonym planie most podwójny czyli piętrowy.— Dolny służący dla kolei żelaznéj, górny nad nim dla ułatwienia kommunikacyi ciągłéj z Pragą i zawiślańskiemi okolicami.

— Władysław Oleszczyński korzystając z krótkiego pobytu w naszem mieście kasztelana Fr. Wężyka, wykonał w medalionie popiersie jego naturalnéj wielkości, odznaczające się trafnością rysów twarzy i charakteru. — Karol Beyer znany archeolog i fotografista zdjął popiersie Wincentego Pola. Fotografia ta jak wszystkie tego rodzaju prace Beyera, zaleca się wybornem wykonaniem.

— Karol Minter ogłosił szczegółowy wykaz pamiątek krajowych w odlewach w jego fabryce wykonanych. Ciekawy to i zajmujący zbiór już dzisiaj, który ciągle i starannie uzupełniać ma zamiar. Oto szczegółowy spis:

Pomniki królów i książąt polskich. Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w katedrze poznańskiéj. Adelajdy córki Kazimierza Sprawiedliwego † 1211 kamień grobowy w kaplicy św. Jakóba w Sandomierzu. Henryka Pobożnego † 1242 pod Lignicą, kamień grobowy w kościele św. Wincentego w Wrocławiu. Grobowe pomniki krakowskie tak w katedrze jako i w innych kościołach: Władysława Pobożnego, Leszka Czarnego, Władysława Łokietka, Kazimierza W., Władysława Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Alberta, Zygmunta Igo, Zygmunta Augusta,

Stefana Batorego i Anny Jagiellonki. Sarkofag Henryka Łagodnego (probus) w kościele śgo Krzyża w Wrocławiu. Sarkofag Janusza i Stanisława książąt mazowieckich w kościele katedralnym w Warszawie. Posąg konny Jana III. Sobieskiego w Łazienkach królewskich w Warszawie. Mikołaja Kopernika w temże mieście. i stojący drugi w Toruniu; posąg konny Xcia Józefa Poniatowskiego.

Posążki odlane ze śpiżu białego i galwanicznie powleczone bronzem: Stefana Batorego, Jana III., S. Czarnieckiego, Żółkiewskiego, Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego, Karpińskiego, Jana Kochanowskiego. Popiersia czyli biusta spiżowe: K. Brodzińskiego, F. Chopina, T. Czackiego, M. Fredry, Jundziłła, Kluka, J. Kochanowskiego, Piotra Kochanowskiego, O. Kopczyńskiego, M. Kopernika, Krasickiego, Lindego, Mickiewicza, Naruszewicza, J. M. Ossolińskiego, St. Potockiego, A. Śniadeckiego, Staszica, Tańskiéj, Trembeckiego, Węgierskiego, Woronicza, Józefa i Stanisława Załuskich. Płaskorzeźby z lanego bronzu: Bolesława Chrobrego, Mieczysława Igo: Jana III, Stefana Batorego, Augusta III, Kazimierza Jagiellończyka, Michała Korybuta, Władysława Łokietka, Władysława Warneńczyka, Zygmunta Igo, Czarnieckiego Chodkiewicza, Żółkiewskiego, J. Zamojskiego, Dantyszka arcyb. Gnieź. Hozyusza kardynała, J. Lubomirskiego hetmana, St. Leszczyńskiego króla, Kościuszki, Kochanowskiego, Kopernika, Woronicza, biskupa Benjamina Szymańskiego, Mickiewicza, D. Chodźki, J. Korzeniowskiego, Chopina, A. Cieszkowskiego, Deotymy, Grozy Alex. Jachowicza, Kaczkowskiego Zyg. A. Kątskiego, Zyg. Krasińskiego J. I. Kraszewskiego, Kajetana Kraszewskiego, ks. Kaz. Lubomirskiego, Zofii Malhomme, St. Moniuszki, A. E. Odyńca, W. Pola, Gw. Pawlikowskiego, Wł. Syrokomli, E. Tyszkiewicza, K. Wł. Wójcickiego, ks. Alex.Ważyńskiego.

— Stanisław Bogusławski przesłał już libretto Moniuszce jednoaktowej opery „Flis“. J. Korzeniowski trzy-aktowej opery libretto „Rokiczana“ akt pierwszy ukończył, i część drugiego.— J. Bogusławski, który talentem i dowcipem odznacza się w małem gronie pisarzy naszych dramatycznych, pisze nową komedyą p. n.: „Życie nad stan“.

— M. Fajans zamierza doprowadzić do skutku dawniéj zamierzoną publikacyą, odpowiednią wydanym Kwiatom i poezyi p. n. „Drzewa polskie“. Myśl do tego rzucił pierwszy Wincenty Pol.

— W drukarni S. Orgelbranda wyszło dzieło p. n. Polska (dawna) jako naród i jako państwo (Dzieje początkowe).— Autor A. Morzycki znany już z grammatyki polskiéj, któréj całe wydanie oddał na korzyść ś. p. St. Jachowicza, i to pismo własnym wydrukowawszy nakładem, ofiarował na dom Towarzystwa Naukowego w Krakowie. Z tej edycyi sam pierwszy zakupił exemplarzy 150 po 10 złpolsk. za exemplarz.

Wilno. Tom IV Teki Wileńskiéj w objętości przeszedł poprzednio wydany, w końcu oprócz dalszego ciągu Ikonotheki J. Kraszewskiego, jest dodana: „Chatka ojca Toma, czyli życie murzynów w stanach niewolniczych Ameryki północnéj. Romans pani Biczer Stou (Beecker Stove), przekład Wacława P“. Powieści téj głośnéj w świecie literackim

mamy danych, oprócz wstępu redakcyi, str. 24. W przemówieniu od redakcyi, uznajemy zupełną stósowność wybranéj chwili do ogłoszenia téj powieści, i szczęśliwą myśl upowszechnienia jéj za pomocą Teki Wileńskiéj.

— Wł. Syrokomla przed wyjazdem z Wilna kilka utworów oddał do druku, które z pośpiechem wykończał, jako: „Starostę Kopanickiego“, „Fornarinę“, drugą część „Dęboroga“, i staropolskie roraty“: wszystko to księgarze rozchwytali i wydają z pośpiechem jako w tamtych stronach pokupny towar. Maurycy Orgelbrand ogłasza: Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi doktora Tipplina, i drugą edycyę „Przechadzek po Wilnie, Kirkora“ Druk Barbary A. E. Odyńca za kilka miesięcy ukończonym zostanie.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpowied. St. Gralichowski za Rządcę drukarni